NOWE STUDYUM O GOETHEM

Edwarda Roda.

I.

Szwajcar z pochodzenia, zdolny nowelista i krytyk literacki francuski, Edward Rod w przedmowie do swojego studyum o Goethem (*Etude sur Goethe*, Paris, 1898, str 309) oświadcza, że był przed dziesięciu laty bezwarunkowym, entuzyastycznym wielbiciecielem Goethego, ale po pobycie w Weimarze, po rozczytaniu się w źródłach i po dojrzałym namyśle zmienił zdanie, odzyskał swobodę krytyczniejszego poglądu na żywot, którego odbiciem są utwory wielkiego poety, że sąd jego dzisiejszy, wolno pomyślany, wolno pisany, bez fanatyzmu i zgryźliwości *(dénigrement)*, zachęci może czytelników do smakowania w pismach Goethego bez czołobitności i do uwielbiania go bez przesady. Mamy więc do czynienia nie z pierwszą w tym rodzaju, ale z talentem dokonaną próbą oceny na zniżkę człowieka a następnie i jego utworów i walki z wpływami, które ten nieboszczyk na społeczeństwa europejskie wywiéra, z tak zwanym goetyzmem, do którego adeptów Rod zalicza we Francyi Pawła Bourgeta z jego „intelektualizmem" i Maurycego Barrèsa z jego „samokulturą" (*culture du moi*). Szkoła ta goetystów nie liczna, ale garną się do niéj najgiętsze i najsubtelniejsze umysły. Charakterysty-

czną cechę goetyzmu stanowi powszechne interesowanie się wszystkiém bez wyjątku, nie przez miłość prawdy i nie dla dojścia do praktycznych rezultatów, lecz przez upodobanie w samym procesie pojmowania i obejmowania wszech rzeczy, chociażby i bez sięgania do ich głębi. Jest-to właściwie dyletantyzm umysłowy, wszechstronny, ale suchy i jałowy, igrający po kolei ze wszystkiemi formami życia. Goetysta nie odda się żadnéj z nich i nie stanie się nigdy człowiekiem czynu. Jest-to przytém przy całéj uniwersalności ostatecznie tylko sobkowstwo czyli egotyzm, bo goetysta odrzuca ze wstrętem wszystko, co przeciwne jest harmonii, któréj wszędzie szuka; skoro więc trzyma się zasad téj filozofii, nie pojmie nigdy boleści, nie będzie się nią z innemi duszami dzielił, nie będzie się sercem z cierpiącymi kojarzył, nie będzie im sympatyzował. Wedle p. Roda, Goethe nigdy się nie mógł pozbyć téj wrodzonéj mu *(congénitale)* oschłości serca, chociaż czynił ku temu wysiłki i rad był miłowanie się wzajem zalecać czytelnikom (p. 57). Zgodnie z Barrèsem, Rod przyznaje, że mistrz wejmarski nie obliczał nigdy, czy ten lub ów czyn będzie dobry czy zły, czy szczęście albo nieszczęście przyniesie, ale odczuwał tylko wszędzie kiełkującą i zdolną do rozwinięcia się siłę. Ta uniwersalna wyrozumiałość prowadzi, wedle Roda, do tolerancyi, ale pociąga zarazem i obojętność względem dobra i zła. Jest-to niby promień światła od przedmiotu odbity i wracający do swego źródła, do syntezy, w któréj zlewają się, nie różniczkując, natura, sztuka i samo życie.

By uzasadnić swoje założenie końcowe, Rod zaczyna od tak zwanych przezeń „Pamiętników” Goethego, to jest od skréślonego przezeń obrazu swoich lat młodzieńczych „*Wahrheit und Dichtung aus meinem Leben*” („Z mojego życia—Prawda i Fantazya”, bardzo dobry przekład L. Jenikego. Warszawa, 1895). Dzieło to zaczął autor pisać w r. 1811, mając lat przeszło 60, a doprowadził je tylko do przybycia na dwór weimarski (1775). Rod posługuje się niém niby soczewką, przez którą zapatruje się na osobę autora w jego utworach. Sam tytuł zastanawia; brzmiał on pierwiastkowo: „*Dichtung und Wahrheit*”. Wydawcy przestawili wyrazy dla lepszego eufonizmu. Z samego tytułu Rod wnioskuje, biorąc to już za pewnik, że w swoich pamiętnikach Goethe nie był szczery, że się z życia swego nie chciał spowiadać, że je tendencyjnie upiększał, harmonizował, rzucając lekką gazę zmyślenia poetyckiego na przeżytą rzeczywistość, że się stroił przed potomnością, pragnąc, aby go miano za takiego olimpijskiego półboga, jakim się wyobraził, że sam budował sobie piedestał; ale ta sztuczna wielkość jest w znacznym stopniu udana, dość pospolita

w gruncie i banalna. Goethe chciał zmieścić prostotę prawdy i piękno zmyślenia, a stworzył rzecz niższą od autobiograficznych zapisek Stendhala, Beniamina Constant, Amiela, bo ci ludzie wyznawali swoje błędy i zawody, mieli nieprzepartą potrzebę takiego wyznania, któréj to potrzeby Goethe, z natury swojéj, nigdy nie doświadczał. Pamiętniki Goethego możnaby porównać chyba z „*Mémoires d'outre Tombe*" Chateaubriand'a. Są to dwa pełne jednakowego wysokiego o sobie rozumienia, przez żyjących za życia dla siebie przygotowane mauzolea pośmiertne.

Takie o Goethem wyrobiwszy sobie wyobrażenie z jego pamiętników, Rod przegląda pobieżnie w pięciu następnych rozdziałach pięć większych utworów: „Goetza". „Werthera", „Tassa", „*Wahlverwandschaften*" i „Fausta", nie poświęcając, oprócz pobieżnych wzmianek, żadnéj treściwéj uwagi nawet utworom, które zalecałyby się do wciągnięcia do rachunku, jako to: „Egmont", „Ifigenia w Taurydzie", „Wilhelm Meister", „Herman i Dorota", „Ballady", „Córka nieślubna", przyczém nie tai się z zamiarem, że chce sprocesować Goethego (*reviser le procès du Grand Goethe*), to jest dopasować opinię o nim do ducha wieku obecnego.

Nim przystąpimy do sprawdzenia zarzutów przeciwko Goethemu i do przejrzenia w świetle nowéj krytyki tak pamiętników Goethego, jako i innych jego utworów, uważamy za konieczne zacząć od kilku uwag przedwstępnych.

II.

Wszelka roślina zawiéra się potencyalnie w nasieniu. Tak téż i człowiek bywa tylko tém, czém go stworzyła natura, to jest tém, do czego usposabia go indywidualny jego temperament. Od urodzenia, bywają ludzie słabi, chorowici, cierpiący, pesymiści, albo téż mocni, zdrowi, weseli. Goethe należał do pocztu najweselszych, najbardziéj zrównoważonych i najzdrowszych, do najpochopniejszych żyć, używać życia i z tego używania się cieszyć, wypijając z każdéj czary wszystko aż do ostatniéj kropli. Każdy człowiek ma swoje przywary i słabostki. Do słabostek Goethego należało to, że nietylko cierpieć nie lubił, ale i widoku cierpiących unikał, umarłych nie nawiédzał, nawet o najbliższych mu umarłych nie wspominał, a śmierci się bał aż do kresu swego 83-letniego żywota. Mimo ten lęk, posiadał odwagę fizyczną, czego dowiódł pod kulami armatniemi francuskiemi pod Valmy. Goethe był zawsze przystępny, wytrwały w przy-

jaźni i uczynny. Chcąc ilustrować egoizm Goethego, Rod bierze do tego rysy już nie z pamiętników, ale z innych źródeł, wytyka jego korzenie się umysłowe przed największym geniuszem spółczesnym politycznym — Napoleonem, jego całkowitą obojętność względem narodowego przebudzenia się Niemiec i jego całkowitą niewiarę w jakiekolwiekbądź zjednoczenie się polityczne swojego narodu. Skłonniejsi bylibyśmy do wniosku, że w tém nieuleganiu rwącym prądom społecznym uwydatnia się raczéj jedna z najwybitniejszych cech geniuszu Goethego, przyczyna nieobliczalnego jego wpływu na przyszłe pokolenia. Sam Rod przyznaje, że jego rozwijanie się było bardzo powolne, że było niby uosobieniem heglowskiego pojęcia stawania się *(Das Werden)*, że chociaż ciągłe, odbywało się jednak z wielkiemi niby przestankami, a gdy się wydawało, że całkiem się wyczerpał, strzelał on nagle jakimś nieoczekiwanym arcytworem, tak mało odpowiadającym usposobieniu ogółu i prądom wieku, że go przyjmowano chłodno i że trzeba było długiego czasu, nim w nim zasmakowano. Nikt nie był bardziéj od Goethego nad fale usposobień ludzkich podniosły, nikt mniéj od niego nie ubiegał się o popularność. Ponieważ Goethe wciąż się zmieniał jak mitologiczny Proteusz i był odmienny w każdym nowym okresie swojego życia, więc zdanie ogólnikowe o nim, z jednego okresu powzięte, może się nie stosować do okresów innych. Co może być wspólnego między doktoryzującym się w r. 1771 studentem w Strasburgu, który broni takich założeń w duchu czystego luteranizmu, że państwo ma prawo ustanawiać jeden kult powszechny, wedle którego duchowieństwo powinno nauczać i do którego świeccy ludzie powinni chociażby i pozornie się stosować (ks. XI *W. u. D.)*, a religijnym mistykiem, dotrzymującym kompanii Lavaterowi i pannie Klettenberg, nareszcie z końcowym wielkim poganinem, względem każdéj religii obojętnym, który się chwalił, pokazując znajomym kawał marmuru z Delfów: „oto są moje relikwie". Jedno, w czém się Goethe nigdy nie zmienił — to był idealizm, wiara w istniejący świat nadzmysłowy (ks. XX *W. u. D.)*, który sprawił w młodzieńcu wykształconym z francuska i chętnie pisującym wiersze po francusku zwrot ku swojskości, ku niemieckości. Słynne dzieło barona Holbacha „*Système de la nature*" wydało mi się, pisze Goethe, książką szarą i tak martwą, że wzdrygaliśmy się przed nią, jak przed upiorem. Pusto nam było w téj atmosferze zmroku ateistycznego, w którym nikła ziemia i wszystkie jéj twory, niebo i wszystkie jego gwiazdy. Na pograniczu Francyi pozbyliśmy się odrazu wszystkiego francuskiego. Ich sposób życia był zbyt konwencyonalny i pański, ich poezya zbyt

chłodna, ich krytyka zbyt niszcząca, ich filozofia zbyt zawiła i niewystarczająca. Odstrychnięcie się od Francuzów zbliżyło Goethego do Szekspira. W „Goetzu von Berlichingen” Goethe zaznaczył zwrot ku swojszczyźnie staroświeckiéj i zapoczątkował romantyzm niemiecki. Następujący po „Goetzu” większy utwór, „Cierpienia Werthera”, jest niby haraczem, spłaconym rewolucyjnemu duchowi wieku, przejęciem się uczuciami J. J. Rousseau, obrzydzeniem sobie wlokącego się zwolna bezdusznego życia mieszczańskiego i rwaniem się raczéj ku rzeczom, które być powinny, niż jakiemi są w istocie (ks. XII *W. u. D.*). Werther odrazu zyskał rozpowszechnienie wszechświatowe, do tego stopnia odpowiadał nastrojowi chwili. Od autora „Goetza” oczekiwali wciąż jeszcze patryoci niemieccy ideałów średniowiecza — dalszego ciągu „Goetza”. Oczekiwania zostały zawiedzione: z poczwarki wylągł się motyl — czysty klasyk, tworzący rzeczy piękne, ale marmurowo chłodne. Poeta stał się dworakiem, tajnym radcą, małopaństeweowym ministrem, stronnikiem na całe życie drobnéj polityki niemieckiéj, nietylko nie przeczuwającym daleko późniejszéj epoki krwi i żelaza epoki Bismarka, ale mającym wstręt do przewrotu, w którym zginęłoby bezpowrotnie to, co było dla niego najpożądańsze i najdroższe. „Leżały, powiada Goethe (ks. XV *W. u. D.*), przedemną „patryotyczne fantazye” Moesera. Tłómaczyłem księciu (Karolowi Augustowi Weimarskiemu), że chociaż zarzucają Niemcom drobienie się, bezrząd i niemoc, jednak ze stanowiska moeserowskiego mnogość drobnych państewek jest rzeczą najpożądańszą dla podniesienia kultury w poszczególnych częściach wedle potrzeb, wynikających z położenia i natury każdéj dzielnicy.” Każdy przewrot polityczny kosztuje drogo, okupuje się ciężkiemi stratami. W wielkim zjednoczonym ogromie nie znalazłoby się miejsca dla takiego ogniska umysłowego, jak Weimar – niemieckie Ateny, ale świécąca nad niemi dotąd konstelacya Castora i Polluksa, Goethego i Schillera będzie i nadal przeszkadzała zgrubieniu obyczajów, obniżeniu się w humanizmie i może nie dopuści, by Germania sprusaczała.

Egoizm, o który Rod oskarża Goethego, nie wystarcza do objaśnienia, dlaczego Goethe zachowywał się obojętnie podczas „*Befreiungskrieg*’u” narodowości niemieckiéj przeciw Napoleonowi. Możemy téj obojętności nie pochwalać, musimy jednak przyznać, że miała ona jeszcze inne, poważniejsze przyczyny. O ile słuszne są inne oskarżenia o oschłość wrodzoną umysłową, brak serca, niezdolność sympatyzowania z ludźmi, odczuwania ich bólów i cierpień? Zdaje się nam, że krytyk francuski postępuje nie dość psychologicznie, że

miesza przymioty serca z właściwościami rozumu i twórczéj wyobraźni, a z pogmatwania ich snuje wnioski, na które przystać niepodobna. Z natury, rodzą się ludzie albo sercowi, albo refleksyjni. Sercowi bywają albo tkliwosze, albo bojownicy. Jednym z takich bojowników był Byron, ale rodzaj wyobraźni miał on wyłącznie podmiotowy, to jest taki, że nigdy mu się nie udało wcielić w inną osobę, wejść w cudze myśli i uczucia, że tylko sam siebie w najrozmaitszych położeniach malował. Byrona nikt nie nazwie egoistą. Ludzie refleksyjni nawet dobrymi być nie mogą bezpośrednio, tak bez namysłu i ochoczo, że dobroć sączy się z nich jak gdyby mimowolnie i bezwiednio sama przez się. Dobroć ich wypływa zawsze z tkwiącego w ich świadomości pojęcia obowiązku. To pośrednie kochanie ludzi z mocy idei obowiązku nie uwłacza im wcale, ani stawia ich niżéj. Bywali wielcy pisarze, którzy dla takiéj etyki, z głowy nie zaś z serca pochodzącéj, wyrzekli się estetyki, kultu piękności i nawet twórczości swojéj poetyckiéj, a stali się wyłącznie moralistami i kaznodziejami. Rażącym przykładem takiéj bardzo nawet niekorzystnéj dla ogółu przemiany jest obecnie hrabia Leon Tołstoj ze swoją religijną propagandą, któréj dużo możnaby zarzucić. Był jeszcze drugi pisarz rosyjski, Hohol, który stał się w końcu takimże ascetą.

Tak mało wiemy o Szekspirze, że nie możemy stanowczo orzec, był-li on dobry czy zły, egoista czy altruista, pewném jest tylko, że nikt nie wyprodukował w sztuce tylu dusz ludzkich, tak dobrze jak żywych, że nikt nie dorównał mu jako wyrazicielowi wszelkich cierpień ludzkich. Goethe należy do tegoż rodzaju ludzi, co Szekspir, do nielicznego pocztu najpotężniejszych analizatorów i reproduktorów wszelkich myśli i uczuć ludzkich. Życie człowieka składa się nie z samych tylko przyjemności, nie pełne byłoby bez cierpień. Mistrz, który sameby tylko radosne uczucia odtwarzał, byłby ograniczony, mierny. Kto zna „Ifigenię”, „Tassa”, a szczególniéj „Fausta”, ten wié, jak potężnie i subtelnie odtwarzał Goethe cierpienia ludzkie, a stąd rodzi się wniosek, że je sam osobiście odczuwał, bo inaczéj nie potrafiłby ich odtwarzać. Że tak było, są na to liczne dane w pamiętnikach, które, jak nam się zdaje, zostały przez Roda opacznie pojęte i jak najniesprawiedliwiéj ocenione.

III.

Naprzód należy uchylić posądzenie, do którego daje powód tytuł „*Wahrheit und Dichtung*”, którybym przetłómaczył nie tak, jak

p. Jenike: „Prawda i fantazya”, ale „Prawda i wyobraźnia”, że, biorąc się do tego dzieła, Goethe romans z swojego życia rozmyślnie układał, że podawał siebie potomności, życząc, żeby go za takiego, jakim się odmalował, miano. Goethe zaczął pisać dzieło w r. 1811, mając lat 62, po późném, ale nie ostatniém w życiu, zakochaniu się (w Minnie Herzlieb), a pochop do pisania dał mu cytowany we wstępie list przyjaciela, proszącego usilnie o ułożenie przez Goethego swoich utworów w związku ich wewnętrznym i w porządku chronologicznym, z objaśnieniem stanu umysłowego przy pisaniu i okoliczności, które utwór wywołały, oraz teoretycznych zasad, które przewodniczyły tworzeniu. Goethe wyznaje, że rad był z podniety i że postanowił uczynić przyjacielowi zadość, zaczął więc notować i porządkować chronologicznie utwory, uprzytomniając sobie czas i okoliczności ich powstania, co było nieraz uciążliwe z powodu trudności wypełnienia przerw między ogłoszonemi już utworami. Brakowało rzeczy zaczętych, ale niedokończonych, a i dokończone bywały nieraz kilkakrotnie przerabiane i w inne przeléwane formy. Jednocześnie Goethe przypominał sobie usiłowania czynione w zdobywaniu nauk i sztuk. W miarę, jak przedstawiał sobie pobudki zewnętrzne i wewnętrzne, które nań oddziaływały, szczeble teoretyczne i praktyczne, po których kroczył, musiał coraz częściéj z własnego życia przenosić się na świat szeroki. Postaci znakomitych ludzi, z którymi obcował, wysuwały się naprzód, nawet wielkie ruchy polityki wszechświatowéj powinny były być uwzględnione. Główném zadaniem każdéj biografii jest okazanie, o ile całość okoliczności sprzeciwiała się albo sprzyjała dążeniom człowieka, jakie w sobie wyrabiał poglądy na świat i ludzi, a jeżeli to był pisarz, w jaki sposób poglądy swoje uwydatnił. Stulecie w prąd swój człowieka porywa i urabia, tak iż o lat dziesięć wcześniéj lub późniéj zrodzony już byłby może pod względem wykształcenia i działalności na zewnątrz całkiem innym. „W takiéj to drodze, z takich rozważań, prób i rozpamiętywań, pisze Goethe, wyłoniło się niniejsze przedstawienie, które mogło być tylko na poły historyczne, a na poły poetyckie”, bo ani mówiąc o dawnych ludziach, nie może sześćdziesięcioletni człowiek patrzéć oczyma dziecka czy młodzieńca, ani o wypadkach przeżytych nie może sądzić nie w świetle późniejszych doświadczeń, nakoniec co zapomniał, może przez wyobraźnię tylko uzupełniać. „Nie zapowiadałem, pisze Goethe (ks. XII *W. u. D.*), pracy samoistnéj”, jéj przeznaczeniem było wypełnić pewne luki w mojém życiu, objaśnić niejeden fragment i przechować pamięć spełzłych a przebrzmiałych zamiarów.

Jak każdy prawdziwy poeta, miał Goethe zdolność uwalniania się od cierpień i udręczeń duszy za pomocą skrystalizowania ich w utworze poetyckim, którym się od nich jak gdyby odgradzał i przez to ich pozbywał. Sam to tłómaczy (w ks. VII *W. u. D.)*, jak „od młodu począł się kierunek, z którego potém zboczyć nie mogłem, że wszystko co mnie dręczyło, cieszyło lub w inny sposób zaprzątało, zmieniałem w obraz, w utwór poetycki, aby nietylko pojęcia moje o rzeczach zewnętrznych prostować, ale zarazem wnętrze ducha własnego uspokajać... Ilekroć dla poezyi mojéj potrzebowałem podkładu rzeczywistego, uczucia lub refleksyi, musiałem sięgać do piersi własnych... Od czasu, jak mnie zaczęła trapić troska o Frederykę (Brion), powiada Goethe (ks. XII *W. u. D.)*, szukałem swym zwyczajem ulgi w poezyi. Odbywałem téż, jak dawniéj, rodzaj samospowiedzi poetyckiéj, nakładając nieraz na siebie pokutę. Żadna taka potrzeba, żadne szukanie ulgi nie przewodniczyły układaniu pamiętników. Pisał je człowiek podeszły, skupiający i ożywiający zatarte nieco wrażenia pierwszéj młodości, kiedy jeszcze nie był mężem stanu i dworakiem. Pisał je zachęcony przez przyjaciół dla małego koła ludzi, interesujących się dziejami jego stopniowego wykształcenia, chcąc samemu sobie uprzytomnić proces ewolucyi swojéj głównie twórczości literackiéj i zdać sobie sprawę, co z odczutego i przeżytego osobiście weszło prawie do niepoznania uidealizowane do jego utworów. Goethe był poetą a przytém i człowiekiem naukowym; pamiętniki układał człowiek naukowy, historyk, mający ściśle określone zadanie, przeciwny w swéj tego rodzaju pracy fikcyi, ale doskonale świadomy tego, że i najskrupulatniejszy historyk nie posiędzie bezwarunkowéj prawdy, że się posługiwać musi wyobraźnią, chociażby dla samego powiązania, zaokrąglenia i uzupełnienia swego materyału. Pamiętniki urywają się na r. 1775. Pobyt w Weimarze od r. 1775 do 1786 był najmniéj płodny w wartościowe dzieła literackie, następnie wspomnienia z podróży włoskiéj były codziennie prawie notowane, a dla wielkiego dziesięciolecia przyjaźni wielkich braci Dioskurów (1794 — 1805) wszelkie pamiętniki były zbyteczne wobec wydanéj starannie przez Goethego jego korespondencyi z Schillerem.

IV.

Najsłabszą, najdrażliwszą stroną poety wobec krytyki bywa jego erotyzm. Wspomnijmy, co pisał Zan o Mickiewiczu 12 maja 1823 r. (Koresp. 11, 6) po wydaniu czwartéj części „Dziadów": „nie-

wczesne wyjawianie się ze swemi miłosnemi wrażeniami niezbyt pochlebne i przyjemne czyni na wielu wrażenie. Nic wstrętniejszego na świecie nad chełpliwość mającego powodzenie mężczyzny, a tych powodzeń miał Goethe sporo. Rod przyznaje mu, że opowiadania jego o zakochaniach się są oczyszczone od wszelkich męskich przechwałek. Nie znalazł Goethe łaski u krytyka za tę samą wstrzemięźliwość, za to, że wymieniając w jak najsuchszy sposób wpływ téj lub owéj kobiecéj postaci na utwory, załatwia się zbyt lekko *(d'un ton detaché qui deplait*, p. 24), tonem zdradzającym wrodzoną obojętność kochanka i prawie pogardliwą wyższość opowiadacza. Rod ma za złe Goethemu jego poprawność, niewchodzenie w szczegóły, zamilczanie o okolicznościach, które gdyby zostały obnażone, dopiéro-by się okazało, ile w saméj rzeczy było udawania albo pospolitości w każdéj miłości (29, 35), ile jest konwencyonalności, sztuczności, romansowości w upoetyzowanéj prawdzie opowiadania, ile oschłości, egoizmu a nawet okrucieństwa (39).

Dusza Goethego miała wrodzony przymiot, nie mający wszakże nic wspólnego z pamiętnikami, że w największém uniesieniu miłosném nie mógł nie robić doświadczeń, nie analizować, że uczucie miłosne nigdy go całkowicie nie posiadło, że żadnéj ze swych kochanek nie oddał się cały bezwarunkowo, aż wreszcie na schyłku lat (1806) ożenił się z hożą, niewykształconą kwiaciarką Chrystyną Vulpius, z którą już był nieślubnie przeżył lat 17. Takiego urządzenia życia nie mamy zamiaru chwalić, ani zalecać. Goethe sam się potępiał za niestałość w miłości. „Dopiéro wtedy, pisze, odczułem wielkość straty; Frederyka (Brion) ustawnie stawała mi na oczach, uznawałem się winnym własnego nieszczęścia. Tu po raz pierwszy byłem sprawcą złego; zraniłem serce anielskie w najskrytszych jego głębiach; chwile późnego żalu były dla mnie dręczące, prawie nieznośne. Odbywałem rodzaj samospowiedzi poetyckiéj w „Goetzu" i „Clavigo", w których liche postaci kochanków były poniekąd wynikiem takich udręczeń pokutniczych *(XX, W. u. D.)*. Rod nie wierzy prawdziwości téj skruchy i sądzi, że złapał Goethego na gorącym uczynku nieszczerości, na odgrywaniu komedyi w Wetzlarze z Kestnerem i Szarlottą Buff w romansowym stosunku, który posłużył potém za wątek do „Cierpień Werthera". Rzecz cała jednak bardzo jest prosta. Goethe doktoryzował się w Strasburgu, poczém został w r. 1772 aplikantem przy sądzie cesarskim w Wetzlarze. Przyjaciel jego, Kestner, poznajomił go ze swoją narzeczoną, Lottą Buff, w któréj się Goethe zapamiętale zakochał. W ciągu lata odbywała się iście niemiecka sielanka w trzech nierozłącznych i zgodnych z sobą osobach, bo i Lotta

była względem Goethego przyjazną i życzliwą, i Kestner był do tego stopnia pewien jéj przywiązania, że nie okazywał najmniejszéj zazdrości. „Stosunek mój, pisze Goethe w pamiętnikach, samą siłą przywyknienia stawał się namiętniejszy, oboje zaś narzeczoni obcowali ze mną w sposób tak przedziwnie swobodny, że widoczna ich pewność siebie kazała mi o wszelkiém niebezpieczeństwie zapominać. Młoda para miała wkrótce z sobą się połączyć, że zaś człowiek posiadający jaką taką energię potrafi chcieć tego, co uznaje za konieczne, przeto i ja postanowiłem dobrowolnie się oddalić, nie czekając aż mnie wygna nieznośna rzeczywistość." Trudno zwięźléj i prościéj streścić sytuacyę. Goethe umknął z Wetzlaru 11 września 1772 r., nie uprzedziwszy przyjaciół, nie pożegnawszy się z nimi, zostawił tylko parę kartek do nich, wyrażających w krótkich frazesach urywkowych swoje uczucia (*Er ist fort*, *Kestner*, *wenn Sie diesen Zettel kriegen*, *er ist fort... O, mein armer Kopf!)*. Z listów do Kestnera w r. 1773 można się przekonać, że Goethego wciąż prześladował obraz Lotty, że melancholijne usposobienie trwało bardzo długo, że go trapiła nawet powszechna w owém pokoleniu i wieku myśl o samobójstwie. Kładł co wieczór pod poduszkę zaostrzony sztylet i próbował, czy nie mógłby na parę cali zagłębić go w swoje piersi (ks. XIII, *W. u. D.*). „Wtém, pisze Goethe, gruchnęła wieść o samobójstwie w Wetzlarze znanéj osoby, młodego teologa Jeruzalema, który się zastrzelił z powodu niepowodzeń w miłości. W jednéj chwili ułożył się w głowie Goethego plan Werthera. „Jak woda w naczyniu, bliska zamarznięcia, ścina się w lód przy najmniejszém wstrząśnieniu, tak i we mnie szczegóły zestrzeliły się same, tworząc całość spoistą." Te słowa świadczą, jak zawodną jest pamięć w człowieku, nawet względem wypadków, zaszłych w życiu jego własném. Odjazd z Wetzlaru nastąpił 11 września 1772 r., zaś 30-go października tegoż roku zastrzelił się Jeruzalem. W ciągu 1773 r. Goethe bawi najczęściéj we Frankfurcie, przerabia i wydaje „Goetza", zaznajamia się z etyką Spinozy i staje się na całe życie panteistą, dowiaduje się w początkach 1774 r. o nieszczęśliwém pożyciu małżeńskiém przyjacjółki swéj, panny Maksymiany Laroche, wydanéj za kupca Brentano, co mu daje pochop do napisania szybko i jednym ciągiem „Cierpień Werthera", zaczętych 1 lutego i ukończonych w marcu 1774 roku.

Sprostujmy mylne powiązanie w pamiętnikach przyczyn i skutków. Pochop do samobójstwa był tak powszechny i epidemicznie grasujący w Europie, że „Cierpienia Wethera" nabyły od razu rozgłos wszechświatowy. W tę książkę wczytywał się Napoleon

w Egipcie, znalazła téż i u nas nieśmiertelny wyraz w końcu pierwszéj ćwierci XIX wieku w czwartéj części „Dziadów". Pisze Goethe (XIII, *W. u. D.*): „wyśmiałem siebie, porzuciłem hipokondryczne widziadła i postanowiłem żyć jeszcze, by jednak żyć pogodnie (*mit Heiterkeit*), musiałem podjąć się poetyckiego zadania, w którém-by omówione było wszystko, co w tym ważnym przedmiocie odczułem, przemyślałem i roiłem. Skupiałem materyały, które od lat dwóch we mnie się tułały; uprzytomniłem sobie wypadki, które mnie najbardziéj męczyły i trwożyły. Wszystko to ukształtować się nie chciało. Brakło mi fabuły..." Wtém gruchnęła wieść o śmierci Jeruzalema i wnet ułożył się plan Werthera. Nie tak było w rzeczywistości. Plan dojrzał w rok przeszło po śmierci Jeruzalema. Dzieło pisane było w znacznym odstępie czasu od chwili, kiedy Goethe rozstał się ostatecznie z widmem samobójstwa. Pochop do napisania dzieła dało współczucie losowi panny Laroche; obie niewiasty—pani Brentano i pani Kestner—pozowały na heroinę powieści o Wertherze. Dzieło pisane było nie pod świeżém wrażeniem cierpień samego autora, było raczéj imaginacyjne, ale stało się wnet bardzo wpływowém, bo wprost trafiało w bolące miejsce, w chorobę wieku. Werther stał się utworem bardzo modnym. Miał krytyk pełne prawo, z którego téż skorzystał, obniżyć artystyczną wartość „Cierpień Werthera" mało już dziś poczytnych, których znaczenie było wtedy czasowe, a dziś głównie historyczne. Któż dzisiaj czyta nawet „Nową Heloizę" Rousseau? Słusznie uważa krytyk, że gdyby się z sobą kiedy spotkali Saint-Preux i Werther, toby się przerazili, bo każdyby przed sobą ujrzał swojego sobowtóra. Ale p. Rod sięga daleko wyżéj i twierdzi, że już w chwili zakochania się w Szarlocie Buff Goethe uczucie miłości swéj do niéj forsował i śrubował w zamiarze wyzyskania go późniéj artystycznie, że same kartki pisane 10-go września 1772 r. przed odjazdem z Wetzlaru były sztucznie komponowane w tym właśnie celu, że i układał je człowiek odgrywający sam z sobą rodzaj komedyi, bez złéj wiary zresztą i bez obłudy, jak to chętnie czynią ludzie, oschłe serca mający, którzy sztucznie rozgrzéwają swoją wyobraźnię i którym się udaje sprawić na innych złudne wrażenie szczerości, któréj im właśnie brakło, bo nie byli takimi, lecz tylko pozowali (p. 113). Tragiczne rozwiązanie w „Wertherze" przykrywa więc, wedle Roda, spokojny koniec sielanki dość pospolitéj i płaskiéj (p. 120). Czémże jest Werther w porównaniu ze swojemi źródłami: przygoda osobista autentyczna, ale pospolita i mało znacząca, skombinowana z drugą téż osobistą przygodą, ale z innemi osobami (stadło Brentanów). Aby dać całości podnoszące

ją tragiczne zacięcie i zakończenie, autor ucieka się do całkiem postronnego wypadku (Jeruzalem), to jest wprowadza do amalgamy pierwiastek obcy, nie z własnego doświadczenia, lecz ze spostrzeżeń zewnętrznych wzięty.

Dziwimy się niepomału takim wymaganiom krytyki, stosowanym do utworu sztuki. W „Wertherze" autor z życia swego nie myślał się spowiadać. Od wieków odróżniano prawdę poetyczną od prawdy rzeczywistéj. Prawda poetyczna jest tylko piękne zmyślenie z naturą rzeczy zgodne, rzeczywistość, ale mocno zmodyfikowana, ujęta w formy odpowiednie warunkom idei piękna. Do tych warunków nie należy ani to, czy sporo weszło do utworu rzeczy realnie przez autora odczutych, ani to, czy ze świeżych, czy z późniejszych wspomnień i wrażeń został utwór wysnuty. Wadą utworu bywa, gdy autor nie umiał, jakby mógł, zużytkować rzeczywistości, gdy podaje coś, co jest gorsze i pośledniejsze od tego, jakiém było w naturze. Rzadko poeta doświadczył i odczuł osobiście rzeczy nadzwyczajne, które przedstawia, lecz gdy ma talent poetycki, potrafi wysnuć z rzeczy znanych, pospolitych a nawet banalnych nieśmiertelne opowiadania albo piosenki. Cóż może być pospolitszego nad następujący rzeczywisty wypadek. Był utalentowany, ale niebogaty młodzian, imieniem Adam, i była dostatnia panna, o którą się ubiegano—Maryla. Kochali się wzajem, ale pannę wydano za odpowiedniejszego i nieco dojrzalszego konkurenta, Wawrzyńca, który z tego względu podobny był do Kestnera, że nie był bynajmniéj zazdrosny. Małżonkowie prowadzili po pobraniu się korespondencyę z Adamem i widywali się z nim, jak Kestnerowie z Goethem. Co przeniósł i jak cierpiał Adam, to pokryte jest tajemnicą, ale wiadomo, że do swojego ognia dolewał pożyczonéj oliwy, że rozpalał się czytaniem „Werthera," że idąc w tropy „Werthera" marzył o samobójstwie i poetycznie je opisał w książeczce, którą ofiarował Maryli w dwa lata po jéj zamążpójściu z prośbą: „I pamiątkę kochanka przyjmij z ręki brata"— Serce poety nie stoi długo pustkami, bywały w niém rozmaite i panny i panie, ale w lat 8 po zamążpójściu Maryli jeszcze Adam marzył o niéj i tylko o niéj (w 1829 r. na Alpach w Splügen): „Nigdy więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę—I postać twoją widziéć lękam się i żądam." Przygody towarzyszące stosunkowi mogły być bardzo pospolite, ale prawdziwa miłość poety nie bywa nigdy pospolitą i banalną

V.

Cały występ p. Roda przeciwko Goethemu, jako prototypowi Werthera z powodu pamiętników jest bez racyi, możnaby rzec, używając francuskiego przysłowia, że jest to *une querelle d'allemand.* Lepiéj by zrobił krytyk, gdyby zbył całą materyę o Wertherze w krótkich słowach, przez co uniknąłby rażącéj w układzie jego pracy nieproporcyonalności części. Połowa studyum poszła tak na pamiętniki, które, mimo swoją dziejopisarską wartość, stanowią w całości utworów cząstkę dość podrzędną, jako téż na dwa kryzysy, czyli przełomy: romantyczny („Goetz") i sentymentalny („Werther"). W obu tych utworach Goethe nie jest jeszcze sam sobą, podlega mocno wpływom zewnętrznym i porywany jest przez nowe prądy rewolucyjne, które nurtowały społeczeństwo europejskie w drugiéj połowie XVIII wieku. Słusznie notuje Rod, że na romantyzm Goethego wpłynęły rozmaite okoliczności: zachęta ze strony Herdera, który był nowatorem w swoim rodzaju i propagatorem poezyi ludowéj, przeciwstawianéj poetom uczonym, przejęcie się Goethego Szekspirem, zawdzięczane Herderowi i Lessingowi, wrażenie wywarte przez tum Strasburski, zajęcie się gotykiem, który Goethe mylnie brał za narodową architekturę niemiecką. Panował wówczas nawet w szkołach taki kierunek retrospekcyjny, że uczniacy wyobrażali sobie swoich praojców wedle obrazu Germanów, nakreślonego przez Tacyta (ks. VI, *W. u. D.*). Był popęd do usamowolnienia się w duchu narodowym, do wyzwolenia się z mody, kultury i literatury francuskiéj, ale nawet dla zwalczania francuszczyzny zapożyczano się od Francyi, brano od J. J. Rousseau jego duch rewolucyjny, wskutek którego temu największemu władcy dusz w XVIII wieku hołdowali i Kant, którego Herder był uczniem, i Herder, i Goethe. Tém się tłómaczy, że Goethe podniósł i wyidealizował niesympatyczną postać dość tuzinkowego rycerza-rabusia, wichrzyciela, depcącego w XVI w. władzę cesarską w epoce największego rozprzężenia politycznego Niemiec. Rod sądzi (p. 80), że nikt na świecie nie może twierdzić na seryo, jakoby „Goetz von Berlichingen", albo autor jego Goethe byli poprzednikami jedności politycznéj Niemiec i Bismarka [1]). „Dzieje Goetza, pisze Goethe (X ks. *W. u. D.*), wstrząsnęły mną do głębi: postać nieokrzesana dobrze intencyonowanego bojownika samopomocy

---

[1]) Myli się — ja sam słyszałem takie założenie przed laty kilkunastu na pewnym odczycie publicznym w Warszawie.

w dzikiéj anarchicznéj epoce mocno mię zajęła." Nęcił w Goetzu Goethego, wedle słusznéj uwagi Roda, powrót do stanu natury, do pierwotnéj wolności. Pojął on Goetza, patrząc nań przez szkiełko Rousseau. Był to utwór pełen wad początkującego jeszcze pisarza, który, wedle przyznania się samego Goethego, „zrzucając krępujące go więzy jedności miejsca i czasu, zaniedbał ważniejszą od nich jedność wewnętrzną" i stworzył szereg luźnych scen, w których główny bohatér, Goetz, staje się coraz bezczynniejszym, a na pierwszy plan wysuwają się Weislingen — słaby człowiek, w którym Goethe sam siebie przedstawił, pokutując za swoje odstąpienie od Fryderyki Brion, i Adelheida, bohaterka melodramatyczna, całkiem wymarzona; żadnéj takiéj kobiéty Goethe nigdy nie spotykał.

Z Wertherem jużeśmy się załatwili. Godzimy się z krytykiem, że, mimo olbrzymi talent pisarski, utwór ten z ducha Rousseau poczęty, pełen czułostkowości przesadnéj, chorobliwéj i wyśrubowanéj, nie kwalifikuje się do zaciągnięcia w spis arcydzieł wiecznie świeżych i prawdziwie nieśmiertelnych. Ponieważ p. Rod założył sobie, że w utworach będzie badał człowieka i śledził, jakie w ciągu jego życia zachodziły w jego osobie odmiany, nie pojmujemy, dlaczego przeskakując przez „Egmonta" i „Ifigenię" załatwił się z poetą dworakiem (4 rozdział), zahaczywszy o jednego tylko „Tassa." Ten długi okres życia, od listopada 1775 (przyjazdu do Weimaru) aż do powrotu z pierwszéj podróży włoskiéj w 1788 r., jest bardzo ważny i stanowczy, bo odpowiada zerwaniu Goethego z sentymentalizmem i tytanicznėm nieboburcowstwem (*Der titanisch-gigantische himmelstürmende Sinn verlieh meiner Dichtungsart kein Stoff*) i przejście do olimpijskiego spokoju, gdy jako Prometeusz bogów uznawał, ale spokojną, plastyczną, bierną opozycyą dążył ku temu, aby stanąć z nimi na równi (XV ks. *W. u. D.*). Zaszła w pisarzu stanowcza odmiana i człowiek jawi się przed nami całkiem inny, z romantyka klasyk, obracający się z pełną swobodą w więzach już nie starożytnéj, ale pseudoklasycznéj estetyki francuskiéj, jak gdyby go nie krępowała, obchodzący się bez chórów, poprzestający na pięciu co najwięcéj nie działających, a tylko mówiących osobach, ale tak mówiących, że się w ich mowach odzwierciadla odbywająca się w ich duszach ewolucya ich nastrojów i uczuć. Rod cytuje najnowszych życiopisarzy Goethego, naprzykład Roberta M. Meyera („*Goethe*", *Berlin 1895*) i Bielszowskiego (Dr. Albert Bielschowsky, „*Goethe, sein Leben und seine Werke*", *München 1896*), mógłby więc chociażby od Meyera dowiedzieć się, że nie dla Korony Schroeter, aktorki, układał Goethe Ifigenię, że za wzór do Ifigenii służyła mu wielkoświatowa dama

dworska. pani Stein, całkiem niepodobna do dziewcząt, do których dotąd się zalecał, starsza od niego o lat 7 i matka już siedmiorga dzieci, kobiéta wysoce wykształcona, bardzo łagodna i wywierająca na niego wpływ uspokajający, kojący. Głównym węzłem sztuki jest scena, w któréj matkobójca Orestes, prześladowany przez Erynnije, uwolnionym zostaje od ich mściwego pościgu skutkiem przyczynienia się starszéj od niego siostry, szlachetnéj niewiasty, która te duchy zażegnała i do ustąpienia zmusiła. Miał swoje utrapienia Goethe, mniéj straszne od Orestesowych, ale dotkliwe. Ścigały go wyrzuty sumienia za Fryderykę Brion, którą miłując opuścił, i która aż do śmierci (1813) została niezamężną, za strojnisię Lily (Annę Schoenemann, późniejszą panią Türckheim), z którą już po słowie i po zaręczynach zerwał, gdy wstąpił na dwór wejmarski. Od tych mar uwolniła Goethego czuła i prawie siostrzana opieka pani Stein. Do obydwóch jeździł potém w odwiedziny z Weimaru, obie pozostały do końcn życia z najlepszą o nim pamięcią i uwielbieniem. Mniéj dbamy o pominięcie „Egmonta",— jest to jeden ze słabszych utworów mistrza, w którym znać jednak jego rękę. Dla twórczości poetyckiéj wielkiego poety żywot dworski w roli pierwszego ministra, chociażby w drobném państewku, mentora młodego, tylko co do pełnoletności doszłego księcia, gospodarzącego i zabawiającego towarzystwo, był niezmiernie uciążliwy i jałowy. Zaczęły mu ciężyć jego życie i otoczenie, sprzykrzył mu się nawet stosunek do pani Stein, tak że raptownie 3 września 1786 roku, nie zapowiedziawszy nikomu swego zamiaru, zbiegł z Karlsbadu, gdzie się na wodach leczył, na dwa lata do Włoch, do których tęsknił oddawna. Z Włoch wrócił do Weimaru, ale już nie do dawniejszych obowiązków, wiozącprzerobioną ostatecznie „Ifigenię", wykończonego „Tassa" i powiększonego nieco „Fausta". Estetycy smakosze stawią „Tassa" bardzo wysoko pod względem wykończenia, pokonania trudności tecznicznych, nakoniec jako rzecz, w którą dużo włożył osobistych doświadczeń. Ma to być niby kwintesencya tego, co przeżył, będąc na dworze i rządząc jako minister. W swych sądach o „Tassie" Rod trzyma się opinii Kuno Vischera i powołuje się na piękne studyum Cherbulieza „*Le prince Vitale.*" Tasso w dramacie Goethego nie ma nic zgoła wspólnego z Tassem historycznym, do którego życiorysu źródła nie były jeszcze w XVIII wieku drukiem ogłoszone, z Tassem, spóźnionym poetą Odrodzenia, który stał się ofiarą ostréj cenzury kościelnéj w epoce starcia się reformacyi z powracającym do rygoru katolicyzmem rzymskim, wietrzącym herezye w utworach sztuki. Przytém, trybem spółczesnych poetów XVI wieku, żyjąc z łaski pańskiéj, tra-

fił na dwór bardzo rozpustny jednego z najgorszych drobnych tyranów włoskich. Ferrara jest tylko fikcyjném miejscem akcyi dramatu, rzecz cała się dzieje właściwie w Weimarze, książę i inne działające osoby są to ludzie dobroduszni, sztukę piękną pielęgnujący, ale sztywni i konwenansowi podlegli. Oceniony przez księżnę Leonorę d'Este i uwieńczony przez nią laurem, poeta traci głowę, rozpala się i podnosi oczy jako mężczyzna na panią, która upodobała w nim tylko poetę, a przez to wypada z łaski i traci wstęp do dworu—nic więcéj. Niema tu ani melodramatycznych scen tułactwa o żebraczym chlebie, ani zamknięcia w domu obłąkanych. Tasso ma podobieństwo do Werthera, ale jest to Werther już nieco utemperowany, czułostkowy, niesłychanie drażliwy i podejrzliwy, gotowy w każdym upatrywać wroga, a tak nie znający się na ludziach, jak małe dziecko. Wkładając w Tassa coś ze swojego własnego doświadczenia z młodszych lat, Goethe zdublował swoją jaźń, to jest przeciwstawił Tassowi bystrego polityka, Antoniego Montecatino, obdarzonego temi przymiotami, które Goethe świadomie w sobie wyrobił, kiedy rządził, gdy był ministrem. Między obydwiema temi osobami istnieje przeciwieństwo dwóch rdzennie sprzecznych natur. Zwycięża ten, kto praktyczniejszy, kto patrzy na poezyę jak na przyjemną zabawkę, kto umié ranić poetę aż do krwi i nim jak chce kierować, ale sympatye i autora i czytelnika są po stronie natury lotniejszéj i szlachetniejszéj, to jest po stronie Tassa.

Ponieważ p. Rodowi głównie chodzi nie o utwory Goethego, ale o jego osobę, o ile ta osoba uwydatnia się w jego utworach, nie możemy mu brać za złe, że się prześlizgnął po prześlicznéj sielance w homerowskim stylu na tle wypadków z rewolucyi francuskiéj („Herman i Dorota"). Nie mamy mu za złe pominięcia „Córki nieślubnéj" (*die natürliche Tochter*), zbyt lekko traktowanéj przez dzisiejszych krytyków, ale świadczącéj jak przenikliwie pojął Goethe doniosłość wielkiéj rewolucyi społecznéj, zapoczątkowanéj przez Francyę, jak odgadł konieczne demokratyzowanie się społeczeństw europejskich. Daleko mniéj da się uzasadnić pominięcie „Uczniowskich lat Wilhelma Meistra". Pod koniec życia w rozmowach z Ekkermanem Goethe sądził o téj pracy w sposób następujący: „jest to jeden z najnieobliczalniejszych (*incommensurabelsten*) utworów moich, do którego sam dzisiaj już nie posiadam klucza." Jak wszystkie większe utwory Goethego, jest to niedorostek, coś nakształt torsu Herkulesa, ale w tym ułomku drga potężne życie. Autor sam siebie odmalował, mnóstwo znajomych sportretował, wstawił w ramy romansu cały wiek XVIII z jego anarchią, swawolą i rozluźnieniem

obyczajów. Interes utworu stopniowo słabnie po pierwszych 5 księgach ku końcowi, w którym na pierwszy plan wysuwają się etyka i zadania pedagogiczne, w którym bogaty kupczyk, trochę literat, trochę amator teatru, mężnieje, praktycznieje i wskutek przeróżnych przygód wyrabia się z dyletanta na człowieka poważnego i pożytecznego. Całe dzieło jest w gruncie tendencyjne i skierowane przeciwko dyletantyzmowi, o którego propagowanie Rod Goethego oskarża. W 1799 r. w listach do Schillera Goethe zamierzał napisać cały traktat o tak zwanym dyletantyzmie, czyli o praktyczném zamiłowaniu w sztuce, w którym miał to zło podciąć w samym jego korzeniu (Meyer s. 261).

VI.

Krytyk poświęca rozdział przedostatni „ostatniemu romansowi" Goethego *Wahlverwandschaften*, osnutemu na idei miłości, jako ślepéj siły żywiołowéj, pociągającéj serca tak, że już nie mogą się jéj oprzéć. Jest w tym romansie blade i całkiem przeinaczone odbicie się miłości, któréj Goethe doświadczył, mając lat 58, ku młodziutkiéj 18 letniéj dziewczynie Minnie Herzlieb, od któréj oderwanie się mocno go kosztowało, a była to miłość nie ostatnia. W 1823 r. mając lat 74, podkochiwał się w Marienbadzie w Ulryce Lewetzow.

Z lekkim bagażem, nie wyczerpawszy większéj części dzieł Goethego, które się nadawały do psychologicznego studyum o Goethem, Rod przystępuje w rozdziale 6 i ostatnim do *Grand Oevre*, do arcytworu, do „Fausta", z którego dwoma częściami załatwia się na 53 stronicach. Temu końcowi nie dużo mamy do zarzucenia, bo albo mieści przedmiot legendowych źródeł dramatu, albo dat powstania cząstek, z których to arcydzieło układało się w ciągu całego życia, ale się ostatecznie nie ułożyło, bo cząstki nie dały się stopić, albo powtarza sądy o obu częściach już wygłoszone i wymotywowane przez znawców, jak Kuno Vischer, Loeper i inni, z którymi p. Rod jednoczy się we wspólnym chórze pochwalnym i czyni następujące wyznanie osobiste (p. 285): „w ciągu mego studyum gniewałem się czasami na tego człowieka, którego wyższość umysłowa miała tyle słabostek; tu zaś przynajmniéj można podziwiać bez żadnego wyłączenia wielkość artysty i pracownika wobec ukończonego dzieła, które stanowi niby uosobienie całéj jego duszy."

„Faust" był dla Goethego rodzajem skarbony, do któréj w ciągu całego życia dorzucał ciągle nowe monety, tak iż się zebrała

znaczna ich ilość, ale ze sztuk najrozmaiciéj stemplowanych. Są sceny pisane może jeszcze w Strasburgu, w 1775 roku istniał już zawiązek bez prologów na scenie i w niebie, Mefistofeles wyprawia hece jako drobny psotnik i szyderca, ale już mieści się w tym zawiązku prawie cała tak zwana tragedya Małgosi, bez Walentego tylko i bez końcowéj katastrofy w więzieniu. Nie ulega wątpliwości, że gdyby z późniejszego dramatu wyrzuconą została Małgosia, utwór cały byłby nie interesujący, martwy. Po zaprzyjaźnieniu się z Schillerem, Goethe zasięgał jego rady, co zrobić z „Faustem”, którego ułamek wydrukowany był w 1790 r. w zbiorze pism Goethego. Wskutek rady Schillera, Goethe przedsięwziął pogłębić ideę sztuki i dać jéj podkład filozoficzny. Przybyły wtedy oba prologi. W prologu w niebie Bóg zakłada się z szatanem o Fausta, Mefisto występuje odtąd jako duch zła i przeczenia; przybyły próba otrucia się Fausta, przechadzka z Wagnerem po za miastem, scena układu z dyabłem i podpisania cerografu, sceny z Walentym, pojedynek jego z Faustem, nakoniec scena w więzieniu i rozstanie się Fausta i Mefisto z Małgosią, już od wiecznego zatracenia uratowaną, bo się zrezygnowała ponieść śmierć doczesną. Sztuka sama nie skończona, a raczéj urwana, bo chociaż po śmierci Małgosi można już uważać Fausta za duszę zaprzepaszczoną, nie nastały wszakże warunki paktu, od których zawisło wejście czarta w posiadanie téj duszy: „*Werd ich zum Augenblicke sagen: Verweile doch! du bist so schön! Dann magst du mich in Fesseln schlagen.*” (Jeżeli powiem ja do chwili: zatrzymaj się, tyś taka piękna! — Natenczas już zakujesz mię w kajdany). Te wiersze są niby nici, zapowiadające ciąg dalszy. Jest wzmianka w części 1-éj o klasycznéj Helenie. Z legendy wiadomo, że Faust czarodziéj wywoływał przed cesarza Karola V duchy Aleksandra W. i Roksany, a w Wittenbergu pokazywał uczonym Helenę i nawet z nią syna spłodził. Nie mógł Goethe nie skorzystać z tych wskazówek legendy, a to tém bardziéj, że odmłodu czuł w sobie ducha prometeuszowego, że uznawał siebie za pokrewnego bogom i że nie mógł z tryumfem dyabła się pogodzić; musiał więc dać sztuce taki końcowy obrót, że ostatecznie Faust zostanie z czartowskich szponów wydobyty, a chóry anielskie zaśpiewają: *Wer immer strebend sich bemüht, Den sollen wir erlösen!* (Kto wciąż wytężając się usiłuje — Ten wyzwolony zostanie). Pomysły i luźne sceny drugiéj części „Fausta” pochodzą z czasów podróży włoskiéj, a może nawet jeszcze ze Strasburga, ale nim Goethe przystąpił do układania całości, upłynęły lat dziesiątki. Przystąpił do téj roboty, zachęcony niesłychaném powodzeniem, którego pierwsza część w społeczeństwie niemieckiém doznała. Była to chwila naj-

większego upokorzenia politycznego Niemiec. Pierwsza część „Fausta" w 1808 r. wyszła z druku w rok po bitwie pod Jeną i po pokoju w Tylży. Odrazu dzieło uznane zostało za najwyższy wyraz umysłowego i literackiego odrodzenia się Niemiec w duchu narodowym. Podnieśli Goethego na tarczy dotychczasowi jego przeciwnicy, romantycy. Jean Paul Richter dał „Faustowi" nazwę *Shakespeare posthumus.* Wielki patryota niemiecki Stein wyrażał się o Fauście: *„mein Katechismus, der Innbegriff meiner Ueberzeugungen und Gefühle"*. Słusznie twierdzi Rod (p. 280), że Niemcy owych czasów były krajem najbardziéj intellektualnym, że urodziny każdego umysłowego arcytworu obchodziły jako narodowe zwycięstwo, chociaż w owe czasy dobre armaty powinny były więcéj znaczyć, niż najpiękniejsze wiersze. Mimo to wiara narodowa podtrzymała utwór podczas pierwszych lat jego rozpowszechnienia się, od których nieraz zawisła przyszłość utworów. Wiara ta podniosła i rozszerzyła treść i myśl utworu, zrobiła zeń dzieło wielce narodowe, a jednocześnie mocno wszechświatowe, pokryła go rodzajem krystalizacyi, złożonéj z niezmiernéj ilości mnóstwa obcych pomysłów i marzeń w nieświadomości poczętych, które się do utworu przylepiły. Na utwór rzuciły się roje komentatorów. Alegoryści i symboliści wynajdywali w nim dziwy, o których autorowi ani się śniło. Historycy i filologowie dokopywali się aż do korzonków legendy. Z komentarzy utworzyła się niby *selva oscura* dantejska, rodzaj nieprzebytego lasu podzwrotnikowego, nieodpowiedniego napozór samemu utworowi, bo w tym urwanym dramacie, bez zadawalniającego rozwiązania, bohatér porywa się z motyką na słońce i dąża się z Panem Bogiem, a kończy na tém, że w najpospolitszy sposób uwiódł i zgubił dziewczę, a potém zniknął tak, że nie wiemy, co się z nim stało.

Dla samego Goethego olbrzymie powodzenie „Fausta" było poprostu niespodzianką, sprawdzeniem się sądu Schillera, że stworzył rzecz wyjątkowo wielką nadzwyczajną. Goethe oswajał się stopniowo z tą myślą, że w utwór włożył znacznie więcéj, niż miał na myśli, zagustował w komentarzach i zachęcał się do tego, aby podnieść utwór aż do wysokości komentarzy i dodać do „Fausta", co wedle późniejszych zapatrywań mogło doń być dodane. „Wylewy krytyki porwały w swoje wiry, powiada Rod, tracącą się jasność własnéj świadomości autora" (*la simple lucidité de sa conscience de créateur*). Wziął się do układania dalszego ciągu „Fausta", to jest drugiéj jego części, ale przystąpił do téj pracy zapóźno, bo w 1824 roku, kiedy miał lat 75. Skończył pracę przed ostatnim obchodem swoich urodzin 28 sierpnia 1831 r., na 7 miesięcy przed śmiercią (22 marca

1832 r.). Dopisując końcowe słowa, powiedział Ekkermanowi: „dalsze me życie uważam wprost jako podarek." Utwór wprawia czytelnika w zdumienie. Zgrzybiały starzec zachował pełne mistrzowstwo techniki, panowanie nad stylem, obrazowość, sztukę malowania żywemi farbami i czarodziejską zdolność fantastycznego grupowania najsprzeczniejszych pierwiastków. Fatalny wpływ bardzo podeszłego wieku uwydatnia się jednak w słabszéj koncepcyi całości, w pobudowaniu jéj takiém, że części rozluźniają się niepowiązane, że dramat przekształca się w czary, w feeryę, w jakąś metampsychozę indyjską, w migocące przeciąganie przed nami samych tylko pozorów pod panteistyczną dewizą: „*Alles vergängliche ist nur ein Gleichniss*" (Życie nasze jest tylko symbolem). W latach młodzieńczych i w wieku dojrzałym Goethe nie czuł w sobie zdolności do wcielania abstrakcyi, wiedział, że jego twórczość polega tylko w przetwarzaniu własnych wrażeń w żywe obrazy artystyczne. Z wiekiem to główne źródło twórczości całkowicie wysiąkło, uczucie się stępiło, w pamięci chwiały się coraz mniéj wyraźne wspomnienia. Wypadało tak wspomnienia jako i myśli, które zaprzątały w ciągu bardzo długiego żywota wiecznie kipiący umysł, przeżuwać i tworzyć z nich rzeczy już nie realne, ale całkiem fantastyczne, symbole pracowicie wyszukiwane i nietreściwe. Sam Goethe przyznawał się Ekkermanowi, że bawił się w wymyślanie trudnych do rozwiązania zagadek *(Ich habe manches hineingeheimnist).* Poezya nie może się obyć bez symbolów, każdy wielki utwór musi być symboliczny; w ten tylko sposób staje się niewyczerpalnym, bezdennym, dającym każdemu nowemu pokoleniu pokarm umysłowy, będący zmysłowym wyrazem nieskończonéj idei nadzmysłowéj. Nawet alegorye mają swoje uprawnienie w sztuce; są to zmysłowe upostaciowania wypadków nadzmysłowych. I symbolizm i alegoryzm bywają albo indukcyjne, albo dedukcyjne. Indukcyjny symbolizm bywa potężną dźwignią przy zdobywaniu prawdy za pomocą uczucia, zanim się rozumowi rozwidniła. Ale jest jeszcze drugi symbolizm dedukcyjny, właściwy starym ludziom i społeczeństwom. Główną cechą starości jest brak nowych świeżych pomysłów. Dla zaspokojenia nałogu i potrzeby myślenia, ludzie biorą odrobinę myśli, okręcają koło niéj suto haftowane powijaki i obsłonki, wiążą misterne węzełki gordyjskie i zapędzają publiczność do odgadywania: co jest ukryte w takim pakiecie. Jest to już nie poezya lecz filozofowanie, przytém dokonywane w zawiłéj i najniewłaściwszéj formie. Takiego filozofowania pełno w drugiéj części „Fausta". Wina w tém nie Goethego, lecz tylko jego podeszłego wieku. Pod tym pretekstem nie godzi się, wedle p. Roda,

lekceważyć i z góry patrzéć na utwór, bo nawet usterki i wykolejenia się geniusza nie są do pogardzenia i mają w sobie pewną wielkość. Druga część „Fausta" zawiera w sobie symboliczny pogląd na świat, ma ona ideę środkową sympatyczną, moralną, jest w niéj streszczenie przez Goethego istoty własnego jego ducha, objawienie do czego zawsze i nawet nieświadomie dążył. Jest to idea wyzwolenia się dobrym czynem, ciągłém, nieustającém usiłowaniem. Wedle układu z dyabłem, Faust odda mu się w chwili, gdy się czémśkolwiek zadowolni. Zdarzyło się, że Faust zawołał: chwilo, zatrzymaj się! Jest to chwila poświęcenia się dla ogółu, dla dobra społecznego, rozmiłowania się w bliźnich, koniec życia chrześcijański, trochę socyalistyczny, może i jedno i drugie w połączeniu, w każdym razie już w takiéj chwili szatan nad duszą umierającego nie miał żadnéj mocy [1]).

Z pod wszystkich powikłań, obsłonek i haftów symbolicznych wydobywa się, wedle słów p. Roda, jasna i prosta idea zbawienia przez czyn. Jest to kit wiążący rozpadające się części utworu, niewidoma dusza całego organizmu, która jednak, wedle opinii krytyka, przyczynia się nie do podniesienia, ale do obniżenia i do zmniejszenia proporcyi całości. Był człowiek wielki, całkiem wyjątkowy, którego pomysły i aspiracye nie miały granic. Człowiek ten założył się, że nic go w świecie nie zadowolni, był on potężny i w mocowaniu się z zagadką świata, i w pożądaniach rozkoszy przez nikogo jeszcze nie doznanych, i w woli panowania nad tajemniczemi siłami, które go otaczają i niepokoją. W czém-że jednak wyraziła się ta jego *nadczłowieczość*, (używając wyrazu, zapożyczonego od Nitzschego)? Że uwiódł dziewczę, że cieszył się nad miarę, lubując się jak pędzą na miotłach wiedźmy na Łysą Górę, że następnie po nieskończonych wałęsaniach się, po przebyciu ciemnych puszcz symbolicznych, człowiek ten już stuletni i oślepły przyczynia się do dobra społeczeństwa, dobywa z łona morskiego spory kawałek gruntu, uprawia go, zaludnia i w ten sposób zużywa ostatni swój wysiłek na czyn dość

---

[1]) Der ist der Weissheit letzter Schluss:
Nur der verdient sich Freiheit und das Leben
Der täglich sie erobern muss...
Solch ein Gewimmel möcht ich sehen
Auf freiem Grund mit freiem Volk zu stehen...
Zum Augenblicke möcht ich sagen:
Verweile doch! du bist so schön.
Es kann die Spur von meinen Erdentagen
Nicht in Aeonen untergehn!

pospolity, ale społecznie niewątpliwie użyteczny. Pomysły jego już się obniżyły, żądania się skanalizowały, aspiracye już ograniczyły, tak że się spospolitował starzejąc w swojéj mądrości. Mimowolnie budzi się w czytelniku pewien rodzaj wątpliwości. Oto alchemik, który rzucił do kotła i w nim na ogniu gotował tysiąc najrozmaitszych ingredyencyi: serce dziewczęcia, duszę starego mędrca, dyable kopyto, miecz zabitego w pojedynku żołnierza, widmo pięknéj Heleny. Otrzymaną została w rezultacie bryła kruszcu, ale niewiadomo jakiego: złota, miedzi czy ołowiu? Wątpliwość ta przenosi się z utworu na sam żywot autora, który ideą tego utworu żył i koło któréj, niby około osi swéj, się obracał. Był-że to w Goethem instynkt, była-li to świadomość, w każdym razie siła ta wiodła go odmłodu, panowała nad nim, pociągała go na bezdroża, ale naprowadzała zawsze znowu na bity gościniec. Wszyscy, i wielbiciele i przeciwnicy, nie mogą nie uczcić w nim człowieka, który się rozwinął wedle własnego swego prawa, urzeczywistniając codziennie wszystkie swoje uzdolnienia, doprowadzając do pełnego rozkwitu te ukryte nasiona czynów, które zanikają bezpłodnie w duszach pospolitych. Prawo, którego wykonanie stanowiło jego potęgę, streścić się daje równie łatwo, jak i zasadnicza idea jego arcytworu. Umiłowawszy głównie czyn, Goethe do tego celu cały swój żywot zastosował i wszystkie swoje myśli w tém upodobaniu skupił. W tém jego wielkość, w tém może cała jego wielkość. Reszty już nie warto wedle p. Roda dochodzić, bo szczegółowe rozglądanie się w jego niezmiernéj ruchliwości, w licznych jego miłostkach, w mnogości nieraz błahych utworów mogłoby pośmiertnéj jego sławie tylko zaszkodzić i na szwank ją wystawić.

VII.

Na tym ostatecznym wywodzie zamyka E. Rod swoje studyum, nie domawiając w końcu, co istotnie znalazł w „Fauście”, a następnie i w Goethem: złoto czy ołów, ale dając, jak się zdaje, do zrozumienia, że posiadamy spław, w którym jest i złoto, ale ze znaczną domieszką miedzi, tak że wartość spławu jest może nietyle wielką, jak sądzono, ale w każdym razie pokaźną i znaczną. Gdybyśmy ten sam sposób analizowania po „Fauście” i Goethem chcieli zastosować do krytyki pana Roda i gdybyśmy zapytali, z jakiego kruszcu ulany jest jego sumaryczny wywód o Goethem, bylibyśmy w wielkim kłopocie, bo w retorcie alchemika znaleźlibyśmy nawet nie jakikolwiek

kruszec, ale tylko cień czegoś, czcze słówko, pusty frazes, zamiast rozwiązania — jakieś *x* algebraiczne. Upodobanie w czynie, powiada Rod, ale w jakim? zbawienie przez ciągłe usiłowanie, ale w jakim kierunku? Cel jest to ruch celowy w pewnym kierunku. Czyn może być pojęty tylko jako wysiłek praktyczny. Za najwyższy gatunek czynu poczytywane bywają zwykle produkcyjne działania polityczne. Najwięcéj sławy i blasku dostarczały dotąd w życiu społeczeństw te czyny, którym towarzyszyły cięcia broni ostréj, albo strzały armatnie, to jest te środki, które się uważały za *ultima ratio*. Jaśniał wtedy na widnokręgu najwyższy geniusz czynu—Napoleon, przed którym Goethe chylił czoło nawet po jego upadku. Do polityki Goethe nie miał najmniejszego powołania, chociaż był ministrem, ale z téj roboty wcześnie się wycofał. To, że się nigdy i w niczém nie przyczynił do upaństwowienia Niemiec, do ich przyszłego zjednoczenia, krytyk poczytuje mu za ujmę i stawi na stronie „winien” jego rachunku, tłómacząc egoizmem ten rys charakteru, a możnaby go właściwiéj wytłómaczyć przeczuciem wielkich nieszczęść, które pociągała za sobą idea wyłączających się wzajem nacyonalizmów, idea, która była wstrętna Goethemu, jako nieodrodnemu synowi XVIII-go wieku, jako człowiekowi od kolébki aż do grobu owianemu duchem jaknajzupełniejszego humanizmu. Wielkość Goethego polega głównie na tém, że pojął zasadniczą marność wyodrębnionéj siły materyalnéj, że zrozumiał, iż walka powinna się toczyć nie na pięści, ale na myśli, że się stanowczo i genialnie ograniczył i został tylko uczonym i poetą, ściśléj mówiąc, trochę uczonym i bardzo a bardzo poetą, że obrawszy zawód poetycki, ani na chwilę nie przestał być człowiekiem w szekspirowskiém tego słowa znaczeniu (*he was a man*, w zastosowaniu do Hamleta i Brutusa), że miał za hasło: przez piękno do dobra, a nigdy nie hołdował fałszywéj teoryi: sztuka dla sztuki, która płodzi samych tylko dekadentów. Poeta stoi po za obrębem tego, co się nazywa czynem; on tylko bardzo pośrednio wpływa na ludzi, strojąc ich serca, jak muzyk swoje narzędzie, według swego kamertonu, poddając im własne uczucia i w ten sposób pełniąc względem nich niejako funkcye piastuna i wychowawcy młodszych pokoleń. Ten wpływ Goethego pedagogiczny był ogromny i dotychczas nie ustał. Uczył on ludzi wszelkich narodów, jak mają żyć po ludzku, to jest właściwie mówiąc po bożemu, w nieco inny tylko niż według nauki religii sposób, to jest uchylając się od wszelkich sporów wyznaniowych. Uczył on, jak mają ludzie pomagać sobie i obcować pomimo różnic językowych i narodowościowych.

Goethe nie jest właściwie Niemcem i do wszystkich narodowości prawie jednako należy.

Zacząwszy od systematycznego obniżania Goethego i od wytknięcia jego słabostek, doszedł p. Rod do tego, że musiał go podnieść na bardzo wysoki piedestał i zjednoczył się prawie przy zakończeniu książki z temi 18 przyjaciółmi Goethego, Anglikami z Carlylem na czele, którzy mu na ostatni obchód urodzin przysłali 28-go sierpnia 1831 r. pieczęć z wyrytym na niéj egipskim symbolem wieczności — wężem kąsającym się za ogon i z napisem od samegoż Goethego pożyczonym: *Ohne Hast aber ohne Rast* (bez pośpiechu, lecz i bez wytchnienia). Koniec książki Roda nie odpowiada początkowi. Gdyby cofając się ku początkowi, chciał autor sprawdzić złe noty, które mu stawiał za lata dawniejsze, możeby mu przyszło wiele z tych not wykréślić, chociażby na zasadzie pamiętników Goethego, któremi się posiłkował jako bronią główną, i na zasadzie spostrzeżeń o twórczości Goethego zrobionych przez Schillera, z którym zaprzyjaźnienie się zalicza Rod do najpiękniejszych wypadków w życiu Goethego.

Goethe miał głowę całkiem niefilozoficzną. Sam wyznaje (ks. XII, *W. u. D.*), jak i przez co po przeczytaniu „Etyki" Spinozy przywiązał się do niego: „znalazłem, powiada, ukojenie moich namiętności, szerokie perspektywy, otwarte na światy zmysłowy i moralny; przywiązała mnie najbardziéj bezgraniczna bezinteresowność téj filozofi." Wedle podziału poezyi przez Schillera na naiwną, czyli bezpośrednią, i sentymentalną, czyli refleksyjną, należałoby Goethego zaliczyć całkiem do naiwnych, to jest bezpośrednio twórczych i genialnych, odpowiadających całkiem formule Kanta: *Das Genie ist eine Intelligenz, die als Natur wirkt* (Geniusz jest rozum, działający jako żywiołowa siła w naturze). Kończąc swe pamiętniki około r. 1820 (ks. XX, *W. u. D.*), Goethe bierze za pewnik to, czego się za lat młodych jego ani domyślano, że geniusz jest ową siłą człowieka, która działaniem swém tworzy prawidła, to jest, że nie będąc tego świadom, geniusz tworzy tak, jak gdyby pracował podług najściślejszych prawideł. Świadomość swojéj genialności posiadał on odmłodu, na niéj się opiérał, jéj zawierzał i ufał, wyrabiał ją i wykształcał i nie zawiódł się, bo po wszelkich próbach i po najrozmaitszych bezdrożach trafił na szeroki gościniec i stał się dożywotnio panującą w literaturze kraju swego potęgą. Swoją jaźń twórczą chował Goethe w poszanowaniu, jak źrenicę oka, jak skarb, którego nie godzi się marnować, stawiał ją wysoko jako ideał i miał do niéj pewien rodzaj nabożeństwa, co w oczach Roda uchodzi za egoizm, ale z czém

my jednakże zgodzić się nie możemy. To powołanie do wielkiego działania na szerokiém polu sprawiło, że Goethe w czas się nie ożenił, że nie dał wciągnąć się do życia familijnego, pomimo skłonności do Frederyki Brion i Lily, że otrząsł ze stosunku z panią Stein, wziąwszy za towarzyszkę prostą kobiétę, która mu niczém w pracy nie zawadzała, że uchylając się od władzy i urzędowania umknął do Włoch i już potém do przewodniczącéj roli w rządach nie wrócił. Miał Goethe swoje wady i braki, jak ma je każdy człowiek. Rozumiemy, że i te słabe strony powinny być krytycznie rozważane w imię droższéj nad wszystko świętéj prawdy i traktowane bez pobłażliwości; inaczéj mielibyśmy nie dzieje, lecz legendę i stalibyśmy się bałwochwalcami ze świadomością o tém. Zdaje nam się jednak, że pan Rod zły wybór zrobił w środkach prowadzących do celu, że nas nie przekonał, że nie dowiódł, by należało obniżyć panujące o Goethem i podzielane przez nas wysokie o nim wyobrażenie. Wyznajemy, że jesteśmy poniekąd temu radzi. Pierwszorzędnych geniuszów poetyckich posiadamy niewielu. Jest ich téj podniosłości i kalibru czterech tylko, nie więcéj: Homer, Dante, Szekspir i Goethe, a do téj czwórki każdy z nas dodaje dwóch czy trzech swoich narodowych penatów; w tém tylko wyborowém towarzystwie lubi przestawać i często prawie wyłącznie niém się ogranicza.

Zdetronizowanie każdego z tych olbrzymów, zdjęcie im wieńców z głowy równałoby się dotkliwéj stracie drogiéj osoby, uszczupleniu téj umysłowéj rodziny, w któréj nieraz potrzebujemy się zamykać, aby się odosobnić i aby zapomniéć o złéj, szaréj, mglistéj i nieprzyjemnéj rzeczywistości.

Petersburg, kwiecień, 1898 r.

Wł. Spasowicz.



O zastosowaniach chemii.

Chemia, nauka na pozór tak sucha i niedostępna, przyczyniła się w znacznéj mierze do uświetnienia warunków życia ludzkiego. W każdéj niemal chwili korzystamy z jéj dobrodziejstw, nie zdając sobie nieraz sprawy, z jakiego pochodzą źródła. Chemia dźwignęła potężny dziś przemysł, szalone robiący postępy z chwilą każdą, wydobyła rolnictwo z ciemnych przesądów, w których drzémało długie wieki, obdarzyła ludzkość całemi zastępami leków, uratowała wiele istnień, uśmiérzyła wiele bólów, dała nam możność bronienia się przeciw niewidocznym drobnym nieprzyjaciołom, powodującym choroby, zarzuciła nas obfitą garścią przedziwnych barwników, zdobiących nasze szaty i otaczające nas przedmioty, dozwoliła artystom odtwarzać na płótnie cienie i odcienia dojrzane w przyrodzie, przyczyniła się do podniesienia estetyki życia codziennego, darząc nas substancyami o cudownych zapachach... któż wreszcie wyliczyć potrafi wszystkie dobrodziejstwa materyalne, które nam wspaniałomyślnie zaofiarowała? Wygody, estetyka, komfort, zbytek w którym żyjemy, cała teraźniejsza, tak wspaniale rozwijająca się cywilizacya opiera się na olbrzymich postępach nauk wśród których chemia walczy o palmę pierwszeństwa. We wszystkich krajach świata miliony uczonych pracuje w cichych przybytkach laboratoryjnych, życie nieraz całe poświęcając drobnéj jakiéj analizie, nieznacznemu zda się ulepszeniu. „Świat jest jakby jedną olbrzymią fabryką (Richet), w któréj pracują nieskończone zastępy robotników, przyczyniając się każdy wedle swéj możności do wzbogacenia wspólnéj

skarbnicy wiedzy. Cywilizacya jest wypływem całéj téj pracy: z tych to dusznych i zakopconych pracowni wypływa światło, co oświeca świat cały." — W nauce powinniśmy widzieć wielkiego przewodnika ludzkości, którego ideałem jest prawda, kroczącego śmiało, pełnego dumy z dzieł dokonanych i ufności, że krańców w postępie nie znajdzie.

Historya wszystkich zasług, które chemia oddała ludzkości, począwszy od odkrycia ciał prostych, czyli pierwiastków, aż do uskutecznienia najzawilszych syntez, historya to długa i niezmiernie złożona. Nie mam téż bynajmniéj zamiaru przedstawiać historycznie w tym pobieżnym szkicu najważniejszych choćby zastosowań praktycznych, których dokonano na podstawie chemii. Wytknięcie głównych działów tego zakresu, zdobyczy ostatniéj jedynie doby przedstawia ciekawy i szeroki temat, którego szkicowe opracowanie dziś przedstawiam [1]).

Pod wpływem rozwijającéj się chemii organicznéj powstało wiele, bardzo wiele gałęzi przemysłu. Zbadanie np. składu i własności tłuszczów dalo bodziec do utworzenia fabrykacyi świec stearynowych, odkrycie alkaloidów, które okazały się znakomitemi środkami leczniczemi, wywołało usilne staranie o otrzymywanie ich fabryczne. Niektóre z tych wynalezionych ciał były uważane jako związki ciekawe jedynie pod względem naukowym, i długi stosunkowo przeciąg czasu upłynął, zanim znalazły praktyczne zastosowanie. Do nich zaliczyć

---

[1]) Grimaux. Les matières colorantes organiques et artificielles.
„ Les théories de la chimie organique et les progrès de l'industrie.
W. M. Murtrie. Industrie et science chimique.
Mascart. Le siècle de l'electricité.
Noble. Recherche sur les explosifs.
Abel. Poudre sans fumée.
Duclaux. Role des microbes en agriculture.
Laboulene. L'anesthésie. L'antiseptie.
Ditte. L'electricité dans la préparation des métaux.
Moissau. Le diamant.
Ladier. L'acier.
Richet. La science a-t-elle fait banqueroute?
Le Dentu. La passé et l'avenir de la chirurgie.
Rochard. Les sciences exactes et la médicine.
Hofmann. Le progrès scientifique de 1822—1890.
Meyer. La chimie contemporaine.
Abel. Les découvertes sur la balistique.
Richet. Dans 100 ans.
Lepsius. La poudre d'autrefois et la poudre d'aujourdhui.
Berthelot. Le role de la science en agriculture.

musimy anilinę, wydobywaną ze smoły. Hofmann, 40 lat niespełna temu, odkrył pierwszy barwnik anilinowy, zwany teraz fuksyną, a przez długi czas czerwienią Magenta Jest to jeden z najbardziéj efektownych przetworów chemicznych, przedstawiający się w postaci dużych kryształów zielonych, w przezroczu purpurowych, obdarzonych blaskiem metalicznym; barwią one przedziwnie jedwab i wełnę i służą do ozdabiania tysiącznych przedmiotów codziennego użytku. Fuksyna z powodu wspaniałéj i niezmiernie silnéj swéj barwy oraz ogromnéj łatwości, z jaką się nadaje do wyzyskania w zastosowaniu fabryczném, zwróciła uwagę chemików, dała bodziec do uporczywych poszukiwań naukowych, otworzyła nową drogę dla przemysłu. Dzięki tym poszukiwaniom, mnożyć się zaczęły coraz to nowe wynalazki w dziedzinie farbierstwa, — zjawiają się coraz to piękniejsze barwniki, dotychczas nieznane, wszystkie jednak dające się wyprowadzić z aniliny, a otrzymać tak jak i ona ze smoły. Powstają przeróżne czerwienie, błękity, fiolety, rozliczne bawniki: żółte, bronzowe, pomarańczowe, obdarzone przedziwnemi własnościami barwienia. Najbardziéj suche teorye naukowe mają nieraz ważne swe zastosowanie w praktyce, — zmieniając dany związek przez wprowadzenie doń nowych pierwiastków, zmieniamy téż i jego barwę, a chemik kreśląc na tablicy zawiłe wzory, złożone z oderwanych liter, może nieraz zawyrokować o ich barwie. Tym sposobem za pomocą przeróżnych kombinacyi teoretycznych, przemysł zyskał mnóstwo nowych barwników.

Marzanna uprawiana była na wielkich przestrzeniach i z ogromną starannością we wszystkich krajach południowéj Europy, a szczególnie we Francyi, w prowincyach leżących nad morzem Śródziemném. Uprawę tę prowadzono na szeroką skalę z powodu pięknego barwnika, zwanego alizaryną, wydobywanego z korzenia téj rośliny. Był to jednak barwnik kosztowny, używany z dawnych czasów do ciężkich wełn i wspaniałych jedwabi, dostępnych jedynie dla ludzi bardzo zamożnych. Groebe i Liebermann otrzymali tenże sam barwnik syntetycznie w swéj pracowni, używając do tego związków antracenowych, pochodzących tak jak i anilina ze smoły. Sztucznego tego produktu dostarczają od téj pory fabryki po bardzo niskiéj cenie, a przemysł alizarynowy, rozwijając się szybko, wywołał bankructwo właścicieli pól, na których uprawiano marzannę. Dziś nikt się nie ucieka do hodowli téj rośliny, skoro fabrycznie o wiele łatwiéj i taniéj tenże sam barwnik daje się otrzymać. Tryumf jednych pociąga nieraz za sobą łzy drugich.

W Meksyku hodowano na wielką skalę owady dostarczające pięknéj i kosztownéj barwy, zwanéj koszenilą; hodowlę tę zarzucono jednak

prawie zupełnie od czasu, gdy Roussin wynalazł barwniki smołowe, posiadające żywość, moc i piękność wyrównywającą koszenilowéj barwie, mogące ją zastąpić we wszystkich zastosowaniach fabrycznych.

W Niemczech zaś znakomity uczony Bayer, studyując od lat kilkunastu własności i skład indyga, zdołał dokonać kilku jego syntez, trudnych jednak do technicznego wyzyskania. Przy wytrwałości cechującéj Niemców spodziéwać się jednak można, że trudności zostaną przełamane, — otworzą się wówczas wielkie fabryki sztucznego indyga, wyrobi nowa gałąź przemysłu farbierskiego, Anglia zaś znaczne ciągnąca zyski ze swych kolonii, dostarczających przeważnéj ilości indyga naturalnego, straci znaczny dochód, gdyż sztuczne indygo będzie zapewne tańsze.

Ze wszystkich działów przemysłu, które się rozwinęły dzięki postępom chemii, jednym z bardziéj interesujących jest farbierstwo, ze względu na wybitne przewroty ekonomiczne, których się stało powodem, niemniéj jak i na olbrzymią ilość prac naukowych i zastosowań praktycznych, które natchnęło. Dawniéj farbierstwo było w ręku ludzi nie mających zazwyczaj teoretycznego wykształcenia, dziś jest polem pracy dla wielu ludzi nauki; obok warsztatu i maszyn istniéć dziś muszą pracownie naukowe, obok robotników mechanicznie oddanych swemu zawodowi w farbiarni pracują obecnie legiony chemików doświadczonych i inżynierów. Niemcy górują nad innemi państwami w téj spójni teoryi naukowéj z praktyką, z tego téż powodu przemysł farbierski, choć powstał w Anglii, skoncentrował się dziś przeważnie w Niemczech, wzbogacając kraj ten nieskończenie. Niemcy przyczyniły się do zmniejszenia narodowego bogactwa Francyi, otwiérając fabryki sztucznéj alizaryny, niebawem cios podobny spotka zapewne Anglię, gdy na wielką skalę da się otrzymać sztuczne indygo.

Mimo tylu wynalazków i ulepszeń, uczeni i przemysłowcy nie ustają w pracy ciągłego doskonalenia sztuki farbierskiéj,—dawniéj zadawalano się odkryciem nowego barwnika, dziś dużo wymagają od tych nowych związków; chodzi już nietylko o efektowną barwę, ale o moc, o trwałość, o opór, jaki przedstawić powinna wobec światła, wody, mydła i różnych odczynników chemicznych — farbiarz bada, porównywa, zanim zdecyduje, o ile dany barwnik da się zastosować i wyzyskać.

Postępy dokonane w fabrykach działają wzajemnie na postęp nauki; różne przetwory chemiczne trudne do otrzymania, które uczony sam sobie przyrządzał z wielkim nieraz trudem i w małéj ilości, — dostarczane mu są dziś na funty i pudy przez przemysł, ułatwiając mu tém pracę naukową i przyśpieszając ją. Dzięki więc technice przemy-

słowéj, laboratorya są dziś zaopatrywane tanim kosztem w produkty chemiczne czyste, niezbędne do studyów i doświadczeń.

Postępy chemii organicznéj przyczyniły się niemniéj do rozwoju wyrobu pachnideł: dziś mamy cały zastęp substancyi wonnych, nie będących bynajmniéj wyciągami z kwiatów, lub innych części roślinnych, lecz produktami sztucznemi, dającemi się otrzymać z ciał obdarzonych zapachem nieraz przykrym. Wanilia naprzykład, tak mile uwaniająca pieczywo, otrzymywana dawniéj ze strąków rzadkich storczyków, wyrabiać się dziś daje sztucznie, za czwartą część swéj pierwotnéj ceny, z substancyi o zapachu odrażającym, mianowicie z asafetydy; można ją zresztą otrzymywać fabrycznie innemi sposobami np. przez utlenienie esencyi z gwoździków pachnących, esencyi o wiele tańszéj. Benzynę, obdarzoną zapachem nieprzyjemnym, przekształcić można bardzo łatwo na płyn o pięknéj woni gorzkich migdałów, stosowany na wielką skalę do zaprawiania mydeł. Z esencyi anyżowéj wyrabiają perfumy, wydzielające miły nad wyraz zapach skoszonéj łąki lub świéżo zebranego siana. Kwas masłowy, obdarzony odrażającym zapachem rozkładającego się tłuszczu, pomieszany w odpowiedni sposób z alkoholem, zamienia się na płyn o przedziwnéj woni ananasów. Ostatniemi wreszcie czasy sztuka perfumeryjna wzbogaciła się dwoma znakomitemi wynalazkami, Tiemann i Laire mianowicie wykonali wspaniałą syntezę woni fiołkowéj.

Barbier zaś otrzymał związki wielce zbliżone zapachem do esencyi różanéj. Nowe te odkrycia zabiją zapewne w niedalekiéj przyszłości sławną dziś uprawę pól fiołkowych południowéj Europy, pola różane Bulgaryi ulegną podobnemu losowi, co pola marzanny i fiołków, a przemysł perfumeryjny wschodu przejść będzie musiał przez ciężki kryzys ekonomiczny.

* * *

Metale spotykają się niezmiernie rzadko w stanie rodzimym, a ruda jest najpospolitszą formą, w któréj występują. Z rudami mało złożonemi, jak z tlenkami, siarkami, umiano sobie oddawna poradzić; często jednak ruda jest niezmiernie skomplikowana i prócz metalu będącego celem poszukiwań, zawiéra inne metale mniéj użyteczne i wiele pierwiastków niemetalicznych — wówczas niemało trudności przedstawia pozbycie się tych niepotrzebnych domieszek. Chemia przychodzi tu z pomocą metalurgii, ofiarując jéj cały zastęp sposobów i metod oczyszczania rud. Minerały, które leżały odłogiem, niewyzyskiwane z powodu zbyt wielkiéj trudności w oddzieleniu składników, trudności,

któréj pokonać nie umiano, zarówno jak rudy nieeksploatowane z powodu zbyt małéj zawartości kruszczów, wszystkie te związki wobec nowych metod chemicznych spożytkować się dają dla przemysłu. Stopień rozwoju metalurgii ściśle jest związany z postępami chemii: w metalurgii żelaza np. spożytkowujemy dziś rudy, które przed paru dziesiątkami lat odrzuconoby z pogardą. Dzięki postępom nauki chemicznéj, weszły w ostatnich czasach nowe metale na horyzont przemysłowy, — do znanych światu od 7000 lat dołączyć dziś musimy glin, nikiel i tungsten. Przemysł niklowy jest równie nowy jak glinowy, a oba świadczą, jak szybkie są postępy metod metalurgicznych: nikiel np. choć znany przeszło od stulecia jako pierwiastek, nie był bynajmniéj otrzymywany na większą skalę. Dziś przezwyciężono trudności i eksploatują odkryte przez Garnier'a wielkie pokłady rud niklowych w Nowéj Kaledonii oraz piryty niklowe kanadyjskie. Nikiel okazał się nadzwyczaj cennym metalem i spożytkowany bywa przeważnie w postaci aliaży, wśród których stal niklowana pierwszorzędną rolę odgrywa w przemyśle.

Wśród najrozmaitszych metod metalurgicznych jedną z najbardziéj wspaniałych i świetną w rezultatach jest metoda elektrochemiczna; stosowana jest ona obecnie na wielką skalę przy oczyszczaniu metali z rud. Z początku używano jéj w wyjątkowych tylko wypadkach, postępy jednak dokonane ostatniemi czasy w nauce zmieniły do niepoznania sposoby elektrochemiczne, wydoskonaliły je bowiem i zrobiły dostępnemi, nawet łatwemi w stosowaniu techniczném. Pod wpływem tych postępów metody metalurgiczne uległy gruntownym zmianom, — dziś trudno sobie przedstawić metalurgię bez elektryczności; ubogiemi, marnemi wydają się nam dawne sposoby, uśmiéch pobłażania wywołują liczne i męczące zabiegi, nieraz długie i bardzo mozolne, których używano przy oczyszczaniu rud. Obecnie trudności zniknęły, elektrochemia wszechwładnie zapanowała w dziedzinie, do któréj przed niedawnym jeszcze czasem ledwo wstęp był jéj dozwolony, — i nie wiadomo, gdzie się zatrzymają granice, gdzie spotka nieprzezwyciężoną zaporę, przy któréj stanąć będzie zmuszona, przy któréj okaże się bezsilną i nieudolną. Dziś drogą tą otrzymujemy fabrycznie metale alkaliczne i ziemne, zarówno jak glin, miedź, chrom, mangan, nikiel, nawet uran i tungsten. Przed pół wiekiem niespełna powstał wielki przemysł galwanoplastyczny, oparty, jak wiadomo, na elektrolizie: złotnictwo, srebrzenie doszły do wielkiéj subtelności, rozwijając się pod wpływem wskazówek naukowych; przyłączyło się do nich w ostatnich czasach niklowanie, torując sobie niezmierny zbyt taniością, a przytém mocą i elegancyą przedmiotów. Elektroliza wreszcie rywalizować za-

częła w ostatnich czasach z wielkim przemysłem chlorowym, zarówno jak z metodami otrzymywania alkalii, metodami powstałemi niespełna przed wiekiem, uznawanemi dodziśdnia za znakomite i świetne dające rezultaty, — obecnie przemysł odtrąca je powoli i odstawia ostrożnie na stronę, jako za mało udolne i przestarzałe. Dziś na mocy elektrolizy wyrabiają fabrycznie chloran potasu, jodoform, wydzielają ozon. bielą włókna tkanin, garbują skóry. Nowe wreszcie i nieznane horyzonty otworzyły się zarówno przed nauką, jak i przed przemysłem, od czasu gdy Moissau świetne swe przeprowadził doświadczenia z piecem elektrycznym; piec ten obmyślony przez sławnego uczonego paryskiego pozwala otrzymać niezmiernie wysoką temperaturę, dotychczas nieosiągniętą żadnemi jeszcze sposobami, mianowicie 3500^0 ciepła. W temperaturze téj wapno, uznane do owego czasu za nietopliwe, płynném się staje jak woda, a węgiel nie dający się również doprowadzić do stanu płynnego, węgiel topnieje i krystalizuje zamieniając się na dyament; tym sposobem Moissau pierwszy otrzymał sztuczne dyamenty; są one wprawdzie zbyt małe, aby rywalizować mogły z naturalnemi, lecz niewiadomo istotnie, jakie odkrycia, co za wynalazki niespodziéwane, a prawdopodobnie niemniéj wspaniałe jak synteza dyamentu, staną się udziałem przyszłości, gdy piec ów elektryczny zostanie jeszcze udoskonalony, a postępy nauki natchną uczonych do nowych prób i doświadczeń.

Z innéj strony, wielu ludzi fachowych zwróciło uwagę na zmiany, którym podlega benzyna pod wpływem kwasu azotnego (nitrobenzyna), i rozpoczęto próbować działania tego kwasu energicznego na innych związkach. Zadziwiającém i niezmiernie ważném okazało się doświadczenie z gliceryną: związek ten powszechnie znany, bierny i niewinny, przybiéra pod wpływem kwasu azotnego dziwnie groźnych własności, przemienia się bowiem na nitroglicerynę, będącą jedném z ciał najenergiczniéj wybuchających. Odkrywca tego okrutnego środka, Sobrero, przekonał się, że do jego czasów ludzkość nie znała ciała obdarzonego równie silnemi własnościami wybuchowemi. Nobel zaś z nitrogliceryny otrzymał nowy związek, niemniéj straszliwym będący orężem, mianowicie słynny z rozgłosu swego dynamit.

Kwas azotny nie jednéj tylko glicerynie nadaje własności wybuchowe, — pod jego wpływem zwyczajna bawełna zamienia się na ciało o własnościach nadzwyczaj wybuchowych i palnych, zwane bawełną strzelniczą. Związek ten, wynaleziony w połowie bieżącego stulecia przez Niemca Schönbeina, wywołał i podziw ogólny i przewrót w sztuce wojskowéj. Początkowo jednak musiano zaniechać wyrobu tego związku na większą skalę, z powodu strasznych wybuchów i nieszczęść,

które powodował po fabrykach. Nie umiano dać sobie rady ze związkiem, który prócz silnych własności eksplozyjnych, obdarzony był jeszcze szaloną łatwością spalenia; dopiéro gdy przekonano się, że bawełna strzelnicza zmoczona w celu usunięcia niezmiernéj jéj palności, nie traci bynajmniéj własności wybuchowych, wówczas związek ten stał się podstawą straszliwych nabojów, używanych zarówno na lądzie jak i na morzu; przytém substancya ta rywalizuje obecnie o pierwsze w fabrykacyi prochu bezdymnego, prochu, co rozstrzygnąć ma podobno zadanie wojny przyszłości.

Od 500 lat stary proch strzelniczy nie uległ wybitnym zmianom w swym składzie: używano go nie troszcząc się o ulepszenie jego własności, — co najwięcéj zaprowadzono tu i owdzie drobne zmiany w proporcyach siarki, węgla i saletry. W ostatnich czasach jednak, gdy sztuka wojskowa znaczne zrobiła postępy, wprowadzając coraz to nowe odmiany broni, wyrabiając je z coraz to wspanialszych, trwalszych i bardziéj wytrzymałych aliażów, których wyrób zawdzięcza postępom metalurgii, — w ostatnich czasach pomyślano również o wynalezieniu nowych rodzajów prochu i nabojów, któreby nadać się mogły do wszelkiego rodzaju kalibrów. Bawełna strzelnicza służy obecnie nietylko jako środek wybuchowy, ale także jako proch strzelniczy—jest to proch bezdymny, gdyż spalenie jéj wydaje same związki gazowe bezbarwne, parę wodną mianowicie, azot i dwutlenek węgla,—a własność ta stanowi olbrzymią jéj zaletę. Użycie prochu bezdymnego zmienić może gruntownie warunki, w których odbywać się będzie wojna: nie będzie można zakryć szeregów obłokiem dymu, trudno będzie zmylić przeciwnika lub zamaskować ruchy szwadronów, celowanie stanie się pewniejsze, bardziéj nieomylne, a pojedyńczego żołnierza nie zdradzą kłęby dymu unoszące się z jego broni. Dla marynarki odkrycie prochu bezdymnego jest niemniéj ważne, jak i dla artyleryi polowéj. Proch ten jednak nie jest dostatecznie udoskonalony, jest przytém wiele jego rodzai; Niemcy, Francya, Anglia, każde z tych wielkich mocarstw prowadzi na własną rękę poszukiwania w tym kierunku, każde pragnie posiąść środek niezawodny, przewyższający w grozie i skutkach wszystko, co dotychczas nauka zdziałać zdołała w sztuce wojennéj. Niemcy wyrabiają przeważnie swe prochy bezdymne na podstawie bawełny strzelniczéj lub nitrogliceryny, Francuzi zaś zwrócili się do innych materyi wybuchowych, mianowicie do kwasu pikrynowego. Przez długi czas związek ten, przedstawiający się w pięknych żółtych kryształach, był narówni z aniliną ciekawością laboratoryjną, pięknym okazem w pracowni, — wkrótce jednak pomyślano o zużytkowaniu niezmiernie silnych jego barwiących własności i założono w Anglii

wielką jego fabrykę. Gdy jednak w r. 1887 nastąpił straszny wybuch podobnego zakładu w Manchesterze, wówczas świat uczony zwrócił również uwagę i na wybuchowe własności tego związku; Francya rozpoczęła przyrządzać, na jego podstawie głównie, straszne związki wybuchowe i prochy bezdymne, wśród których melinit nabrał szerokiego rozgłosu.

W ostatniém dwudziestopięcioleciu chemia przekształciła zatém postać sztuki wojennéj, dając jéj do rozporządzenia świetne metale i aliaże, zdatne do przedziwnéj broni palnéj lub białéj, zarówno jak do opancerzenia okrętów i fortec, a przytém rozszerzyła zakres działalności, ofiarując jéj zastęp nowych środków wybuchowych i prochów strzelniczych. Oby straszliwe te związki nie były użyte w bratobójczéj walce ludów europejskich! oby pozostały jako ciekawe nad wyraz okazy o piekielnéj potędze, okazy zdobyte w cichych przybytkach naukowych. Niemniéj jednak zrozumiałém jest to dążenie narodów do zabezpieczenia się możliwie najsroższego, gdyż obowiązkiem każdego człowieka, każdego narodu pragnącego używać w spokoju owoców swéj pracy, pragnącego cieszyć się swobodą i zachować swe stanowisko na świecie, — obowiązkiem jest zabezpieczyć się, aby w razie potrzeby módz bronić wszystkiego, co mu najdroższe.

* *
*

Ciała organiczne, poddane suchéj dystylacyi, wydają przeróżne gazy palne, i z węgla tym sposobem otrzymać się daje gaz oświetlający. Nie umiano przez długi czas jednak wyzyskać jego własności i dopiéro koło r. 1830 zaczęto stosować go praktycznie, choć znany był światu uczonemu od końca zeszłego stulecia. Murdock pierwszy spożytkował gaz, oświetlając nim swe warsztaty, i od téj pory datuje się wprowadzenie gazu z węgla kamiennego jako środka oświetlającego. Ledwo jednak gaz zabłysł w pierwszorzędnych miastach europejskich i stolicach świata, gdy oto zjawia się nowy rywal w postaci elektryczności, rywal groźny i potężny, starający się wyrugować żółte światło gazowe, tak niedawno jeszcze cieszące się zachwytem ogólnym, — wspaniałym swym białym płomieniem. Razem jednak z postępami cywilizacyi zapotrzebowanie światła wzrosło w znacznym stopniu, przekonać się o tém można łatwo, gdyż w miastach oświetlonych elektrycznością gaz wyrugowanym przez to nie został; używają go do oświetlania, zarówno jak do ogrzéwania, i z każdym rokiem zapotrzebowanie jego wzrasta. W podobny sposób sławne odkrycie Chevreula nad składem tłuszczów, odkrycie, które stało się podstawą wynalazku i fabrykacyi

świéc stearynowych, nie wyrugowało bynajmniéj prostéj łojówki, — stosowanie gazu nie stało się powodem zaniechania użytku świécy stearynowéj lub nafty. Dziś nafta, świéca stearynowa, gaz i elektryczność, wszystkie te środki wydołać mogą zaledwie wspólnemi siłami szalonemu zapotrzebowaniu światła. Pod wpływem jednak konkurencyi, obmyślono przeróżne sposoby wzmacniające potęgę płomienia gazowego; takim znanym oddawna sposobem było wprowadzenie do płomienia ciała stałego, będącego siedliskiem powolnego utlenienia. Znane dziś powszechnie palniki Auera są oparte na téj zasadzie, a użyta substancya jest mieszaniną rzadkich tlenków metalicznych, urobionych w postaci delikatnéj siatki; siatka ta, czyli tak zwana koszulka, nałożona na zwykły palnik gazowy, podnosi w znacznéj mierze własności oświetlające gazu i nadaje jego płomieniowi biało-zielonkawą, trochę za ostrą barwę, podobną nieco do barwy płomienia elektrycznego.

W ostatnich czasach uwagę publiczności zwrócił nowy środek oświetlający, zwany acetylenem; — związek ten oddawna znany był światu uczonemu z powodu pięknych doświadczeń Bertholet'a, — lecz spożytkować się nie dawał z powodu kopcącego płomienia, którym płonął, i drogiéj produkcyi. Postać rzeczy uległa jednak gruntownéj zmianie, gdy Moissau przedstawił akademii nauk w Paryżu rezultaty swego odkrycia: wynalazł bowiem łatwy i tani sposób przyrządzania acetylenu. Węglik wapnia, związek otrzymywany za pomocą stopienia w piecu elektrycznym koksu z wapnem niegaszoném, — węglik ten pod działaniem wody wydziela czysty acetylen. Płomień zaś acetylenu, spalonego w odpowiednio udoskonalonym palniku, okazał się niezmiernie czystym, efektownym, białym i bardzo widnym. Gaz ten, niedawno jeszcze kosztowny i rzadki, daje się dziś otrzymywać fabrycznie po cenie nie przewyższającéj kosztów gazu; własności zaś jego oświetlające przewyższają 20 razy siłę oświetlającą gazu z węgla kamiennego, a przy spaleniu wydziela przeszło dwa razy więcéj ciepła. Cenne te zalety uczynią go w niedalekiéj zapewne przyszłości jednym z najlepszych środków oświetlających ogólnie rozpowszechnionych.

Chemia niemniéj się przyczyniła do postępów medycyny, gdyż przeróżne preparaty otrzymywane dziś po pracowniach chemicznych ważną niezmiernie odgrywają rolę w sztuce lecznictwa, i choć dotychczas nie zdołano jeszcze otrzymać syntetycznie alkaloidów, obdarzonych tak znakomitemi skutkami, jak chinina, to jednak liczne w tym względzie robiono próby i spodziéwać się należy pomyślnego ich w przyszłości urzeczywistnienia. W ostatniéj dobie powstał cały szereg leków takich, jak: antypiryna, antyfibryna, fenantyna, salol, cieszących się słusznie niezmierném wzięciem, niektóre z nich jak antypiryna okazała

się wprost cudowną w skutkach, i musimy ją uznać za jedno z wielkich dobrodziejstw, któremi nauka obdarzyła cierpiącą ludzkość.

Od czasów już starożytnych używano powszechnie przeróżnych ziół, wywarów i proszków, obdarzonych własnością uśmierzania bólu, obezwładniania, znieczulania organizmu — a środki narkotyczne miały w tych razach wielkie wzięcie: nie znano jednak ani jednego leku pewnego, za którego skutek można byłoby ręczyć nieomylnie, a umysł ludzki pragnąc dojść celu, wciąż poszukiwał takich lekarstw, wciąż dążył za ich odkryciem. Przez przeciąg długich wieków, cierpienie ludzkie wołało o pomoc, błagając naukę o środki uśmierzające; dopiero jednak z rozwojem chemii ścisłéj, z Pristleyem i Lavoisier'em na czele, zaczął się rozwijać dział naukowych sposobów znieczulania. Zwrócono się przedewszystkiém do przeróżnych gazów, których inhalacye były pomocą w bólu; późniéj rozpowszechniły się takie środki, jak eter, z początku wielce nadużywane, aż Souberain odkrył chloroform, do dziś dnia będący, jak wiadomo, najznakomitszym środkiem znieczulającym. Chloroform niezwykłe oddał ludzkości przysługi, przy jego bowiem pomocy chirurg działać może swobodnie, pewny że wobec najstraszliwszych operacyi i najdotkliwszych bólów pacyent zachowa się biernie, niepomny, nie zdający sobie sprawy z katuszy. Nauka zresztą obdarzyła medycynę całą garścią przeróżnych środków znieczulających; nie mówiąc o morfinie znanéj oddawna, mamy całe zastępy nowych leków takich, jak ketony, aldehydy, esencya gorzkich migdałów, tlenek węgla, płyn holenderski i t. p.

Obok środków znieczulających wspomnieć należy o środkach antyseptycznych, są one może ważniejsze od pierwszych i głębszych dokonały przewrotów w chirurgii, hygienie, w całéj medycynie, w naszém praktyczném wreszcie życiu. „Ukłuciem igłą otwiéramy drzwi śmierci!"—mawiał niedawno jeszcze Velpeau, ktożby dziś powtórzył podobne słowa, dziś gdy najokropniéj otwarte rany nie grożą śmiercią. Znakomite prace Pasteur'a nad fermentacyami rzuciły dobroczynne promienie światła na ciemności, w których pogrążoną była chirurgia i medycyna, przekształcając wiadomości dotychczas empiryczne na naukowe i ściste. Pasteur bowiem dowiódł pierwszy, że przyczyną chorób zaraźliwych są drobnoustroje zwane bakteryami, z któremi organizm ludzki wciąż staczać musi uporczywe walki. Wszędzie jest ich pełno, przyroda nie zaoszczędziła nam mikroskopijnych wrogów, czyhających wciąż na nasz organizm, aby go torturować coraz to innemi dolegliwościami. Pasteur wykazał, że łatwo pozbyć się możemy tych nieprzyjacielskich zastępów, używając środków zwanych antyseptycznemi lub dezynfekcyjnemi, gdyż substancye te zabijają bakterye. Tu wymienić

należy kwas karbolowy, sublimat, kwas salicylowy, chlorek wapna, któżby wreszcie wyliczył wszystkie te ciała, gdy mamy ich dziś całe zastępy i gdy liczba ich wciąż wzrasta razem z rozwojem chemii. Dotychczas medycyna była sztuką leczenia chorób, dziś jest sztuką ich unikania, zabezpieczenia się przeciw nim. Pasteur oddał zatém nietylko nauce wielkie usługi — ludzkość cała winna mu bezgraniczną wdzięczność za te odkrycia, które zabezpieczyły ją od chorób i ocaliły wiele istnień.

Podobnie jak medycyna, rolnictwo pogrążone było czas długi w grubych cieniach niewiedzy; rozwój nauk ścisłych wywołał szalony przewrót w umiejętności téj, tak długo drzémiącéj w empiryzmie, a wśród wielu nauk, które wywarły wielki wpływ na rozwój rolnictwa, chemia bezwątpienia pierwsze zajmuje miejsce. Chemia zbadała sposoby, za pomocą których odbywają się procesy syntetyczne i rozkładowe w roślinach, wyświetliła ich wewnętrzne życie, wykazała naturę pokarmów, które czerpią z gruntu, powietrza i wody, — na mocy subtelnych rozbiorów zbadała wszystkie pierwiastki składające organizm roślinny, poznała również części składowe gleby, a będąc zasobną w tak ważne wiadomości, dzierżąc w dłoni ściśle metody miernicze, nadane jéj przez Lavoisier'a,—chemia wespół z fizyologią stała się naukową podstawą agronomii. Sześćdziesiąt zaledwie lat minęło od czasu ustalenia się naukowéj teoryi nawozów, to jest od czasu gdy dowiedzioném zostało, że grunt się wyczerpuje pod wpływem uprawy i wymaga zwrócenia mu substancyi zabranych przez rośliny, ileż od tego czasu dokonano prób, udoskonaleń, ileż założono stacyi agronomicznych i naukowych, gdzie cały zastęp uczonych specyalnie się poświęcił tym kwestyom. Związki takie, jak potaż i fosforany, rok rocznie zabierane glebie przez rośliny uprawne, poszukiwane są i zbierane na całéj powierzchni kuli ziemskiéj i zwracane napowrót glebie. Równie zresztą gorliwie poszukiwane są związki azotowe, bo choć ostatnie wyniki nauki stwierdzają fakt, że niektóre rośliny posiadają własność wiązania azotu atmosferycznego z glebą, to jednak straty, które grunta ponoszą rokrocznie, oddając swe związki azotowe roślinom, są daleko większe, a ponieważ uprawa coraz to w szerszym obraca się zakresie—z powodu zwiększających się zapotrzebowań wciąż wzrastającéj ludności — więc nic dziwnego, że nawożenie gruntów stało się w rolnictwie kwestyą pierwszorzędnéj wagi.

Nie tak odległe są wreszcie czasy, gdy oprócz cukru z trzciny cukrowéj, drogiego, sprowadzanego z odległych krain południowych, nie znano innych substancyi osładzających potrawy. Czyż nie dokonała chemia prawdziwego dobrodziejstwa, wskazując sposoby otrzymy-

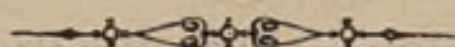
wania cukru z buraków, roślin doskonale dających się uprawiać w całéj naszéj strefie, a które stały się niemałém źródłem bogactwa narodowego? Już w zeszłym wieku Andreas-Sigismunt Marggraff zauważył, że burak zawiera to samo ciało słodzące, co trzcina cukrowa, lecz dopiero na początku naszego stulecia zwrócono się do praktycznego wyzyskania tego faktu, Karl Franz Achard, uczeń Marggraffa, założył w tym czasie pierwszą cukrownię; rozwój cukrownictwa nabrał żywszego tętna dopiero w połowie naszego stulecia, wywołując potęgą swéj produkcyi wiele przewrotów ekonomicznych i finansowych. Zaledwo jednak cukrownictwo narodowe dosięgnęło szczytu, gdy oto zjawia się związek otrzymany z smoły gazowéj, związek zwany sacharyną, posiadający własność słodzenia, przewyższającą przeszło 200 razy słodycz cukru; wątpliwém jednak aby substancya ta mogła otwarcie rywalizować z cukrem, z powodu szkodliwych własności, jako produktu spożywczego. O wiele groźniejszym rywalem okazać się może cukier sztuczny fabrykowany syntetycznie, niczém nie różniący się co do składu od naturalnego; od czasu wspaniałych prób syntetyzowania cukrów, dokonanych przez Fischera, kwestya fabrykacyi cukru sztucznego na wielką skalę jest do pewnego stopnia tylko kwestyą czasu. Nowy ten przemysł rozwinąłby się na gruzach tak dziś korzystnego materyalnie cukrownictwa, pociągając za sobą wielkie ruiny i bankructwa, ale też wieleby wniósł radości, dając tym, dla których był niedostępnym, produkt zdrowy i pożywny.

Kwestya chleba jest również w pewnym stopniu kwestyą naukową—rozwiązana będzie wówczas, gdy chemia zdoła otrzymać syntezę krochmalu przez połączenie wody z dwutlenkiem węgla. A jeśli błonnik roślinny (mający tenże sam skład chemiczny, co krochmal) zdołamy przemienić na mączkę, wówczas od wieków trapiąca kwestya głodu zostanie także usuniętą: drzewa, lasy, trawa, nawet słoma byłyby dla nas niewyczerpaném źródłem substancyi pożywnych. Oby daném było chemii otworzyć kiedyś wiek złoty przed ludzkością.

Dr. Zofia Joteyko Rudnicka.



Przed wschodem słońca.



Jak czarne widma z białéj mgieł toni
Sterczą kaplice, dzwon ranny dzwoni.
Pod mostów łuki płyniem wesoło,
Lodu kryształy zdobią je wkoło.

Płyń czółno moje,—żywiéj, a daléj!
Śpiesz, nim się złotem słońce rozpali.
Morskie śpią strachy w gajach z korali;
My je wypłoszym aż na wierzch fali!

Już nam się wielkie otwiera morze.
Po falach biegnie rumiane zorze,
Biegnie po falach, śmieje się, świeci,
A czółno lekko ku niemu leci.

Mówią, że nieraz o zorzy wschodzie
Pluszcze się ryba w różanéj wodzie,
Lecz chociaż ryba, ma białe lica,
Jak najpiękniejsza ziemska dziewica.

Już noc liliowa trwożna ucieka,
I mgła opada bielsza od mleka,
Słońce nad srebrną wznosi się wodą,
Darząc nas modrą, morską pogodą.

Rzucajmy sieci w błękitne tonie!
Hola, a żywo! już niebo płonie,
I woda w złotą smugę się zmienia,
Ryby z nocnego wyszły omdlenia.

Może i ona w rybek gromadzie
Gdzieś w koralowym bawi się sadzie
I w włos zielony może zaplata
Różowe muszle na miejsce kwiata.

Z tych gajów morskich, gdzie bez pamięci
Życie upływa, może ją znęci
Wyjść na powierzchnię marzenie młode,
Milsze nad skarby, nad chłodną wodę!

Sieć taka ciężka, tak ciężko tonie!
Co w niéj? Kto zgadnie? Natężmy dłonie,
Ciągnijmy żywiéj! Szczęście człowieka
Nadchodzi nagle, prędzéj ucieka!

J. K.



Z DZIEJÓW

RÓŻNOWIERCÓW POLSKICH.[1]

Jan Łaski.

Biada zwyciężonym — ze sprawą, której daremnie bronili, i sami giną i wszelka pamięć o nich; nawet o najsilniejszych sercem, wolą i wiedzą, o najczystszych i najświętszych własne pokolenia następne zapominają niewdzięcznie. Tak mieli i protestanci polscy pomiędzy sobą Hozyusza, Skargę i Wujka, tylko pamięć o nich wśród zwycięzców-katolików zmarniała zupełnie. A stało się to tém łatwiéj, im słabszą cała ta walka była, z im mniejszym trudem katolicyzm reformacyę pożył, im mniéj śladów po niéj zostało.

Historycy nasi i obcy, katoliccy jak protestanccy, żywią dotąd o znaczeniu reformacyi polskiéj nadto wygórowane pojęcia; biadają nad spustoszeniem, jakie reforma po głowach i sumieniach sprawiała; nad jéj „zbyt wczesném" pojawieniem (gdy w istocie, jeśli już przyjść miała, o trzydzieści lat się spóźniła!); nad skomplikowaniem politycznéj i społecznéj „naprawy" rzeczypospolitéj kościelną i religijną; nad zjawieniem się nowego, rozkładowego żywiołu; w końcu filozofują nad

---

[1]) Porównaj „Ateneum", 1898, tom I, str. 224—241.

tém, jak należało „reformę”, stanowczo ją przyjmując czy téż stanowczo wytępiając, zużyć do zbudowania silnego ustroju państwowego.

Wobec olbrzymiego hałasu, jaki reformacya niegdyś wywołała, i wobec znaczenia, jakie jéj dziś jeszcze, choć mylnie, przypisują, nie można się dosyć nadziwić, jak nędznie, mizernie i ubożuchno reformacya ta w istocie się przedstawiała. Słomiany ogień, rozdmuchany na chwilę do potwornych rozmiarów — oto polska reformacya, od piérwszego dnia chorująca na straszny brak ludzi i środków, któremu i książę pruski wydołać nie mógł, choć czynił nad siły niemal. Ci sami magnaci, których stać było na setki tysięcy, aby np. jakiegoś awanturnika zbrojnie do Wołoch wprowadzać, nie mieli dla reformacyi ani grosza, chociaż bez skrupułów dobra kościelne zabiérali — dla reformacyi umieli tylko żebrać moralnego poparcia w Zurychu, a materyalnego w Królewcu: jedyny Radziwiłł na Litwie stanowił zaszczytny wyjątek — nie można mu téż w całéj ówczesnéj Polsce nikogo przeciwstastawić, nikogo z nim porównać; cóż zrobili dla reformacyi choćby Bonerzy i Górkowie, nie mówiąc o Oleśnickich, Szafrańcach, Stadnickich? Magnaci małopolscy nawet na koszta biblii zdobyć się nie mogli — musiał ją Radziwiłł zapłacić. Jedyny Rej ratuje jako tako honor małopolski.

Lecz straszna nędza materyalnat—o jeszcze nie najsłabsza strona polskiéj reformacyi. Co ważniejsza, w głowach polskich korzeniła się ta reforma niesłychanie płytko, wyskakiwała téż z nich, za byle jakim powodem, bez śladu. Wiecznie chwiejny Zygmunt August może uchodzić za typ większości polskich protestantów: starczy, że ks. biskup uchwyci za cugle woźniki królewskie, aby króla do katolickiego kościoła nawrócić; wobec byle energiczniejszego ruchu, protestantyzm polski zaraz mięknie. Albo taki stary Tarnowski: protestanci liczą go już z tryumfem do swoich; on uwierzył już, że papież to „antykryt” i ma jeszcze tylko dwa szkrupuły (co do znaczenia słów Pańskich przy wieczerzy świętéj i co do zużytkowania dóbr kościelnych) — w istocie umiéra katolikiem. A cóż tacy Uchański, Orzechowski i tylu innych? Gdyby reformacya i po innych krajach tylko takich znalazła była zwolenników, jak w Polsce, nigdzieby i roku nie była przetrwała. Protestanci polscy nie łudzili się téż nigdy, skoro tylko z prawdą się wynurzali co do opłakanego stanu „kościółka” swego. Że mimo to w Polsce protestantyzm stosunkowo tak długo i szeroko się utrzymał, nawet niejedno ważne ustępstwo wytargował, zawdzięczał to, prócz opieszałości i nieopatrzności strony przeciwnéj, jedynie temu, że był wiarą szlachecką, kaprysem pańskim, cząsteczką złotéj wolności, t. j. anarchii;

gdyby ten sam protenstantyzm rozsadowił się był wyłączniéj między gminem wiejskim czy miejskim, dzieje by o nim milczały zupełnie.

Wobec takiego stanu rzeczy, należy tém więcéj cenić owe szczytne jednostki, między szlachtą i duchowieństwem, dla których protestantyzm nie był rzeczą ambicyi, narowu, mody albo zysku, ale najgłębszego przekonania i poświęcenia; którzy na jego ołtarzu składali bez żalu i wahania wszystko: majątek, imię, ojczyznę nawet; którzy najbogatsze dary ducha i serca kornie a ufnie przynosili w ofierze Panu i świętéj sprawie jego. Lecz nawet ich praca krwawa nie mogła wzbudzić pożądanego plonu — dlaczego? niech następne karty odpowiedzą.

Uskarżamy się słusznie, że zagranicą o naszych znakomitościach zbyt mało i wiedzą i piszą; lecz cóż odpowiemy sami na zarzut, że zagranica ceni wysoko Polaka i zbiéra skrzętnie każdy, choćby najdrobniejszy ślad jego życia lub pisma, a dostrzega z boleścią, „w jak przekrzywionych rysach własna ojczyzna postać jednego z największych i najszlachetniejszych swych synów podziśdzień przechowuje."

I rzeczywiście, o Janie Łaskim u nas dosyć głucho. Uczeni nasi i literaci poświęcali dzieła i studya rodzeństwu, słynnemu *condottieri* Jaroszowi, dzielnemu wojownikowi Stanisławowi, osławionemu awanturnikowi Olbrychtowi (synowi Jarosza), lecz o najznaczniejszym z rodziny i najsławniejszym, o ofierze prześladowań zarówno cesarza Karola V-go, jak pastorów luterskich, co to samą wieścią o zjawieniu się w Polsce wysokie duchowieństwo przerażał, a od protestantów jak apostół witany był i czczony, rozprawiano u nas, jeśli pominiemy krótki i mniéj dokładny, głównie bibliograficzny, artykuł Walewskiego z roku 1872, o nim raczéj przygodnie i dorywczo, mówiąc — np. w szeregu prałatów katedry gnieźnieńskiéj, lub ogłaszając przyczynki przy listach Hozyusza, niegdyś gorącego wielbiciela „świętego męża", późniéj zaciętego wroga „herezyarchy".

Nie wyliczamy tu biografii i prac, jakie od zeszłego wieku we Fryzyi, Danii, Niemczech Polakowi temu poświęcano, ani dzieł, nieraz najodleglejszych, w których coraz o nim mówią. Bo i któżby się spodziéwał znaléść np. w zbiorze trzystu listów sławnych mężów, jakie Holender Gabbema w r. 1663 i 1668 wydał, sporą wiązankę listów (od i) do Łaskiego pisanych; albo np. w zbiorze listów oryginalnych co do reformacyi angielskiéj, wydanym przez *Parker's Society*, znaléść sprawozdania piwowara angielskiego Burchera, albo Utenhova z Krakowa i indziéj z lat 1557 i 1558, tyczących znowu Polaka? Sława imienia polskiego sięgała wtedy rzeczywiście daleko.

Inny uczony, Holender, dr. Abraham Kuyper, wyszedłszy ze studyów nad Łaskim (w stosunku do Kalwina), przystąpił do zebrania wszystkiego, co po Łaskim w druku, rękopisach i listach pozostało, i wydał w dwóch sporych tomach (r. 1866), co po latach pracy z bibliotek i archiwów europejskich, od Dublina do Petersburga rozjeżdżając, uzbiérał. On zamierzał w tomie osobnym dodać i nowy życiorys Polaka, lecz zamiar ten spełnił późniéj zamiast niego znany H. Dalton w obszernéj, gruntownéj i pięknie napisanéj pracy „*Johannes a Lasco*" (Gotha, 1881, str. 577), przetłómaczonéj późniéj na język holenderski i angielski; z pracy téj korzystał głównie i J. Pascal, „*Jean de Lasco, son temps, sa vie, ses oeuvres*", 1894 r. Praca Daltona nie zamierzała bynajmniéj powiększyć tylko szereg dzieł o spółpracownikach Lutra i Zwinglego, Melanchtona i Kalwina; jego panegiryk czy apoetoza uświetnia i opromienia poważną postać polską, śledzi z ciepłém zajęciem i widoczném wzruszeniem za każdym krokiem życia i myśli, a czerpie z ich skarbów, aby zbudować i posilić dzisiejsze pokolenia w ich walce sumień i przekonań, aby stwierdzić radośnie, jak głęboko w przyszłość wpatrywał się Łaski, jak trafnie oceniał grożące reformacyi niebezpieczeństwa, jak dopiéro nasz wiek urzeczywistnił, do czego się on przed trzema wiekami z takiém poświęceniem przykładał.

Lecz pracę Daltona nietylko obrona i uświetnienie zajęły; on starał się, i po dr. Kuyperze, powiększyć jeszcze liczbę dokumentów i świadectw i nie szczędził w tym celu długoletnich, mozolnych zabiegów, plon ich zebrał w najnowszém dziele, p. t. „*Lasciana*" (Berlin, 1898 r., str. 575). Szukał on śladów Łaskiego wszędzie, w ojczyźnie i zagranicą, w Pińczowie, Łasku i Kieżmarku, w Emden i Królewcu, w Bazylei i Wiedniu; plon nie zawsze odpowiadał zachodom. Szczególniéj, najciekawsza faza w życiu Łaskiego, lata od r. 1526 do 1538, kiedy przełamywały się zupełnie jego przekonania religijne, świéciły dotąd najzupełniejszemi pustkami — wiedziało się o ajencie i rzeczniku Zapolyi i Jarosza, nie wiedziało się nic o właściwym Janie Łaskim. Wiadomości tych szukano bez potrzeby na ziemi sieradzkiéj, spiskiéj i fryzyjskiéj; wystarczyło przejść się po Newskim Prospekcie, aby dostać się do najobfitszego ich źródła.

W poszukiwaniach moich w Ces. Publicznéj Bibliotece petersburskiéj dotarłem i do rękopisu, zawierającego korespondencyę Łaskiego właśnie z lat 1526 do 1536. Nadbutwiały rękopis, sygnowany: Łacińskie rękopisy, dział XVII, folio nr. 57, bez oprawy, bez początku, liczy dziś 156 kart; wyszedł on z kancelaryi Łaskiego, który własną i obcą korespondencyę w odpisach do téj księgi wciągać kazał; kopiści wywiązywali się z zadania dosyć niedbale, wojując szczególnie z nazwami

miejsc i osób; wciągali oni prócz listów od i do Łaskiego (i Jarosza) poezye, np. zbiorek przesłany od dalmatyńczyka Mussola mecenasowi swemu, Jaroszowi, na kolędę, wiersze Krzyckiego (na dworaków i in.), wiersze Jana Widnera z Mielca i Rytwian, znaną satyrę na sejm roku 1536 *(Asiana dieta)* i t. d.; ostatnie sześć kart zawiérają katalog arcybiskupów gnieźnieńskich przed Łaskim; tu znalazł się i list Trepki (?), oznajmujący o przesyłce znanego *monumentum* Ostroroga, jako drogi dla Polaków do odnalezienia swobody chrześciańskiéj; z wzmianki téj korzystał ś. p. Pawiński. Liczne karty pozostawiano niezapisanemi, aby późniéj wciągać rzeczy potrzebne — niepobożne ręce wyrywały te i inne karty, a na pozostałych (białych) zapisywał jakiś poczciwy hreczkosiej w roku 1653 i 1654, ile korcy, garncy i t. d. spotrzebował. Z tego to rękopisu korzystał za moją wskazówką p. Dalton dla swych *Lasciana* i dla innych publikacyi — niestety, znalazł on bardzo lichego kopistę, który rękopisu miejscami albo wcale nie odczytał, albo odczytywał błędnie; za to sam Dalton opatrzył te i inne listy najcenniejszemi uwagami, świadczącemi o wszechstronnéj wiedzy i staranności.

W życiu naszego bohatéra odróżniamy kilka faz — nas zajmą głównie te, które się do Polski odnoszą, zaranie i schyłek pracowitego żywota; inne uwzględnimy, o ile do charakterystyki człowieka i reformatora niezbędne; materyał czerpiemy z samego rękopisu, z publikacyi źródłowych i z prac poprzedników, głównie Daltona.

I.

W XVI-ym wieku nie zadawalały się poszczególne możne rody przyjmowaniem obcych tytułów, hrabiowskich i książęcych; próżności ich schlebiały i wywody genealogiczne, łącząee na kruchéj podstawie przypadkowego podobieństwa nazw magnateryę polską z zagraniczną. Tak mieli Łaskarzy, prawowici Godzięby, od bizantyńskich Laskarisów pochodzić; tak przywieźli Jarosz i Stanisław Łascy z Londynu i Paryża wiadomość, że ród ich normański, angielski, spokrewniony z Laçy'mi, że zamorskiego pochodzenia i herbowy Korab dowodzi — chociaż godło to całkiem przypadkowo, jak Łodzia, Koziegłowy, Kroje, Dryje i tyle innych rzeczy w herbie figuruje. Więc nie dopiéro Olbrycht Łaski na dworze Elżbiety bajkę tę etymologiczno-heraldyczną spłodził, a powtórzył ją za nim Paprocki; już Jan Łaski w liście do Zygmunta Augusta z początku roku 1548, stwierdził ją słowami: „wo-

łają mnie Anglicy i domagają się niby rodaka, ponieważ, jak się zdaje, pierwsze początki rodu naszego od nich wywodzić możemy.”

Ród ten, w istocie z ziemi sieradzkiéj wyszły, nazwany od miasteczka rodowego, słynnego cudowną Matką Bożą w XVI-ym wieku, wzniósł się wysoko zasługami i zabiegami arcybiskupa, Jana Łaskiego, który i brata, Jarosza, na krześle województwa sieradzkiego osadził i synowcami gorliwie się zajął. Miał Jarosz trzech synów, najstarszego, dziedziczącego imię a późniéj i godność ojcowską; średniego, dziedziczącego imię (a w intencyi i godność) stryja; i najmłodszego, zwanego Stanisławem, jak się wtedy co drugi Polak nazywał (mawiano o tém: Stanisław z izby, Stanisław do izby); ten po śmierci ojca i brata województwo sieradzkie spadkiem otrzymał. Było więc braci trzech, nie czterech, jak ks. Korytkowski stale twierdził, z najstarszego, Jarosza, dwóch: Hieronima i Jarosza, uformowawszy, kiedy to obie nazwy identyczne, czyli, innemi słowy, staropolskiego Jarosława (Jarosza) podprowadzono pod łacińskiego Jeronima (Hieronima), jak np. Nawojkę pod Natalię; my dzisiaj Jeronimów, Natalii, Dyonizów Jaroszami, Nawojkami, Dziwiszami nie nazywamy, lecz w XVI wieku popłacało to stale, dlatego też w dalszym ciągu pana wojewodę zawsze Jaroszem zwać będziemy.

Trzej bracia byli jeden od drugiego po kilka lat młodsi, siostry ich przegradzały; Jarosz urodził się w r. 1496, Jan w r. 1499, Stanisław w r. 150?; Jan był najwątlejszém dzieckiem i dlatego może odrazu do stanu duchownego przeznaczony, lecz, jak to nieraz bywa, ten, o którego zdrowiu i życiu słabo tuszono, przeżył braci silnych i zdrowych. Siostry powychodziły za największych panów polskich, Jana Tęczyńskiego i innych; Stanisław ożenił się z Odrowążówną.

Wbrew przysłowiu, akademia krakowska Łaskim ani matką, ani babką nie była; ani Jana, ani którego z jego synowców nie spotykamy w spisach jéj uczni; wychowanie domowe w rodzinnym Łasku i pobyt na dworze arcybiskupim zajęły lata pacholęce, a skoro arcybiskup sam na Wenecyę do Rzymu, na sobór laterański, w r. 1513 wyruszył, zabrał ze sobą i synowców, najpierw obu starszych; późniéj i Stanisław za nimi do Bolonii podążył, dokąd się niebawem (1514) z Rzymu dla studyów przenieśli.

Grono bolońskie, skupione pod jednym dachem, było wcale liczne; składało się na nie dziesięć osób: Łascy, trzéj Radziwiłłowie, kilku innéj młodzieży, służba z niby ochmistrzem, ks. Janem Branickim, zdającym skrupulatnie rachunki przed arcybiskupem. Odnośny list jego obszerny, pisany straszną łaciną (szkoła w Ruszczy, jedyna jaką przeszedł, chyba nie wysoko stała), pozwala nam wejrzyć w tryb życia bo-

lońskiego. Prowadzą własne gospodarstwo, kupili nawet wagę, na któréj Radziwiłł wiktuały odważa, by przekupnie nie oszukiwali; cen i ilości rzeczy najrozmaitszych nie przytaczamy. Każdy z uczni pracuje u osobnego pulpitu; jest siedm lamp, aby módz studya i do dziewiątéj wieczorem przedłużać; język polski z obejścia wykluczono, mówią tylko po łacinie, włosku, niemiecku; przy obiedzie odczytują kolejno rozdziały z *Historia bohemica* (słynnego dzieła Eneasza Sylwiusza); potém rozprawiają o treści lekcyi dziennych, a co tygodnia przesłuchiwa ich obcy mistrz. Ponieważ Branicki u jednego z chłopców znalazł pieniądze, więc aby nadużyciom zapobiedz, bo młodzież to dziwne zwierzę, zabrał je i dodawszy nieco kupił dwie lutnie; wydatki na „sajany" — Janowi Łaskiemu i Stanisławowi Radziwiłłowi sprawił Branicki jednakie, — na trzewiki, na balwierza, którego wszyscy raz w tydzień nawiedzają, na praczkę i t. d. pomijamy. Całe grono było bardzo dobrze dobrane — prócz jednego, Stanisława Radziwiłła — na co jemu Włochy, pyta Branicki, on już we Wiedniu wszystko zapomniał, czego się w Polsce nauczył; muszę téż dla niego trzymać scholara, co go Donata i gramatyki przyucza. Najzdolniejszym jest bezsprzecznie Jarosz; najgorętsze przywiązanie łączy go z Janem, który je równém przez całe życie odpłacał. Gdy Jana w Bononii nie było (i przedtém, gdy był w Niemczech, we Wiedniu, zanim za stryjem i bratem podążył do Rzymu?), Jarosz zaniedbuje naukę, traci humor i wesołość, co wszystko za powrotem brata się zmienia. O nim świadczą najpochlebniéj i Branicki („nigdym nie widział takiego chłopca, zaleca go najwyższa cnota; oby tylko długo pożył") i Jarosz: w jego i w oczach innych ożywia Jana „tak poważna stałość, że wszyscy go niemal kornie czcimy — a nie mówię tego o nim tylko jako o bracie". Rzeczywiście zalecał się Jan statkiem, pilnością i pojętnością, chociaż nie dorównywał świetnym darom Jarosza; chętnie popisuje się w listach do stryja, w Bononii na początku r. 1515 pisanych, cytacyami z Salustyusza i Owidego; widocznie, czasu w Niemczech i Włoszech nie tracił. Zadziwiające zdolności językowe, odznaczające wszystkich trzech braci, ułatwiały im przyswojenie włoskiego języka, swobodne obracanie się na ulicy; z wszelkich widowisk wjazd i pobyt Franciszka I-go w Bononii największe wrażenie wywołał; boska niemal cześć, jaką Jarosz ku bohatérskiemu królowi żywił, a Stanisław czynami tylokrotnie stwierdził, może już odtąd datuje.

Na kilka lat losy i koleje braci dzielą się zupełnie.

Jarosz zaciąga się w służbę wenecką i podróżuje przez cały rok, chociaż nie do ziemi świętéj, jak twierdzono; powróciwszy do kraju, zyskuje za staraniem stryja-opiekuna rękę jednéj z najbogatszych

dziedziczek w Polsce, Anny z Kurozwęk Rytwiańskiéj (pupilki arcybiskupiéj) i wstępuje szybko po stopniach hierarchicznych, używany wcześnie do misyi dyplomatycznych za granicę, przyczém wielkopański zbytek, polowania, gra (w kostki) rychło wielką fortunę, głównie żoniną, fatalnie nadszarpują. Janowi stryj, wpływem w Polsce a pieniędzmi w Rzymie (łożąc np. w r. 1517-ym 1,400 złotych na ten cel), wyrabia jedno beneficium kościelne po drugiém; wyświęconego w roku 1521, widzimy równocześnie dziekanem gnieźnieńskim i delegatem kapitulnym na synodzie piotrkowskim; tegoż roku król go sekretarzem mianuje; otwiéra mu się więc ta sama droga, którą niegdyś przodkowie kroczyli; lecz pokazuje się niebawem, że młody Jan bynajmniéj po niéj iść nie zamierza, że zawiedzie wysokie oczekiwania rodziny i przyjaciół, że obierze drogę inną, nie zwykłą, tradycyjną u Łaskich. Stanisław wreszcie, z braci najmniéj zdolny, domem się para.

Urzędy, a raczéj intratne dostojeństwa kościelne i sekretaryat królewski, nie zapełniały Janowi życia; od gwaru, zgiełku, intryg dworskich ciągnęło go stale do ulubionych studyów humanistycznych; raziło go otoczenie polskie, w którém znachodził, więcéj niż gdziekolwiek indziéj, tylu, co „choć o naukach pojęcia nie mają i ani wysłowić się nie umieją, mimo to nigdy milczéć nie myślą, aby ich o nieuctwo nie posądzano"; raził go brak światłych nauczycieli; raziła go nędza tych, co nauki pragnęli. Wszystko pchało go za granicę, lecz nietylko do Włoch, ale i do środowiska studyów humanistycznych, do Bazylei Erazma Roterdamczyka i daléj na zachód, do Paryża, świetnego szkołami i ogładą, Sorboną i dworem.

Otóż złożyło się właśnie, że w nowéj misyi dyplomatycznéj Jarosz do Francyi i Hiszpanii się wybiérał (z końcem r. 1523); tym razem zabrał z sobą obu braci. Podróż skierowano i na Bazyleę; Jarosz znał Erazma już od kilku lat, jeszcze z Brukseli; Jan po raz pierwszy go zobaczył. Erazm zajęty starszym bratem, na młodszych zwrócił pobieżną uwagę. Z Bazylei udano się do Paryża; Jan uczęszczał i na wykłady do Sorbony, gdy bracia, szczególniéj Jarosz, ogładą, urodą, majątkiem, zręcznością w sztukach dyplomacyi, niemniéj jak w ćwiczeniach rycerskich, uznanie i oklaski zbiérali. Stanisław pozostał na służbie u króla francuskiego i nie opuścił go w grożących niebawem, najcięższych przejściach, ani ranionego pod Pawią, ani uwięzionego w Madrycie; Jan wrócił do Bazylei w ciągu r. 1524 i zabawił tu do września następnego roku; wezwany przez brata Jarosza do powrotu, wyjechał na Wenecyę; tu i w Padwie trawił jeszcze całe miesiące, niepewny, czy do Hiszpanii z powodu brata (Stanisława), czy do Polski na Bazyleę

i Francyę się ruszy; na początku kwietnia 1526 roku stanął wreszcie w Poznaniu.

Druga ta podróż zagraniczna nosi naturalnie całkiem odmienne cechy od pierwszéj; teraz, chociaż jeszcze o wykładach w Sorbonie i o urządzeniu szkolarskiém w Padwie przebąkuje i listy polecające od Erazma mistrzom padewskim przynosi, już to nie ów potulny, gorliwy, pilny szkolar boński; choć się z groszem liczy i rachunki Jaroszowi dla stryja przesyła, już to pan, mecenas, świadczący uczonym humanistom hojną a dyskretną ręką. Mecenasem jest on wobec Erazma, ponosząc koszta jego stołu, odkupując u niego bibliotekę, lecz pozostawiając mu do zgonu jéj użytek (cały świat podziwiał, gdy w 250 lat późniéj Katarzyna II-ga Diderotowi toż samo wyświadczyła); mecenasem jest on wobec humanistów takiéj miary, jak Rhenan lub Glarean, którzy mu swe dzieła dedykują, np. Rhenan wydanie Pliniusza, najcenniejszą swą pracę filologiczną, Glarean podręcznik geografii; lecz największym mecenasem staje się on wobec młodego Francuza, Aniana Burgoniusza, rodem z Orleanu. Jakby w Polsce nie było dosyć Janicyuszów i Hozyuszów, zdolnych nadzwyczaj i nadzwyczaj chętnych, lecz niezamożnych, czekających z utęsknieniem, aby im Tomiccy, Krzyccy, Kmitowie drogą do ulubionych studyów i do cudownych krain hesperyjskich otwarli, przybiéra sobie ksiądz-dziekan skromnego, zdolnego, ubogiego Francuza, za porozumieniem z jego rodzicami, zapewniając mu przyszłość — utrzymuje go w Bazylei i w Polsce, wyśle go potém na własny koszt do Włoch i do Witenbergi. Między rówieśnikami w Bazylei wiąże go najściślejsza przyjaźń z Bonifacym Amerbachem, młodym jurystą, dla równości usposobień, przekonań, gustów; zamożny patrycyusz wyręczał go chętnie i często, gdy przesyłka od augsburskich Fugierów nie przychodziła; próba Łaskiego, w r. 1526, aby Amerbacha pod najkorzystniejszemi warunkami zwabić do Polski, nie powiodła się.

Młodym dziekanem wszyscy zachwyceni, najwięcéj Erazm sam; z listów jego można uzbiérać sporą wiązankę najpochlebniejszych sądów, a choćbyśmy je i na karb nieuniknionéj przesady humanistycznéj albo interesowności odkładali, niepodobna zaprzeczyć, jak korzystne wrażenie Jan na każdym, co go wtedy poznawał, wywiérał. Częste są zwroty Erazma o jego śnieżnéj czystości—prawdziwe to złoto i brylant szczery; zgorzkniały od chorób, prac i obmowisk starzec odmłodniał w miłém pożyciu z nim; raz skarży się, że „Jan Łaski (wyjazdem swoim) zabił wielu, a między nimi Erazma" — najszczytniejsze świadectwo wystawił mu w dedykacyi dzieł św. Ambrożego dla stryja: „ja starzec, stałem się lepszym w pożyciu z tym młodzieńcem; sta-

rzec, nauczyłem się od młodzieńca, czego młodzieniec od starca nabiérać by winien — trzeźwości, skromności, sromieźliwości, powściągliwéj mowy, prawości." I zdawałoby się — Erazm liczył na to z wszelką pewnością — że ksiądz-dziekan, co się jego nauce, prawości, rodowi wreszcie należało, stanie niebawem w szeregu Tomickich i Maciejowskich, a daléj choćby i Granwelów i Kontarinich: nikt wówczas jeszcze nie przeczuwał, że za ćwierć wieku, miasto bogactw i dostojeństw, ubogi tułacz próżno szukać będzie miejsca, gdzieby z rodziną głowę znękaną przytulił.

Bo nietylko z humanistami, z książęciem drukarzy, Frobenem, z Oporinem, z ciągłemi okazami ich sztucznych pras ksiądz-dziekan dokładnie się zaznajamiał; jeszcze silniéj pociągały go dyskusye o prawdziwéj wierze, o zuchwalstwie i nietolerancyi Lutra, o karygodnych skazach w kościele, w jego obyczajach, obrzędach i nauce, o niezbędnéj a walnéj ich naprawie, o konieczności soboru — ale nie bazylejskiego, przynajmniéj nie z jego wynikami. Wprawdzie podobne dyskusye nie były dla niego nowością; mógł się ich nasłuchać i w Polsce, gdzie niejednego z dygnitarzy kościelnych o sprzyjanie nowinkom pomawiano, a przedewszystkiém w towarzystwie swych braci. Jarosz szczególniéj był nieposkromionym; nic nie sprawiało mu większéj satysfakcyi, niż wobec duchownych napadać na ich wiarę i życie, i czém zacofańszych przed sobą widział, tém gorliwiéj bronił nowinek i reform. W liście np. z r. 1527, pisanym do biskupa kamienieckiego po wzięciu Rzymu, gdy papieża do Hiszpanii odwieść miano, szyderczo pyta, czy się i nadal rzymskimi katolikami zwać będziemy, czy nie lepiéj to chrześcianami się nazywać — gdzież będziemy teraz szukali opieki duchowéj i nauki, gdy papieża i kardynałów nie stanie, czy nie lepiéj to zawierzyć samemu Duchowi świętemu — baczcież duchowni, by się lud od was nie odstrychnął, by nie zginęły wam wasze dostatki i wpływy. Na list ten Krzycki odpowiedział obszernie, z gryzącą ironią; wychłostał go nielitościwie, kazał własnemu życiu się przyjrzéć, prawił o urojonych zasługach szlachty, że jéj wpływom gorsze niebezpieczeństwa grożą, nie oszczędził arcybiskupa nawet; lecz dotkliwa nauka wcale nie poskutkowała; w pięć lat późniéj Jan przeprasza tegoż samego Krzyckiego w téj saméj materyi i uniewinnia przed nim brata i jego niepowściągliwość języka, któréj sam pochwalić nie może.

I Stanisław, choć nie tak gwałtownie występował, dzielił podobne przekonania. W owym znakomitym pomniku prozy polskiéj przedrejowskiéj, w owych aforyzmach o rzeczach wojskowych, tchnących duchem i językiem Tarnowskich i Tęczyńskich, krążących nawet po rękopisach (znam ich kilka) pod imieniem Tarnowskiego, są przytyki

do życia i nieuctwa duchownych osób, nawet do ich obrzędów, gdzieby się nikt takich przytyków nie spodziéwał.

Powtarzamy więc, czémś zupełnie nowém dyskusye podobne nie były i dla Jana, tylko wywarły one na duchownym całkiem inny wpływ, niż na braciach-żołnierzach, przekomarzających się z otoczeniem. Jeszcze za pierwszego pobytu w Bazylei poznał Jan zbiega z Francyi dla wiary, Farela, co to Erazma nowym Balaamem przezwał (niby dla daru, jakim Jarosz miał go do wystąpienia przeciw Lutrowi pozyskać); w Paryżu samym, przedstawiony przez brata u dworu, obracał się w kołach, którym przewodniczyli ulubiona siostra królewska, Małgorzata Valois, jéj ojciec duchowny, biskup Briçonnet, słynny humanista Faber Stapulensis i in., a więc między ludźmi, niezadowolonymi otwarcie z teraźniejszego stanu kościoła, chociaż stanowczo do obozu reformacyjnego nie przechodzili; za drugim, dłuższym pobytem bazylejskim poznał Jan Zwinglego w Zurychu; zaprzyjaźnił się z teologiem Oekolampadem i z gwardyanem Pelikanem, u którego hebrajszczyzny się uczył, z przekonanymi zwolennikami reformy. Powoli i Łaski przesiąkał ich duchem, chociaż na razie przeważały zupełnie wpływy Erazma, zrywającego tém otwarciéj z Lutrem, im większe rozmiary walka o wiarę przyjmowała, przerażonego gwałtownością Lutra, płomieniem wojny społecznéj i domowéj, grożącym upadkiem ulubionych nauk. W obronie Erazma Łaski stale występuje; cieszy się w liście pisanym do stryja r. 1527, że „mój Erazm" oczyścił się nakoniec i w oczach stryja od wszelkiéj zmazy luterskiéj; Luter, mówi on, chyba dowieść zamierza, że w połajankach nikt go nie przesadzi, i uskarża się na ewangielików, nie znoszących nikogo, coby śmiał nieco odmiennego twierdzić (list do Amerbacha 1526 r.).

Usposobienia i przekonań tych kilkomiesięczny pobyt w ściśle katolickiéj Wenecyi i Padwie niczém nie naruszył.

II.

Po powrocie do kraju, życie zdaje się najpierw toczyć dawnemi torami. Stryj stara się daléj o intraty i beneficya, co, już nie ksiądz-dziekan, ale ksiądz-proboszcz gnieźnieński z gorącemi dziękami przyjmuje; sam, unikając dworu królewskiego, dokąd nic go nie pociąga, oddaje się daléj studyom humanistycznym i teologicznym i zajęciom urzędowym. Były to czasy, kiedy jeszcze po różnych zapomnianych bibliotekach skarbów starożytnéj literatury dobywano; więc gdy ksiądz proboszcz, jako członek kapituł gnieźnieńskiéj i krakowskiéj, w ich

murach zagości, pierwszém jego staraniem wertować ich zasoby rękopiśmienne. Już w Bazylei poruszano kwestyę jednego mianowicie dzieła, którego pozorne ślady w Polsce filologów przez cały wiek, ba i dłużéj, trapić miały—i Łaski więc szukał zatraconych ksiąg o państwie Cycerona. Pierwsze, co on w Krakowie czy w Gnieźnie raczéj odnalazł, były też owe księgi nieocenione — a przynajmniéj wyliczenie ich wyraźne w katalogu bibliotecznym, wywieszonym na drzwiach, prócz innych skarbów, tamże wymienionych — lecz daremnie przetrząsał Łaski całą bibliotekę od góry do dołu, skarby katalogu nie istniały na półkach. „Prócz rzeczy matematycznych i magicznych, niczego się, pisze do Amerbacha z Krakowa 1527 r., po téj bibliotece spodziewać nie należy; jest wiele miejsc próżnych, gdzie dawniéj prawdopodobnie książki stały; teraz leży wszystko w kurzu i pleśni. Przypuszczam, że za niedbalstwem przełożonych wiele stamtąd wykradziono lub ukradkiem wysprzedano." Łacińskie rękopisy zawiodły (Amerbach szukał zresztą „*De legibus*" Cycerona, nie „*De republica*"); lepiéj tuszył o greckich, o które się i z Moskwy starał, przez znajomych, i z biblioteki królewskiéj; „do Moskwy bowiem, gdzie dotąd wiara grecka nieporuszona kwitnie, dokąd się Grecya przeniosła, przewieziono, twierdzi on w listach do tegoż Amerbacha, i odpisy najlepszych ksiąg z pierwowzorów, i znajdą się tam pewnie, choćby nigdy dotąd nie wydane, pisma greckich ojców kościoła; co uzbieram, a mam już nieco, prześlę do Frobena."

Zajęcia i troski filologiczne nie uśpiły jednak trapiących myśli o kościele i reformie. Należało, zdaje się, uspokoić i obawy stryja, bo jeżeli w jego oczach Erazm za nowinkarza uchodził, to i gorący tegoż wielbiciel mógł się podejrzanym wydać. Do pogłosek, ubliżających prawowierności Łaskiego, odnoszą dwa listy jego do stryja, wspominające o „poszeptach", którym stryj zawierzać nie powinien, ten sam stryj, który go niby z obawy przed wpływami Erazma z Bazylei odwołał i na Wenecyę nie na Niemce wracać mu kazał. Lecz ton tych wzmianek do podobnych przypuszczeń wcale nie upoważnia—owe „poszepty" tyczyły może całkiem innych rzeczy, np. niewdzięczności jakiéj — nie wspominalibyśmy też o nich wcale, gdyby nie okoliczność, jak zobaczymy niżéj, że taki ich wykład walnie służy przy usunięciu wielkiego zarzutu, ciążącego wedle naszego uczucia na pamięci męża. W liście do stryja nieco późniejszym (z 13 czerwca 1527) zaznacza wyraźnie, że „ile wiem, zaraza (luterska) Polski jeszcze nie tknęła, chyba że gdzie w sercach ludzkich się kryje; lecz jeśli raz, co Boże odwróć, przekroczy nasze granice, obawiam się, aby nam złe to nie sprawiło znacznie więcéj kłopotów, niż i Niemcom samym." W listach do przyjaciół ba-

zylejskich wywnętrza się o niezmienioném położeniu duchowieństwa w Polsce, chyba że wobec nowych konstytucyi (o majątkach po zmarłéj ręce) liczba mnichów się nieco umniejszy. Głównie jednak użala się na brak miłości i wyrozumienia, na niechrześcijańskie napastowania czci i sumienia bliźniego, na narzucanie gwałtem przekonań: stanowisko, jakiego w ciągu całego życia nigdy nie opuszczał. Coraz bardziéj rozczytywał się téż w bieżącéj literaturze polemicznéj, któréj okazy zewsząd sobie przesyłać poruczał, np. znanemu protestantowi, doktorowi wrocławskiemu, Janowi Hess, Maciejowi Auctus, również lekarzowi wrocławskiemu, tamtejszemu rektorowi, Janowi Rullus.

Lecz ze wszystkich umiłowanych zajęć, ze studyów humanistycznych, zstępujących już nieco na wtóry plan wobec teologicznych, z korespondencyi z przyjaciółmi bazylejskimi i wrocławskimi, z rozmów poufałych z Anianem, z zajęć urzędowych wykoleił Jana na całe lata szalony postępek Jarosza, pierwszy objaw anarchii magnackiéj, prowadzącéj zewnętrzną politykę na własną rękę, instalującéj wojewodów mołdawskich i samozwańców moskiewskich, dobijającéj się w końcu klęski cecorskiéj i kapitulacyi moskiewskiéj.

Panu wojewodzie sieradzkiemu—wysoką godność piastował dwudziestokilkoletni od roku 1523 — Polska nagle za małą się wydała; krzesło wojewodzińskie i ekspektatywa na bogate starostwo malborskie były zbyt małą nagrodą ze strony niewdzięcznego króla—wojewoda więc poszukał innego pana, coby zdolności jego lepiéj cenił i służby hojniéj wynagradzał. Bo nietylko ogólne sympatye polskie ku Janowi Zapolyi i specyalna, tradycyjna nienawiść Łaskich przeciw Habsburgom popchnęły wojewodę do Węgier, wbrew wyraźnemu zakazowi królewskiemu, warującemu w walce Zapolyi z Ferdynandem neutralność polską—coraz fatalniejszy stan majątkowy, a zarazem żądza czynów, sławy, prędkiego wyniesienia się i wzbogacenia, o czém wszystkiém w głęboko uśpionéj Polsce, zażywającéj błogiego pokoju, ani marzyć się dawało, udziałały pana wojewodę hetmanem polnym, ajentem dyplomatycznym królika węgierskiego, składającym wszelkie wpływy, zdolności i środki na ołtarzu nieszczęsnéj téj sprawy. W walnych czynach wojennych pan wojewoda udziału prawie nie brał; rozjeżdżał jako niestrudzony ajent po całéj Europie od Londynu do Konstantynopola, między ziomkami i między obcymi agitując i werbując: wprawdzie nie udało mu się wciągnąć Polski do czynnego wystąpienia, za to uzyskał dla swego pana fatalną pomoc turecką. Porwał za sobą i braci, mniéj Stanisława, który po oblężeniu w Budzie, gdzie z królem i z załogą pięćset szkap zjedli, i po odsieczy przez p. wojewodę dokonanéj, ze spraw tych rychło się wywikłał i gdzieindziéj szczęścia i wawrzynów

szukać podążył; tém więcéj za to Jana. Sam gorący afekt, znany nam oddawna, kazał Janowi wszystkiém, osobą i środkami bratu pomagać; przedsięwzięcia samego nigdy nie pochwalał, zawsze pragnął jednego, aby ukochany brat jak najrychléj z tych wielce ryzykownych spraw węgierskich się wyplątał, mimo to oddał mu się całkiem. Służbę jego dyplomatyczną nagrodził król Jan tytułem biskupa wesprzymskiego — lecz Rzym, nie uznający króla, i biskupa nie potwierdził, a dochody zabierał zawsze potrzebny Zapolya sam. Zdawałoby się, że Jan Łaski, jak brat Jarosz, całkiem obcéj służbie się odda: prawiąc poselstwo wobec Zygmunta i senatu, tylko Jana swoim królem i panem nazywał, w rokowaniach poznańskich (1530 r.) z bratem do pełnomocników króla Jana należał i z polskimi i saskimi rokował.

Szczegółów tych, przejść, w które Jana całkiem mimo wiedzy i woli wciągnięto, wcale nie myślimy poruszać; odbijają się one w korespondencyi petersburskiéj, gdzie zamiast listów do Erazma, Amerbacha, Aukta i in., same listy do polskich i węgierskich magnatów i dostojników kościoła, do królów Zygmunta i Jana się przewijają; odbiły się one na całym biegu życia Jana, między 1528 a 1535 rokiem. Unikał dawniéj ksiądz proboszcz dworów królewskich i pańskich, teraz sam do nich stale i silnie kołatał; żył on cicho, skromnie i miernie, zasilając uczonych, otaczając się poezyą i teologią, ugaszczając humanistów, obcych i swoich, teraz odmawiał sobie wszystkiego, zaciągał długi, poświęcał czas, siły i dochody sprawie brata, najwięcéj zaś wtedy, gdy cała komedya węgierska jak najsmutniéj dla p. wojewody się zakończyła.

Powodzenia dyplomatyczne p. wojewody, wpływ jego nad królem Janem uzyskany, który mu tyle zawdzięczał, dostojeństwa i dary, jakie nań za te zasługi spływały, coraz bardziéj psuły krew dostojnikom węgierskim, niechętnie patrzącym na polskiego intruza; oni to podbechtywali przeciw niemu króla, porywczego i gwałtownego niemniéj od pana wojewody; oni wzniecali podejrzliwość, podsuwając wojewodzie ambitne, daleko sięgające zamiary, podejrzliwość tém więcéj uzasadnioną, skoro p. wojewoda, godząc niby Zapolyę i Ferdynanda, coraz wyraźniéj na stronę rywala przechylać się zdawał. Oziębiła się więc przychylność, a zaczęły rychło niesnaski i nieporozumienia, świadczące o złéj woli Zapolyi, przekonanego o złéj wierze Jarosza — sam ksiądz proboszcz wyłożył je najobszerniéj w liście do Tomickiego z 16 stycznia 1533 roku. Zamiast załagodzenia, stosunki w końcu tak dalece się zaostrzyły, że król Jan najgorliwszego sługę, który dla niego ojczyznę i rodzinę porzucił, sułtanom i królom się narażał, życie i mienie w ofie-

rze niósł, jako zdrajcę uwięził i na życie mu godził (31 sierpnia 1534 r.).

W najkrytyczniejszéj téj chwili ksiądz proboszcz najgorliwszą czynność rozwinął. Dziennie rozrzucał listy po całym świecie, do książęcia pruskiego, do książąt bawarskich, do króla i królowéj, do magnatów polskich i węgierskich, do krewnych, wzywając o pośrednictwo, o wstawienie się za niewinnym bratem, przedkładając niesłychaną krzywdę jaką brat a z nim ród cały i Polska (w osobie senatorskiéj) od niewdzięcznego króla ponoszą, do króla Jana pisywał natarczywie o glejt, aby mógł osobiście niewinność brata wobec króla przewieść — na razie ograniczał się wobec niego do prośb, ale w dali groził i zbrojną interwencyą i do niéj się rzeczywiście w Kieżmarku na Spiżu, który król wojewodzie był nadał, a gdzie teraz ks. proboszcz stale przebywał, gotował. Do zbrojeń tych odnosi się jedyna polska zapiska petersburska, którą dlatego też za rękopisem powtarzamy: w niedzielą po św. Franciszku lata 34 posłano jest JMP. proboszczowi przez p. Bobolą do Cheszmarku dziewięć parowchi (?) przednich a zadnich kusów, item dziewięć obojczyków plachowich, item siedm par bruniowych rękawów, item sześć półhaków, a to pożyczył pan opolski (?) p. proboszczowi JM. Zdawało się więc, że ks. proboszcz sam może w żelazo się zakuje przykładem średniowiecznych książąt kościoła, choć się wszelką wojną brzydził. Lecz nie przyszło do takiéj ostateczności.

Namiętna ruchliwość jego odniosła i bez niéj pożądany skutek; na przedstawienia Tarnowskiego i Andrzeja Tęczyńskiego szczególniéj, co to świeżo z ziemi świętéj wracał, król wojewodę z więzienia w styczniu 1535 r., a niebawem na zawsze ze swej służby uwolnił, którą teraz wojewoda otwarcie rywalowi, królowi Ferdynandowi, zaofiarował. Tak się ten epizod zakończył, lecz ks. proboszcz całe lata jeszcze chromał pod jego skutkami; należało bowiem spłacać zaciągnięte długi słowu i zobowiązaniom zadosyć czynić. A pod tym względem obaj Łascy byli nadzwyczaj skrupulatni; nawet w Konstantynopolu, w niebezpieczeństwie życia i misyi, jedna troska trapiła p. wojewodę: „jak wy tam w domu długom moim podołacie i słowa mego na najmniejszy szwank nie narazicie" — obaj byli całkiem odmiennych zasad od Gamrata, co to myśl o spłacaniu wierzyciela z największą flegmą odsuwał: dosyciem ja myślił, gdziem pieniędzy miał dostać, niechajże też on myśli, skąd mu je zapłacą.

Mimo to, sprawy węgierskie same nie zajmowały wyłącznie księdza proboszcza przez wszystkie te lata. Nie zapominał on przedewszystkiém o młodym francuzie Anianie, wysyłał go (1530 r.) własnym kosztem do Włoch, do Bononii i Paduy — w rękopisie petersburskim

mamy listy dziękczynne Aniana i sprawozdania z podróży, z trybu życia i studyów w Wenecyi, Bononii i Padwie, z kursów u Romulusa i Bonamika, którzy go zachwycali wiedzą, wymową, ogładą; przesyła on wiersze Bonamika—którego równocześnie Orzechowski słuchał i podziwiał—i załącza listy Hozyusza. Hozyusz znał Łaskiego od lat kilku; prosił go o wstawianie się u „patrona", Tomickiego, aby go wreszcie, nie zważając na grożące wojny i rozruchy, za granicę wysłał — gdzież może być głębszy spokój, niż u Erazma? podczas pobytu zaś w Wenecyi i Bononii w taką zażyłość wszedł z drogim Anianem, z którym mieszkanie i zajęcia dzielił, że w listach dziękował za wszystko, co Łaski Anianowi świadczył, jakby to jemu, Hozyuszowi, wyświadczał. Odwołał nakoniec Łaski Aniana z Włoch, aby od studyów humanistycznych [1]), przygotowawczych przeszedł do teologicznych, i wysłał go w tym celu do Witenbergi, gdzie, za zasługą Melanchtona, studya te najbujniéj kwitnęły.

„Praeceptora Germanii" Łaski znał i podziwiał z dzieł, dla nauki nie mniéj jak dla umiarkowania; powoływał się na świadectwo dobrego znajomego obu, Andrzeja Trzycieskiego (ojca), pisząc list do „ozdoby wieku naszego" z poleceniem Aniana i oddaniem pierścienia kosztownego (z Krakowa 1534 r., 7 marca). W odpowiedzi z maja Melanchton, dziękując za szafir, nie może dosyć wychwalić skromności i słodyczy Aniana, lecz ten zawiódł rychło nadzieje wszystkich. Łaski i Melanchton liczyli, zdaje się, na przyszłą jego rolę w szerzeniu reformacyi w Polsce; Melanchton przygarnął go jak syna, wziął ze sobą w podróży do landgrafa heskiego; w powrocie Anian odjechał do Lipska dla jakichś załatwień, tu jednak zachorował i umarł w styczniu 1535 r., w ostatnich chwilach obok powtarzania imion „Łaski, Melanchton", polecając ciągle duszę Panu. Ponieważ sakramentu pod jedną postacią nie chciał był przyjąć, przeto odmówiono w katolickim wtedy Lipsku pogrzebu; towarzysze zwłoki do Witenbergi przewieźli, gdzie je z wielkiemi czciami chowano; sam Melanchton miał mowę pogrzebową,

---

[1]) O głębokości tych studyów może świadczyć bardzo zaszczytny dla młodego francuza list Pawła Manucyusza, z Wenecyi do „Aniana Burgoniusza" pisany (w zbiorze Gabbemy). Listy Aniana do Łaskiego wydał Hermann Dalton, w *Evangelisch reformirte Blätter*, *herausgegeben von Szalatnay*, Praga 1892, str. 111 — 129, lecz nie wszystkie; w rękopisie petersburskim ich nieco więcéj; i tu myłki kopisty w nazwiskach (*Aureliae*, *Egnatius*), które wydawcę próżnego kłopotu nabawiały. Anian bronił między innymi Łaskich-Korabitów wierszami przeciw wierszowanéj napaści Krzyckiego z powodu łodzi Tomickich: Glarean, słynny humanista, każe w liście do Łaskiego z r. 1529 pozdrawiać „naszego Aniana, młodzieńca rokującego najlepsze nadzieje."

w której niedwuznacznie wyrażał, do czego Aniana gotowano; na pogrzeb sprosił był osobną odezwą wszystkich scholarów witenberskich; obszerny list jego do Łaskiego z wyrazami najgłębszego żalu jest najpiękniejszym pomnikiem Aniana. O nim wyraża się Hozyusz: klientem Łaskiego był niegdyś nasz Anian, którego nam losy przed czasem wydarły.

Lecz nietylko Francuzowi świadczył Łaski wsparcia; zobowiązywał sobie i (sławnego późniéj medyka) Józefa Strusia, który „weszprimskiemu biskupowi" przekłady z greckiego dedykował; daléj ówczesnego notaryusza, Andrzeja Frycza (Modrzewskiego), chociaż oni nie zapełnili mu próżni po zgonie Aniana. Teraz upatrzył on sobie Hozyusza samego i bawiąc umyślnie dlatego w Krakowie, zapraszał go usilnie, aby z nim prace i zajęcia dzielił. Hozyusz zgadzał się najzupełniéj; nic nie odpowiadało lepiéj własnym życzeniom; lecz rodzina oparła się temu stanowczo, aby Hozyusz, już pewny silnéj protekcyi u dworu, zagrzebywał się w Rytwianach z Łaskim, który jak sam dla siebie niczego nie wymagał, tak i drugim niewiele chyba mógł czynić; jéj opór przeważył ku wielkiemu żalowi Hozyusza. W liście do Bonamika (1536 r.) zdaje on sprawę o tych zabiegach; nie może znaleźć dosyć słów, by wysławiać w Łaskim świętość i nieskazitelność kapłana, wiedzę i powagę człowieka; kończy zaś znanym aforyzmem pesymistycznym: widzę i pochwalam co lepsze, lecz idę za tém co gorsze.

Tymczasem przygotowywał się u ks. proboszcza stanowczy przełom. Stary stryj, arcybiskup, na którym partyzanci austryaccy za imprezę wojewody sieradzkiego owém osławioném monitoryum papieskiém do „arcydyabła" się pomścili, zmarł w r. 1531 (w rękopisie petersburskim są elegie słynnego późniéj lekarza, Józefa Strusia, przesłane Łaskiemu z tego powodu, znane i w druku); z nim runęła Janowi najwalniejsza podpora, lecz zarazem i przeszkoda. Wprawdzie król obiecał był stryjowi uroczyście, że biskupstwo synowca nie minie; wymieniano téż imię jego przy wielu wakansach, nawet (?) między kompetytorami o arcybiskupstwo po śmierci Drzewickiego (r. 1535), o czém on sam w liście do nowego arcybiskupa, Krzyckiego, napomykać się zdaje; również jeszcze w r. 1539, gdy poznańska katedra wakowała (jak z spółczesnego listu Hozyusza wynika). Lecz obietnica królewska nie wystarczała; należało samemu stawić się na targowisku Bony i datkami a obietnicami kupić, wyżebrać czy wyłudzić dostojeństwa i dochody, a o tém Łaski ani myślał. Pozostawiał wprawdzie znajomym i przyjaciołom wolną wolę starania się o cośkolwiek dla niego, lecz stale dodawał, że wszelki zawód nie będzie mu niespodzianym lub przykrym, że więcéj niczego nie pragnie, że wahał by się wymienić teraźniejszy tryb życia na in-

ny i przyznawał się otwarcie, że trapiący go niedostatek (z powodu spłacania długów) jest mu miłym pozorem nie stawania u dworu, w stolicach. Długi te były też jedną z głównych przyczyn, że jeszcze w Polsce wytrwał, choć z nią w duchu już zerwał.

Bo oddawna czuł się on tutaj osamotnionym i uczucie to z każdym dniem wzrastało. Było wprawdzie w Polsce wielu, szczególniéj między świeckimi i między młodszém duchowieństwem, np. Trzecieski, Frycz lub Hozyusz, nie mówiąc o lutrze, Jakóbie z Iłży i in., wobec których śmiało wychwalano Melanchtona i jeszcze śmieléj wytykano błędy i zdrożności kleru, a nawet i coś więcéj — lecz miejsca dla reformacyi jeszcze nie było. I Łaski sam wiedział o tém najlepiéj; wspomina on nieraz o głębokim śnie, w jakim dotąd Polska pogrążona; dawniéj cieszył się z tego wobec Erazma: „my tu pokoju zażywamy i staramy się, aby nam Luter i frakcye jego. którym wszystko złe zawdzięczamy, nie bruździli"; w pięć lat późniéj już przyznawał (1533 r.), że choć nie mamy się czego od „ewanielików" obawiać, przecież zarodki poswarków i burz kiełkują, tłumione dotąd powagą króla-patryarchy; lecz myślał raczéj o burzach wewnętrznych, politycznych, nie religijnych. W Polsce wiedziano niebawem o nadzwyczaj pochlebnéj opinii Melanchtona o Łaskim; nie szkodziło mu to, tém bardziéj, że Krzycki sam niemal równocześnie Melanchtona do Polski zwabiał; już 1536 r. szerzono jednak w Krakowie pogłoskę, jakoby Łaski do Witenbergi się udał, a szerzyć ją miał sam poufały domownik Łaskiego, Zbygniew.

Łaski próbował tymczasem poruszyć sumienie jednego i drugiego dostojnika kościoła, ale próby wydały niespodziewane owoce. Skorzystał on z wyniesienia Krzyckiego na arcybiskupstwo, aby w liście z Rytwian z 13 października 1535 r., winszując mu godności, rozwieść się nad obowiązkami arcypasterza i nad oczekiwaniami własnemi. „Inni będą ci gratulować nowych dostatków i wpływów — ty myśl raczéj o tém, że wzniósłszy się na szczyty, uzyskałeś możność najlepszą szerzenia światła prawdziwego słońca naszego (t. j. najczystszéj nauki P. Jezusa)... przez ciebie Chrystus, który dotąd u nas spał i zaledwie przebłyskiwał, przebudzony, rozjaśnieje i rozsławi się... pomagać ci w tém będą tacy biskupi, jak wuj twój (Tomicki)... a jeśli na lud spojrzysz, to on, zbrzydziwszy już sobie owe plotki babskie, jakie mu potąd narzucano, tak gorąco łaknie poznania słowa Bożego, że obawiam się, czy starczy nam pracowników w tém tak wielkiém i już bielejącém się żniwie... nie ludzkie rady, raczéj Boża łaska nam ciebie dała, byś wódz i pasterz, z pochodnią słowa Bożego na prawdziwéj drodze przed nami kroczył; przeczuwał to szatan i wzniecał ci przeszkody, przeciwników,

którzy z owém narzędziem Aleksandra (złotem) do rozprawy się zabierali...

Cóż taki Krzycki o takim liście mógł sądzić, on, który najlepiéj wiedział, komu arcypasterstwo zawdzięczał? O naiwność nie mógł Łaskiego posądzać, więc o złośliwość i ironię go pomówił w krótkiéj, ironicznéj odprawie, która dalszą korespondencyę wywołała; lecz mowa w niéj już nie o rzeczach wiary, tylko o nietrafnych i niesłusznych posądzeniach i o uniewinnianiu się (listy obopólne z 1536 r.). W dwa miesiące późniéj (12 grudnia 1535 r.) podobna się sposobność nadarzyła: o wakujące biskupstwo kamienieckie miał się ubiegać Sebastyan Branicki, lecz wprzód napisał do Łaskiego, czy nie on się o toż samo starać zamyśla, w takim razie ustąpiłby. Łaski go uspokaja, że ubiegać się zwykłym torem o biskupstwo nietylko kamienieckie (ubogie), lecz ani o krakowskie, ani o wszystkie polskie razem nie myśli; niech więc Branicki, wybiwszy sobie z głowy szkrupuły, rzecz swą jak najsilniéj popiera; dziwi go tylko jedno, że Branicki od kłopotów i intryg dworskich życzy sobie wypoczynku na stolicy biskupiéj. Jakto, wypoczynek na stanowisku, gdzie gra idzie nie o sprawy majątkowe ani polityczne, ale o wieczne zbawienie lub potępienie powierzonych dusz? Prawda, my to sobie za bajki poczytujemy, spuszczając się na wikarych, którzy za nas to odprawiają, dla czego nam czasu szkoda—tylko obawiam się, czy kiedyś Pan Bóg nie poczyta naszych wymówek za bajki, czy uzna on owych wikarych, na których dziś wszystko spychamy, co do pieczy duchowéj należy, czy nie z grozą zawoła: was, nie jakichś wikarych, poczyniłem stróżami trzody mojéj, z waszych rąk patrzéć będę krwi jéj...

I Łaski się cieszy, że nic mu innnego, krom ubóstwa, do osiągnięcia biskupstwa nie przeszkadza, w czasach, gdzie ten co grosze uciułał, twierdzić może: zasłużyłem na dobre, to jest bogate biskupstwo. I coraz wyraźniéj zaznacza, że nie myśli zmieniać skromnego trybu życia; w liście do arcybiskupa (z 12 lutego 1536 r.) pisze, że o niczém teraz nie myśli jak o tém, by mógł nadal gdziekolwiek swobody swéj wolniéj zażywać.

Niestety, listem z Łasku z 28 czerwca 1536 rękopis petersburski urywa się. 11 lipca umarł Erazm, którego Łaski listami, upominkami, sumami pieniężnemi od czasu do czasu zasyłał, ceniąc jak najwyżéj każde jego słowo, list czy dzieło, nie zrażając się nigdy niedyskrecyą humanisty, chciwego na grosz, żądającego, by pochwały jego złotem odważano; za ofiarowanie stu złotych na zbiorowe wydanie dzieł Erazma dziękuje mu Froben kornie, 25 grudnia 1536 r. Biblioteka Erazma, po spłacie wszelkich rat, przypadała na Jana, który ją od Amerbacha,

egzekutora testamentu, sam odbierał; kiedy i na jak długo z téj wycieczki wrócił do kraju, nie wiemy. Ostatni ślad jego tutaj widzimy na dniu 21 marca 1538 r., gdy się instalował na świeżo uzyskanéj archidyakonii warszawskiéj, połączonéj z prałaturą w kapitule poznańskiéj; tegoż samego roku, za wiedzą i pozwoleniem króla, opuścił kraj i wyruszył do Niemiec.

III.

Jakież to powody skłoniły go do tego rozpaczliwego kroku? Cóż przeszkadzało mu wykonywać i nadal program, jaki wobec Krzyckiego sobie zakreślił: spożywać spokojnie intraty kościelne; kokietować z protestantyzmem, jak to czynili nieco późniéj biskupi, np. Drohojowski, Leonard Słończewski lub Jakób Uchański; podejmować szczodrze powierników lub protegowanych Filipa Czarnego (Melanchtona, ten mu polecał np. listem z 31 lipca 1535 r. trzech towarzyszów margrabiego-matematyka Kariona, prawnika Franciszka, którym się Anian zachwycał, i poetę, znanego późniéj rektora królewieckiego, Jerzego Sabina); daléj czytywać za indultem papieżkim (choćby przez Tomickiego udzielonym) pisma akatolickie; przedewszystkiém zaś wyczekiwać na uboczu, czy prąd reformacyjny nie ogarnie w końcu i Polski, czy ze śmiercią starego króla nie zmienią się czasy, czy nie wypadnie kiedyś stanąć na czele nowego ruchu? Do takiego wyczekiwania już własne stosunki musiałyby go nakłaniać: nie posiadał przecież majątku, dawno zrzekł się był działów, po ojcu i stryju nań spadających, na korzyść braci, żył więc z beneficyów kościelnych, a samowolnym wyjazdem i pobytem zagranicą narażał się prędzéj czy późniéj na ich pewną utratę.

Do tego, ani Witenberga, ani Genewa, Zurych czy Bazyleja zbyt go nie przyciągały: on był chrześcianinem, nie lutrem, ani zwinglianem, ani kalwinem; zaprzysiągł wiarę Chrystusowi, nie wyznaniu ani ludziom; bronił i wymagał wolności sumienia i przekonań, a tych i tu i tam nie zawsze chętnie uznawano. Więc dlaczegóż to wyrzeczenie się zupełne ojczyzny, rodziny, dobrego mienia i zaszczytów, to puszczanie się na niepewny los, na tułaczkę, na ubóstwo, może i na prześladowanie?

„Wyjdźcie od nich i odłączcie się!” „Wyjdź z niéj, ludzie mój, abyś nie stał się uczestnikiem grzechu jéj!” — „kto raz prawdziwie w duchu swym to rozważył, nie będzie długo utykał pomiędzy tymi, którzy w oczach jego zasługi Chrystusowe stale znieważają”: oto, co pisał w kilka lat późniéj młodemu przyjacielowi, wywołując go z wygód

zacisza klasztornego; toż i nim kierowało w r. 1538. Rozbrat z katolicyzmem „papizmem", był w sumieniu jego dawno, stanowczo dokonany; zgłębianie pisma świętego zaostrzało mu coraz bardziéj ducha na potępienie wszystkiego, co go otaczało, na inne cenienie ludzi i wyznań, których niegdyś nie znosił lub lekceważył; aby wybrnąć z sieci faryzeuszowych, aby módz żyć w duchu Chrystusowym, należało rzucić wszystko, zaprzéć się wszystkiego. I rzucił i zaparł się z łatwością ten, u którego rzeczy wiary i sumienia dawno nad innemi górowały, który o świeckich, politycznych zawikłaniach słyszéć ani radzić nie chciał, pókiśmy nieprzejednani z Bogiem.

Łaski skierował pierwsze kroki, nie wiemy czy samym trafem, czy dla rozgłosu miasta i jego targu książkowego, ku Frankfurtowi nad Menem, już zreformowanemu. Tu zamieszkał u księgarza Hadryana, Niderlandczyka, i poznał innego ziomka jego, młodego Alberta Hardenberga, i polubił go bardzo; Hardenberg ruszał właściwie do Włoch, lecz gorączką w Frankfurcie złożony, plan podróży zmienił i do Moguncyi dla uzyskania stopni teologicznych wyjechał, czego w ciągu następnego roku (1539) dokonał, poczém do ojczyzny powrócił, w nieodstępném towarzystwie Łaskiego, obejmując katedrę na ultrakatolickim fakultecie teologicznym w Lowanium, gdzie rej wodził „sofista" „sykofanta" Latomus (list jego do Melanchtona mamy i w rękopisie petersburskim). Łaski naturalnie fakultetu i wszechnicy, bardzo zresztą kwitnącéj, starannie unikał—i tak już brano za złe Hardenbergowi obcowanie z podejrzanym Polakiem; za to poznał go jeden i drugi z lowańskiéj młodzieży, np. młody hiszpan Enzinas, który, sam późniéj męczennik dla wiary, świadczy, jak głębokie wrażenie polski tułacz na nim wywarł (w pełnym entuzyazmu liście, u Gabbemy).

Zamiast o scholastyków teologów, Łaski w Lowanium ocierał się o koła mieszczańskie, o ich „*conventiculi*"; w poufnych zebraniach po domach i na zamiejskich wycieczkach czytano Pismo Święte w tłómaczeniu, objaśniano i budowano się wzajemnie, odrzucano jeden i drugi artykuł wiary lecz nie zrywano całkowicie z kościołem; przytém wspierano się nawzajem i pocieszano miłosiernie; o głębokości wiary stałość świadczy, z jaką po paru latach wszyscy pod rękami katów hiszpańskich ginęli, na stosie, na szubienicy, lub zakopywani żywcem. Może w jedném z takich kółek Łaski poznał młodą panienkę i z nią się ożenił; rodu i nazwiska jéj nie znamy. Lecz pobyt w Lowanium stał się niebawem niebezpiecznym; prześladowania o wiarę wybuchły, jedną z pierwszych ofiar padł Hardenberg, choć go obywatelstwo lowańskie tym razem jeszcze wyprosiło—wydalono go do klasztoru i spalono mu książki. Łaski więc nie mógł dłużéj tu pozostać; z Niderlandem swobodna,

niezawisła, już po wielkiéj części zreformowana Fryzya (wschodnia) graniczyła; Łaski przeniósł się więc tutaj do głównego jéj miasta, do nadmorskiego Emden. Właśnie umarł był panujący hrabia Enno II (we wrześniu 1540 r.); wdowa jego, Anna z Oldenburga, objęła rządy w imieniu małoletnich synów; i pod jéj rządami kraik pozostał azylem dla wszystkich wygnanych z ojczyzny o wiarę, mimo jawnéj niechęci, z jaką w Brukseli na to patrzano. Tu urodziła się niebawem córeczka, Barbara; r. 1541 odwiedzała z nią matka rodzime Lowanium, gdzie ją wspomniany wyżéj Enzinas witał.

Spokój pobytu w Emden przerywały nietylko napady chorób, jakim Łaski odtąd coraz częściéj podlegał, lecz i wycieczki, z których najdalsza i najdłuższa Jana na pewien czas do ojczyzny napowrót sprowadziła. W Polsce dowiedziano się o ożenieniu Łaskiego w ciągu 1540 roku (może przez usłużliwego Latoma) i odebrano beneficya, na które inni się zainstalowali; Łaski przeciw temu nie protestował, wogóle nie zgłaszał się do nikogo o nic. Nie utrata dochodów spowodowała też podróż do Polski, lecz brat Jarosz.

Pan wojewoda kończył niedługi swój żywot iście tragicznie. Uwięziony podczas ostatniéj, siódméj legacyi do Konstantynopola, uwolniony dopiero po złożeniu przysięgi, że służbę u Ferdynanda na zawsze opuści, skołatany i znękany rozbitek wracał do Polski, aby, styrawszy w wieloletnich obcych usługach zdrowie i siły, zdolności i lata, cześć i majątek, na rodzinnéj ziemi umierać. Czyż Kieżmark spizki, nadany przez Zapolyę a potwierdzony przez Ferdynanda, wszystkie te straty wynagradzał? I teraz jeszcze nosił się z dziwacznemi planami; zamyślał całkowicie przenieść się do Prus książęcych i służyć temu, przed którym Polaków (Krzyckiego) jako przed żmiją, w zanadrzu chowaną, dziesięć lat temu sam przestrzegał. Lecz niebawem siły go opuściły; zaczął rychło gasnąć, najpierw w Kieżmarku, potém w Krakowie, gdzie 22 grudnia 1541 roku umarł. Zgon jego wywołał powszechny żal; upatrywano wielką stratę ojczyzny, widoczny znak gniewu Pańskiego, który w tak niebezpiecznéj (od Turków) chwili najpotrzebniejszych przedwcześnie, niespodzianie odwołuje. Łaski znał przecież najlepiéj słabe strony tureckiéj potęgi; zostawił nawet księgi i plany, gdzie własnoręcznie wykréślił, na jakich miejscach, w jakiéj ilości, w jakim szyku, z jakiemi podstępami na Turków nacierać należy, lecz trzy dni przed śmiercią wysłał to wszystko do Wiednia—nie wiemy, co się z tém stało; w Kieżmarku, u ks. Łobockiego, tylko fragmenta zostały. W ostatnich tygodniach gromadził około siebie znajomych, rozprawiał z nimi o różnych wadach w polskim ustroju państwowym, w wymiarze sprawiedliwości i t. p.; z rozmów tych Frycz Modrzewski, dawny klient Ła-

skich, wziął asumpt do pierwszéj swéj mowy o karze mężobójstwa; jego świadectwo, słowa Janicyusza, nawet obszerny wiersz polski, może pióra samego Reja, który przed kilku laty ogłosiliśmy z rękopisów petersburskich, dowodzą, jak głęboko stratę odczuto.

Przed śmiercią p. wojewoda miał choć tę pociechę, że zobaczył ukochanego brata, który na wezwanie jego ruszył w jesieni z dalekiéj Fryzyi i na Lipsk i Kraków do Kieżmarka zawitał. Z Kieżmarka Jan wrócił potém do Krakowa, gdzie do marca 1542 r. zabawił. Z krakowskim tym pobytem wiąże się najciemniejsza sprawa w życiu Jana, sprawa nie całkiem w pobudkach wyjaśniona, gdyż znamy ją jednostronnie, nie wiemy jak ją Łaski przedstawiał czy uniewinniał.

Z drogi polskiéj, z Lipska 28 września 1541 r., Łaski wystosował był list, pierwszy odgłos do znajomych i przyjaciół od długiego czasu, do Łukasza z Górki, niedawnego wojewody poznańskiego a świeżego biskupa kujawskiego. „Wiesz pewnie, jaki rodzaj życia obrałem; dziwić się temu nie należy, raczéj podziwiać łaskę Bożą, która mnie, zgubioną owieczkę, z niewoli babilońskiéj ku szczęśliwéj wolności ewanielii swojéj wywołała... Nikt nie zaprzeczy, że nadużycia muszą być w kościele, lecz są i takie, które się znajdą tylko w przybytku szatańskim, nie boskim, wprowadzone przez ludzi dumnych, jak szatan, przeciw grozie i powadze słowa Bożego; np. choćby celibat... Z trudem przyszło mi opuścić wszystko i wszystkich, lecz dzięki Bogu, który mi sił dodał, który we mnie, jako w pierwszym z ziomków, łaskę swą objawić raczył, który uznał mnie godnym, aby mnie ogołocono, oplwano, wyszydzono, dla świętego imienia jego." List podpisany: „Jan z Łaska, niegdyś wielu tytułami znaczny, teraz nagi nagiego Ukrzyżowanego sługa."

Na Górkę list ten wywarł chyba takie wrażenie, jakie poprzednie na Krzyckim lub Branickim; Łaski zawiódł się znowu najzupełniéj, chociaż Górkowie, np. syn p. wojewody, niebawem do najgorliwszych forytarzy protestantyzmu należéć mieli. W odpisach list ten okrążył całe duchowieństwo polskie; Hozyusz np. przesłał go Dantyszkowi.

Lecz w kilka miesięcy później, 6 lutego 1542, Łaski złożył w Krakowie na ręce pasterza swego, arcybiskupa i biskupa krakowskiego (Gamrata), pisemne wyznanie wiary, w którém wszystkiego się wyparł!!

„Gdym się dowiedział, że zazdrośni mi ludzie fałszywie mię tu obmówili, uważałem za potrzebne złożyć wyznanie" i t. d.—zapewniał, że z dobrą wolą i wiedzą nie przyjął żadnéj nauki, ani zdania, przeciwnych rzymskiemu kościołowi; jeśli to zaś gdziekolwiek z nieświadomości uczynił, odwołuje to wyraźnie, trzymając się tylko tego, co kościół rzymski wyznaje, któremu, jak i wszelkim przełożonym, *we wszystkiém*

godziwém ślubuje dozgonne posłuszeństwo. Tekst tego zaprzysiężonego na Boga i ewanielię wyznania Hozyusz Dantyszkowi przesłał 31 marca 1542 r.; nas przysięga ta doszła w odpisie archiwum królewieckiego, na którym nagłówek obcego autora brzmi: „tę własnoręcznie wypisaną przysięgę przedstawił Jan z Łaska arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i biskupowi krakowskiemu, gdy wróciwszy z Niemiec twierdził, że się nie ożenił, ani do nauki ewanielickiéj nie przystąpił." Tekst królewiecki nie ma żadnéj daty; Kuyper więc, który go najpierw ogłosił, za nim ks. Korytkowski i Dalton odnoszą tę przysięgę do r. 1526—twierdzą, że wtedy (!!) zarzucano podobne rzeczy Łaskiemu i że wyprzysiągł się ich wobec stryja Łaskiego i Tomickiego; Dalton odnosi „poszepty," o których Jan w liście do stryja z 23 maja 1526 wspomina, do takich właśnie pogłosek.

Przypuszczenia te, oczyszczające Łaskiego z jawnego krzywoprzysięztwa, wręcz niemożliwe. W Królewcu nikogo nie mogło obchodzić, co Łaski w r. 1526 zaprzysięgał czy odprzysięgał; w r. 1526 wracał Łaski nie z Niemiec, lecz z Włoch, nie był jeszcze ani lutrem, ani żonatym, i mógł każdego, co by go o coś podobnego posądzał, sądownie o kalumnię pozywać—wtedy byłyby to nie jakieś „*susurri*" poszepty, lecz niecne kłamstwa, *impudentissima mendacia*. Całkiem co innego w r. 1542, gdy i to wszystko szczerą prawdą było, i w Królewcu Łaskim bardzo się zajmowano.

Tego samego dnia, 6 lutego 1542, Łaski pisze z Krakowa do księcia Albrechta: nie wątpię, że W. Ks. M. zna już mój nowy tryb życia, byłbym o nim już dawno napisał, gdyby nie pewne przyczyny, które wyłoży Decyusz, ponieważ teraz dla słabości obszerniéj pisać nie mogę; on mnie nakłaniał do pisania ku W. Ks. M. jako ku patronowi wszystkich ewanielików: z zapewnieniami gorliwéj chęci służenia podpisuje własną, drżącą od gorączki ręką. Decyusz pisał rzeczywiście do księcia obszernie; listu nie znamy; potém stosunki Łaskiego z księciem przerwały się na dwa lata.

Trzeciego marca 1542 staje Łaski i przed kapitułą krakowską; powołuje się przed nią na wyznanie, złożone przed Gamratem, od którego ani na włos odstąpić nie myśli; użala się, że jego pobyt zagraniczny wywołał takie obmowiska; prosi kapituły, aby go i nadal broniła, tém bardziéj, że musi w sprawach dzieci po bracie (Jaroszu) i aby własne rzeczy pozabierać, do Niemiec na krótki czas wracać, poczém na zawsze w kraju osiędzie, chyba żeby mu nie dopuściły tego nowe krzywdy i obmowy. Kapituła przyjęła te oświadczenia i wróciła mu dawne beneficyum (którego się Łaski dopiero w rok późniéj przez zastępcę nazawsze zrzekł); beneficyów gnieźnieńskich zrzekł się był zupełnie jesz-

cze 7 lutego, pod warunkiem, że obecny ich posiadacz (ks. Naropiński) zrzeknie się ich kiedyś na rzecz synowca (syna Stanisława), wiodącego odnośne pertraktacye.

Oto treść zapisek urzędowych; p. Dalton pyta, czy ich nie sfałszowano, aby rzucić cień na prawość Łaskiego — lecz z fałszerstwa nigdy nikt nie korzystał, ani nawet Hozyusz w najzawziętszéj polemice z Łaskim, choć szczegóły krakowskie dokładnie mógł pamiętać albo wybadać. Dopiero po 340 latach po raz pierwszy je ogłoszono z aktów kapitulnych.

Cel widocznéj komedyi (szczególniéj wobec świeżego listu do Górki), jaką Łaski odegrał, nam niejasny; powróciwszy niebawem do Emden, pisał (12 maja 1542) do Hardenberga, że wygotował sprawozdanie o pertraktacyach z biskupami (w Polsce), że treść ich niepomału jego ubawi („będziesz się śmiał" i t. d.); czuł więc widocznie potrzebę jakiegoś rozjaśnienia téj ciemnéj sprawy, która mu i w Królewcu i we Fryzyi walnie szkodzić mogła. Czy go może umierający brat nakłaniał, aby dla niezrywania z rodzinną ziemią, dla zachowania możliwości powrotu (??) taką (niecną) sztukę wyprawił? Że tu nie szło o dalsze zatrzymanie skromnego dochodu jednego beneficyum, za to całe życie Łaskiego dostatecznie ręczy, mimo to wszelkie pozory za tém świadczą, że się Łaski sprzeniewierzył zasadzie, którą słowami Kalwina głosił i szczerze wyznawał: nic w życiu nie powinno nam być tak drogiém, abyśmy się dla niego jakiémśkolwiek bałwochwalstwem zmazali.

Komedya krakowska, w któréj Łaski chyba wyszydził i wykpił znienawidzony mu „papizm", niczém na dalsze jego losy nie wpłynęła; wrócił do Emden i na powtórne nalegania hrabiny i najznakomitszych mieszczan obcy przybysz, odrzuciwszy miejsce kaznodziei dla małéj wprawy w języku krajowym, objął dozór (eforat) nad kościołami kraiku, pod warunkiem porzucenia urzędu, skoro spostrzeże, że nie dla saméj chwały Bożéj go powołano. Że warunek ten nie był czczą formułą, o tém hrabina niebawem się przekonała. W Emden cierpiano jeszcze franciszkanów, chrzczących, prawiących kazania; po kościołach stały jeszcze obrazy—Łaski wszystkiego zabronił. Apelowano do hrabiny, niepokojonéj i tak od Brukseli i cesarza; ona ustąpiła, lecz Łaski w szczerém a poważném piśmie wytknął jéj to ustępstwo, jako karygodną słabość, i postawił jéj do wyboru, jeśli raczéj za mądrością świata tego niż za wolą Bożą udać się zamierza, niech go oddali: wiem, żem obcy, że mam rodzinę, że trzeba mi stałéj siedziby, staram się téż o łaskę u wszystkich—lecz tylko po kraty ołtarza; tych nie przekroczę, żebym i wszelką przyjaźń miał stracić i rodzinę w największéj nędzy

zostawić! Hrabina przyjęła upomnienie z wdzięcznością: obrazy nocą usunięto, franciszkanom nie pozwolono kazań i obchodów, a gdy z Bru-kseli coraz natarczywiéj domagano się wydalenia *krzywoprzysięzcy* (dla komedyi krakowskiéj?) i wichrzyciela, hrabina go wzywała do spokojnego wytrwania, a szwagrowi, instygującemu na Łaskiego, oświadczyła, że jego rady i spółpracownictwo są jéj niezbędne.

Kościelne stosunki fryzyjskie były dosyć powikłane; w kraiku znachodzili przytułek i wyznawcy sekt nowochrzczeńskich, zwolennicy fanatycznego Dawida Jorrisa, posłańca Bożego, Menonici i inni. Łaski przystąpił do uspokojenia zawichrzeń, grożących od nich; Dawidanom fanatycznym wymówił gościnę, za to spokojnym Menonitom, chociaż w głównych rzeczach wiary odstępowali i starannie wszelkiéj łączności z kościołem (czy katolickim czy reformowanym) się wystrzegali, mimo nakazów i pogróżek cesarskich zapewnił pobyt w Emden, gdzie do dzisiejszego dnia przetrwali; pismo Łaskiego, broniące przeciw cierpkim zarzutom Mennona człowieczeństwa Chrystusowego, poważne, gruntowne, łagodne, wydał w Bonn Herman z Wied, arcybiskup koloński, zwolennik reformacyi; Melanchton bardzo je wychwalał.

Dłuższéj pracy wymagało wewnętrzne urządzenie własnego kościoła, przedewszystkiém poddanie samego duchowieństwa pod ścisłą karność kościelną. Pilnowano jéj na synodzikach, *coetus*, odprawianych dorocznie przez całe lato, gdzie ustalano zgodność wyznania, załatwiano wszelkie skargi, wytaczane na duchownych, i badano kandydatów służby duchownéj. Szczególną uwagę zwracał Łaski na religijne wychowanie młodzieży; przeprowadził (pierwszy w Europie) rodzaj przymusu szkolnego, wypracował (po wielkiéj części) dla gminy i dla młodzieży katechizm większy i mniejszy, który jak najlepiéj przyjęto. Gdy zauważył, że władza zbyt miękko i opieszale jego zabiegi popiera, złożył eforat, zatrzymał tylko kaznodziejstwo; lecz na ogólne prośby podjął się eforatu na nowo (r. 1546). Z kraju wydalał się tylko na krótki czas, do arcybiskupa kolońskiego, by mu na sejm rzeski w Wormacyi towarzyszyć (r. 1545)—zarzucano arcybiskupowi obcowanie ze zbiegiem polskim; czy on zbiegiem, nie wiem, kazał arcybiskup radcom cesarskim odpowiedzieć, wiem tylko, że często i usilnie starano się go do Polski z wielkiemi obietnicami zwabić, lecz on wolał zostać tu w ubóstwie, byle mógł czystą wiarę wyznawać. Stosunki z ks. Albertem nawiązał Łaski ponownie w r. 1544; wobec pośrednika wyraził się książę bardzo łaskawie o nim, życzył, aby mógł i pruskiemu kościołowi służyć, aby się zbyt do Fryzyi nie wiązał; podziwiał, że z jednych rodziców dwaj tak odmienni synowie wyszli: Jan, sama pobożność, i rycerski Stanisław, gardzący wszelką śmiercią. Łaski donosił księciu,

w liście z 22 czerwca 1547 r., o zamierzonéj, ale dla słabego zdrowia odłożonéj podróży do niego, przyczém miał go prosić o wsparcie pieniężne (przy spłacaniu rat za folwarczek Abbingwehr pod Emden, który nabył); udawał się był i do brata Stanisława w tym celu, lecz nowy wojewoda sieradzki nie rozciągał miłości braterskiéj aż do ofiar pieniężnych, zadowolił się wysłaniem listu, polecającego prośbę brata, do księcia; w jesieni wojewoda sieradzki sprawował misyę królewską (z powodu zwołania koncylium i dla grożącego niebezpieczeństwa tureckiego i t. d.) na sejmie czeskim w Augsburgu i udzielał bratu do Emden nowości dyplomatycznych. Z Emden wznowił Jan dawną korespodencyę ze znajomymi w Bazylei i Zurychu, ze staruszkiem Pelikanem, z Glareanem, z Bulingerem i innymi.

I literacko był czynnym; obok wspomnianych pism przeciw Mennonowi i in., wypracował wyciąg z nauki kościoła we wschodniéj Fryzyi, który przed ogłoszeniem w kilku odpisach Melanchtonowi i in. dla przejrzenia posłał; książę Albert otrzymał również egzemplarz i przedłożył swoim teologom (1544 r.), gorliwym luteranom, wietrzącym i potępiającym wszelkie odstępstwo od zasad witenberskich, pojmowanych bardzo ciasno; obszerna ocena młodego profesora teologii, znanego litwina Rapagelana, ulubieńca księcia, wypadła też bardzo niepomyślnie; i inni nie godzili się na szczegóły, więc Łaski dzieła nie ogłosił. Zabierał też głos w nowo przez Lutra wznieconym sporze o sakrament ołtarza, o sposób naszego obcowania w nim z Chrystusem; zarówno katolicka transsubstancyacya, jak i skrajność, uważająca w sakramencie tylko zwierzchnie oznaki, są mu obce; lecz i na luterską konsubstancyacyę (impanacyę) nie godził się, na cielesną obecność Chrystusa w sakramencie; on skłania się ku zdaniu Kalwina i Zwinglego, uznaje obcowanie w duchu i choć go wraz z nimi za to sakramentarzem obzywać i z jedności konfesyi augsburskiéj wykluczać będą, będzie on zawsze twierdził, że różnice w pojmowaniu tego misteryum bynajmniéj nie są tego rodzaju, ani tak ważne, aby się dla nich kościoły refermowane rozdzielać miały; lecz nawoływania jego do zgody przebrzmią bez skutku, a zelanci luterscy wrzaskiem swym zagłuszą wszelkie głosy rozsądku, miłości i zgody, ku największéj szkodzie dzieła reformy.

Z Polski oka nie spuszczał; i w Emden nie oddał się był całkowicie, bez wszelkich zastrzeżeń, raz na zawsze w usługi tamtego kościoła, gotów ruszyć na każde wezwanie królewskie, aby ojczyźnie, która mu przecież nie przypadkiem, lecz od Opatrzności nadana, słowem bożém służył. Pisywał do młodego króla; posiadamy bardzo obszerny list (Lasciana, str. 296—310), z początku r. 1548, w którym, nie wyczekawszy odpowiedzi królewskiéj (na poprzedni), mającéj mu oznajmić

wolę obu króli, ponownie swe służby ofiaruje. Wyraźnie zaznacza, że nie myśli być sługą żadnych koncyliów, ani innych tyranów duszy, lecz tylko sługą Chrystusowym i będzie się im otwarcie sprzeciwiał, gdzie oni z prawéj drogi wybaczają. Od ciebie, królu, nie od nich, pragnę powołania, bo tyś na tronie obraz Chrystusów, tyś i dostojnicy twoi przewodniczący kościoła Chrystusowego; obelgi od owych pocieszają mnie tylko, gdy zowią mnie heretykiem dlatego, żem według nauki Chrystusa i apostołów Bogu wdzięczne życie urządził, odrzuciwszy ich cudzołóstwa i szkortacye; o coś innego bowiem ani w życiu, ani w nauce oskarżać mnie nie mogą.

Lecz powołania nie przychodziły ani z Prus od księcia, ani z Polski od króla; za to zażądano obecności, rady i powagi Łaskiego — w Anglii. Pomimo że Łaski nie dorównywał wielkim reformatorom ani siłą porywającą słowa, ani bystrością argumentowania, ani głębokością wiedzy, zasługi jego, zdolność organizacyjna, powaga, spokój, oględność, niewzruszoność przekonań, otwartość, zjednały mu daleki rozgłos, stawiały „barona” polskiego i obok owych reformatorów. Więc gdy prymas angielski, Kranmer, zwoływał dla ustalenia wyznania Melanchtonów, Bucerów i in., zaprosił i Łaskiego i ponawiał tak długo prośby, aż Łaski, za dozwoleniem hrabiny, w sierpniu 1548 r. do Anglii ruszył; niemal ośm miesięcy gościł u Kranmera i, jak się spółczesny świadek wyraża, wyrwał go silnie za pomocą Bożą z groźnéj letargii; gdy urlop jego się kończył, liczni znajomi usilnie go zatrzymywali, lecz nie dawszy się im skusić, wrócił do Emden.

Dnie tutejszego pobytu były jednak już policzone. Zwycięstwo, odniesione przez cesarskie wojska nad ligą protestancką, zaprowadzony wskutek tego „Interim”, zmuszający protestantów do znacznych ustępstw na rzecz katolicyzmu w nauce i t. d., zawisły w skutkach swych i nad Fryzyą. Nowa liga książąt niemieckich, szukająca oparcia i w Anglii, zawiązywała się przeciw cesarzowi; w politycznéj misyi ruszył i Łaski na Gdańsk, gdzie całe tygodnie spędzał, do Królewca, wyludnianego zarazą a zawichrzanego sporami teologicznemi Osiandra i Lauterwalda; sporów tych Łaski unikał, jak zawsze; za to religijność księcia silnie go pokrzepiała. Naglące listy z Emden zmusiły go do powrotu; cesarz żądał przyjęcia Interimu, wystraszona groźbami hrabina ulegała, lecz pastorowie się sprzeciwiali; gdy im kościoły zamykano, na cmentarzach odprawiali nabożeństwa; odebranie pensyi również nie skutkowało. Stałość ta cieszyła Łaskiego, gromił hrabinę, lecz zarazem oświadczył, że, powołany od całéj gminy, nie złoży téż urzędu, póki go cała gmina nie odpuści.

Gromy cesarskie zwróciły się teraz przeciw niemu; zarzucono mu, że do Anglii i Polski wyjeżdżał dla praktyk anti-cesarskich, że listownie podburza umysły w dziedzicznych krajach cesarskich; obrony jego nie skutkowały, groźby ponawiano tak natarczywie, że hrabina wreszcie poczęła go prosić, aby dobrowolnie kraj opuścił. Gmina mu jednogłośnie dymisyi odmówiła; pozwoliła tylko, aby na czas przed srogością Antyocha-Karola ustąpił, póki go nazad nie powołają; hrabina wystawiła mu najszczytniejsze świadectwo za cały czas kierowania kościołem, za jego wiarę i żywot, pobożność i niestrudzoność; życzyłaby go na zawsze mieć w kraju, lecz dla cesarza musi go odpuścić, gdyż dłuższy pobyt groziłby wielkiém niebezpieczeństwem jemu, rodzinie i całemu krajowi.

Łaski opuścił Emden w październiku 1549 r., udał się na Bremę do Hamburga, gdzie go niebawem listy doszły, wzywające do Anglii napowrót; 13 maja 1550 r. stanął w Londynie. Liczni protestanci napływali tu zewsząd, szczególniéj Niemcy i Holendrzy; nie mieli zorganizowanéj gminy kościelnéj, i niebezpieczeństwo zjawiało się, jak w Emden, że fanatyczni sekciarze ich powoli od wszelkiego kościoła odciągną. Urządzono więc osobną gminę „cudzoziemców", a superintendentem jéj został Łaski; zapewniono im zupełną niezawisłość kościelną; król (Edward VI) potwierdził gminę i jéj wolności, darował obszerny klasztor augustyański z pięknym kościołem i sto funtów rocznie (4 lipca 1550 r.). Nie obeszło się i tym razem bez utarczek; biskup londyński niechętnie znosił autonomię gminy i stawiał przeszkody, gdzie mógł, lecz stałości Łaskiego tém nie zachwiał. Łaski zabrał się raźno do dzieła, wspiérany przéz Holendra, Jana Utenhove [1]), wiernego towarzysza we wszystkich późniejszych przejściach. Każdy, wstępujący do gminy, podpisywał jéj wyznanie wiary, przez co wykluczano sekciarzy i poświadczano przynależność do jedynego, powszechnego kościoła Bożego; pytano o artykuły wiary, kazano przedkładać wątpliwości jakie i obiecywać, że się wytrwa w téj nauce, wyrzeka się świata dla życia chrześciańskiego i poddaje się karności kościelnéj, poczém przyjmowano do gminy i przypuszczano do wieczerzy świętéj. Szczegółów organizacyi kościelnéj, karności, rytuału i t. d. nie myślimy przedstawiać; wyłożył je Łaski w najobszerniejszém swém dziele („Kształt i sposób całkowity służby kościelnéj w kościele cudzoziemskim, ustanowionym w Londynie"); główna waga leżała na karności,

---

[1]) Tegoż brat przyrodni, Karol, należał niegdyś do grona bonońskiego, Aniana, Hozyusza i Konarskiego: „rodem Flamandczyk a duchem Polak", zwie go Anian

któréj tak superintendent, jak każdy inny podlegać musiał; na wciąganiu elementów świeckich, presbyterów (starszych), obok ministrów (księży), do zawiadywania sprawami kościelnemi; na urządzeniu jałmużn, zbiéranych przez dyakonów; próba ogniowa, jaką niebawem gmina przechodziła, wykazała najlepiéj, jakim ją duchem, kornym wobec Pana, a stałym wobec ludzi, Łaski natchnął.

Lecz czynność jego londyńska nie ograniczała się do kierowania gminą cudzoziemską; musiał się on, choć nie bardzo chętnie, podejmować i misyi dyplomatycznych przed królem Edwardem dla ligi książąt protestanckich, czynił to tylko dla dobra kościoła i wiary; zabiérał téż głos w walnych sprawach wewnętrznych samegoż kościoła angielskiego. Wpływ, jaki tu wywarł, i podziśdzień nie zupełnie się zatarł; jemu przypisują, że nauka kościoła angielskiego o sakramencie ołtarza do kalwińskiéj, nie do luterskiéj zbliżona. Jego „krótki a jasny wykład o sakramentach kościoła Chrystusowego" (wydany r. 1552) powstał był właśnie z tygodniowych wykładów biblijnych, jakie Łaski urządzał, i z pytań i wątpliwości, jakie co niedzieli każdy członek gminy przed całą gminą na sąd i odparcie ministrom i presbiterom przedkładał, tak zwane „profecye"; w przedmowie do króla wyraził przekonanie, że kościół rzymski, pokonany przez Lutra, sieje niezgody między wyznawcami reformy, lecz że zewsząd, od kościołów szwajcarskich do fryzyjskich i angielskich, mnożą się usilowania o zjednoczenie tych, którzy mimo drobnych różnic na jednym fundamencie Pisma św. się oparli. Do komisyi, naznaczonéj dla układu prawa kościelnego, wybrano i Łaskiego (r. 1552); radykalniejszy odłam kościoła anglikańskiego, tak zwani nonkonformiści (independenci, purytanie) poszli drogami, jakie i Łaski wytykał, i szkocki kościół, jak każdy prezbiteryański, z jego kierunku wyszedł. Stały antagonizm przeciw wszystkiemu, coby tylko „papizm" przypominało, a więc wojowanie przeciw obrzędom i ubiorom nawet jakie kościół anglikański od rzymskiego odziedziczył,— daléj siedzenie przy przyjmowaniu sakramentu ołtarza,—przedewszystkiém zaś wstręt przeciw „papieskiemu" niewoleniu sumień, które i uczniowie Lutra z taką szkodą dla dzieła reformy praktykowali, co i u nich Łaski „papizmem" nazywał, cechowały jego kroki. Ustępstwa mękkiego Melanchtona na rzecz żądań katolickich (podczas Interimu) po jego myśli nie były: cóż stanie się z tymi, którzy uczyli, że i z narażeniem życia należy to zwalczać, czego teraz nie zwalczają? — pytał z bolesnym wyrzutem. Król sprzyjał Łaskiemu, nadał mu obywatelstwo angielskie (r. 1551), pozwolił dla zdrowia słabego jadać z mięsem w dni postne (1552) i t. d. Lecz świetny rozwój i gminy „cudzoziemskiéj" chylił się już ku końcowi: młody król, protektor jéj, zmarł już

6 lipca 1553 r., a katolicka reakcya, w najsroższéj, najwstrętniejszéj formie, tryumfująca nie słowem, lecz tylko mieczem i stosem, za dni krwawéj furyi, Maryi Tudor, zwróciła się i przeciw gminie. Byli to cudzoziemcy, więc nie chciano ich natychmiast rzucać do więzienia, jak Kranmerów, Hooperów i tylu innych męczenników; za to rozkazano tym „zbójom i sekciarzom" Anglię w ciągu dwudziestu czterech dni opuścić. Ciężko przychodziło to szczególniéj Łaskiemu, zapadającemu od wyjazdu z Polski coraz częściéj na zdrowiu, obarczonemu liczną rodziną, drobną dziatwą — w sierpniu 1552 r. żona zmarła mu była w Londynie; nie mogąc podołać obowiązkom urzędowym i rodzinnym zarazem, ożenił się powtórnie 29 stycznia 1553 r. z Katarzyną, wierną, pobożną towarzyszką życia, jaką i pierwsza żona mu była.

Część gminy z Łaskimi, w liczbie 175, odbili 17 września 1553 r. w dwóch szalupach duńskich od brzegów angielskich; przeprawa była nadzwyczaj uciążliwa, przedsmak wszystkiego, co wygnańców oczekiwało. Łaski liczył na życzliwe przyjęcie u Chrystyana III-go, lecz zawiódł srogo siebie i swoich; naznaczono mu audyencyę na niedzielę, 10 listopada 1553 r., po nabożeństwie, przy którém miał być obecny; nadworny kaznodzieja prawił zaś głównie na temat, że kto przeczy cielesnéj obecności Pańskiéj w sakramencie (a Łaski jéj nigdy nie uznawał), walczy przeciw słowu Bożemu i jest potępionym. Więc król kazał oświadczyć, że przyjmie tułaczów, jeśli się wcielą do konfesyi panującéj; Łaski prosił o rozmowę, dysputę, aby uzasadnił prawowitość wyznania, błagał o dozwolenie przeczekania zimy, proszono o dwa tygodnie, — król nie dał się wzruszyć; nędzarze wsiedli z trudem, w największéj śnieżycy, gdy kry lodowe się zewsząd spychały, śpiewając ulubiony psalm Łaskiego, drugi („Przecz zgrzytało pogaństwo" i t. d.), na trzy szalupy, które ich do Rostoku, Wismaru, Lubeki przewieść miały.

Zima była nadzwyczaj sroga, lecz o wiele sroższymi okazali się ludzie; wszędzie zgotowano wygnańcom dla wiary takie samo przyjęcie, jak w Danii; zażartość predykantów luterskich trapiła wszędzie tych „sakramentarzy", „nowochrzczeńców", „niespokojniczków" (dlatego że się w Anglii za Maryi Tudor nie wysiedzieli!), prześladowała niewinnych i bezbronnych z miasta do miasta, z Lubeki do Hamburga i t. d. Jan Utenhove, opisując te niesłychane przygody—Łaski stwierdził prawdę relacyi — kończy prośbą do pobożnych, „aby nie znienawidzili tych, którzy nas, w naszém utrapieniu prześladowali, aby nie błagali o płomień z nieba, by ich dla odmówionéj gospody pożarł, lecz aby się za nich modlili, niech się upamiętają i uczynią pokutę." Polskie tłómaczenie téj relacyi posiadamy w historyi o srogiém prze-

śladowaniu kościoła bożego, wydanéj przez Cypr. Bazylika, w Brześciu litewskim, r. 1567 [1]).

Nędzarze znaleźli nakoniec upragniony przytułek w litościwéj Fryzyi, dokąd Łaski zaraz jeszcze z Danii był pośpieszył, aby przyjęcie im wyrobić. Wypróbował teraz na własném ciele prawdę przepowiedni Erazma, który mu nieraz w Bazylei powtarzał: jeśli się ci luteranie władzy dobiją, będziemy musieli pod nimi znosić tyraństwo, o wiele cięższe niż papieskie; i protestanci sami oburzali się nieraz na tak nieludzkie obejście. Przyjęcie w Emden wynagrodziło cierpienia; szczególniéj mieszczaństwo ubiegało się w wyświadczaniu miłosierdzia wygnańcom, i z Anglii napływało ich tyle, że małe Emden, „macierzą zbiegów i wygnańców", „gospodą miłośników Bożych" nazywane, niebawem 6,000 przechowywało. Wygnańcy, po największéj części pilni i zdolni rzemieślnicy, tkacze i t. p., wypłacili się znakomicie; dobrobyt miasta i kraiku podniósł się rychło i znacznie, jakby łaska Boża nad niemi spłynęła.

Łaski zajął dawne stanowisko w kościele fryzyjskim, lecz na niém długo już nie wytrwał; skargi królowéj angielskiéj na forytowanie zbiegów angielskich popiérano w Brukseli tak silnie, luterscy pastorowie szkalowali „sakramenciarza" tak wytrwale, że hrabina Anna znowu ustąpiła, przestraszona niebezpieczeństwami, grożącemi niby Fryzyi z powodu Łaskiego. Już w kwietniu 1555 r. opuścił Emden, tym razem na zawsze; zasiłku pieniężnego, jaki hrabina mu tajemnie wręczyć kazała, dumny, nie przyjął, choć innych środków utrzymania nie miał; hrabinę oskarżał o obłudę i nie chciał dotknąć się daru, którymby obłudę pokrywała. Kościół fryzyjski zachował Łaskiemu podziśdzień wdzięczną pamięć.

IV.

Łaski opuszczał Emden tém łatwiéj, im bliżéj przeczuwał chwilę powołania do ojczyzny; na razie jednak skierował swe kroki na Kolo-

---

[1]) Księga liczy 396 kart; Cypryan zestawił tu i przełożył na wezwanie kilku zacnych i pobożnych ludzi trzy dzieła (Anglika Foxa, Henryka Pantaleona i Jana Crispina) w chronologicznym porządku; szczególnie obszernie wyłożył rzeczy angielskie (do wstąpienia na tron Elżbiety) i francuskie (do r. 1563). Na k. 348 poczynają się dzieje „Kościoła cudzoziemskiego w Londynie", jego ustanowienia i rozsypki, z nową dedykacyą do Olbrychta Łaskiego (któremu i całe dzieło poświęcono — Bazylik nie przypuszczał chyba, że dni protestantyzmu Olbrychta były już policzone, że ulegał już wpływom Comendoniego), a w niéj panegiryk Łaskich, dziada, trzech braci, głównie zaś Jana, polskiego Ulissesa duchownego (Jarosza nazwał był Ulissesem polskim Janicyusz). Łaciński oryginał Utenhowiusza (z przedmową Łaskiego, z Kalisza 28 marca 1558 r.) nader rzadki.

nię do Frankfurtu nad Menem, gdzie inni rozbitkowie londyńskiéj gminy przybycia superintendenta z upragnieniem wyczekiwali. Łaski, uznany zarówno od nich jak od rady miejskiéj, stanął na ich czele, przywołał pomocników, lecz i tu luterscy zagorzalcy dalszy rozwój dzieła znowu przerwali. Jeden z najzawziętszych, hamburski Westphal, przestrzegł natychmiast radę frankfurcką przed owymi „męczennikami dyabła”, aby władzą urzędu bluźnierstwa ich odparto, którzy gorsi i zdradliwsi, niż podpalacze i zbójcy, wieczne dobra porywają i ludzi w duchowéj i wiecznéj śmierci zaprzepaszczają. Frankfurccy predykanci nie pozostawali w tyle, oskarżali „cudzoziemców” przed radą, jakoby wyłudzili prawo przytułku, podawając się za członków wyznania augsburskiego, gdy w rzeczywistości do niego nie przynależą. Łaski w imieniu ich odpowiadał w pismach do rady (z 13 maja i 23 września 1556 r.) na te zarzuty, wykazywał zgodność gminy „cudzoziemskiéj” z konfesyą augsburską — rzecz dla niego samego wielkiéj doniosłości, gdyż Zygmunt August żądał od niego, aby się przynależnością do tego wyznania i w Polsce wykazał.

Starania Łaskiego przypadły w najgorszą chwilę. Sam Luter odnowił był w ostatnich latach życia spory o sakrament, które zdawały się zagodzonemi między Melanchtonem a Kalwinem; po jego śmierci fanatyzm zwolenników jego, Flacyusza i innych, wziął górę nad pojednawczością Melanchtona — w oczach zaciętych pastorów, predykantów i teologów Witenberga stawała się kryptokalwińską, t. j. podejrzaną o skłonność ku „sakramentarskiéj” herezyi. Próżne były nawoływania, głównie Łaskiego, aby dla drobnych kontrowersyi nie zrywano jedności, nie potępiano jednomyślących, nie pracowano na rzecz wspólnego wroga, Rzymu: wtedy to stanowczy rozbrat między członkami reformy rozbił i osłabił na całe wieki ich dzieło. Katolicy tryumfowali; sami protestanci dostarczali im teraz broni do zwalczania „sekciarzy”; pisma Westphala przeciw „sakramentarzom” stały się w rękach Hozyusza środkiem, aby chwiejącego się Maksymiliana przy katolicyzmie utrzymał; z pisma brandenburskiego Albera Hozyusz zebrał argumenta dla potępienia Łaskiego; w dedykacyi dzieła swego o kościele cudzoziemskim Łaski przed Zygmuntem Augustem bronił się od zaczepek — nie katolickich, lecz luterskich; w pracy polskiéj przeszkadzał mu luter Wergeryusz (przed którym Kalwin Łaskiego przestrzegał), paraliżując jego starania, czerniąc go zręcznie, uniewinniając potém własną robótkę (list do Ostroroga).

Nie pomogło Łaskiemu, że sam twórca konfesyi augsburskiéj, Melanchton, prawowierność jego uznawał; predykanci w Hamburgu, Frankfurcie i w Sztutgarcie, dokąd na zaproszenie księcia wirtember-

skiego, Krzysztofa, Łaski się udał dla rozmowy (dysputy) z teologiem książęcym, Brencyuszem, wykluczali go stanowczo. Zjazd książąt lub reformatorów, popiérany gorąco przez Łaskiego, dla usunięcia tych poswarek, nie przyszedł do skutku; tylko Kalwin (w innym zamiarze) przybył we wrześniu do Frankfurtu; tu dopiéro obaj mężowie, dawno wymieniający listy i pisma, poznali się osobiście. 21 go października rada miejska wypowiedziała cudzoziemcom gościnność, jeśli od konfesyi augsburskiéj w czémkolwiek odstąpią; tegoż samego dnia wybrał się Łaski w podróż do Polski, dokąd go pilne listy wzywały, z Janem Utenhove, jako towarzyszem; podróż szła na Kassel, gdzie odwiedził i konferował poufnie z landgrafem Filipem; na Witenbergę, gdzie Melanchton radośnie go witał i gościnnie przyjmował; na Wrocław, gdzie witany od rady i mieszczan (np. lekarza Schneydera) napad słabości przeczekał; pierwszego grudnia wyjechał stamtąd i stanął niebawem na polskiéj ziemi, bawiąc naprzemiany w Balicach i na Rabsztynie, witany od krewnych, Jana Bonara, Stanisława Myszkowskiego, trzech Ostrorogów i in.

Protestanci polscy wyczekiwali przybycia jego, jak zbawienia: i w Polsce należało powtórzyć, co Łaski z takim skutkiem we Fryzyi i w Londynie był dokonał, uchwycić silną dłonią za ster, przeprowadzić organizacyę kościelną, zmusić niesfornych do uległości lub do wystąpienia, zapewnić szczególniéj małopolskiemu kościołowi swobodę, jakiéj się sam był pozbawił, wkraczając w zanadto ścisłe związki z braćmi czeskimi. Powtarzała się więc sytuacya, w jakiéj Łaski już dwukrotnie zdolności swe organizacyjne wypróbował; lecz z nią i tragiczność, ciążąca nad Łaskimi. Łaski wracał do ojczyzny, zahartowany w boju, nieugięty, cieszący się niemal z przeciwności, jakiemi Pan drogę jego zasiewał; lecz słuszny i silny mężczyzna, o poważnéj a łagodnéj twarzy, ze spokojnym a głębokim wzrokiem, o długiéj, srebrnéj brodzie, wyczerpał się już fizycznie zupełnie; skomplikowane choroby przetrawiły mu ciało i tylko niezłomna siła woli podniecała gasnący już ogień; jak niegdyś ukochany brat Jarosz, tak i on wrócił do ojczyzny, sterawszy siły w zapasach na obcéj ziemi, po to tylko, aby popracowawszy jeszcze trzy lata, nad siły niemal walcząc z wszelakiemi dolegliwościami, z nieprzyjaciołmi niebezpiecznymi i zawziętymi na zewnątrz i wewnątrz, odumrzéć nakoniec niedokonanego dzieła.

Protestantyzm małopolski, zająwszy szybkim płomieniem głowy kilkunastu księży i mnichów, kilkudziesięciu szlachty i kilkuset mieszczan krakowskich (między nimi wielu Włochów), skłaniał się, jak litewski pod wpływem Radziwiłłów (przeciw dawniejszym wpływom lutra Kieżgajły), ku kalwinizmowi, kiedy wielkopolski (poznański)

i pruski (gdański, toruński) od Królewca i Frankfurtu luterskim pozostawał. Przy braku, ba, przy niemożliwości bezpośrednich stosunków z Genewą (listy Kalwina albo Bulingera do Tarnowskiego i in. nie mogły ich przecież zastąpić) małopolscy protestanci, pozostawieni samym sobie, szukali koniecznego punktu oparcia, wzoru, modły w jakimśkolwiek zreformowanym kościele; „bracia" (t. j. świeccy, szlachta — w przeciwstawieniu do sług słowa Bożego ministrów) skorzystali ze zjawienia się Braci Czeskich w Wielkopolsce, aby z ich kościołem i wyznaniem łączność pozyskać; na synodzie w Koźminku (1555 r.) przyszło rzeczywiście do całkowitego „paktu unii", potwierdzonego spólném przyjęciem sakramentu ołtarza, przez małopolskich „braci" Lasockiego i Filipowskiego i „ministrów" Krucygiera, Lutomirskiego, Krowickiego i Witrelina. Obopólna harmonia długo nie przetrwała; małopolanom ciężyła zawisłość od obcych, od Braci Czeskich, których prostotę apostolską, wielką karność, budujące życie w gminie, unikanie światowości chętnie podziwiano i za wzór stawiano, mniéj chętnie naśladowano, których dogmatyczne stanowisko a nawet i obrzędy (dla saméj niewybredności wyrażeń) raziły; Bracia Czescy znowu podejrzywali niebawem (i słusznie) małopolan, że paktu ściśléj dochowywać nie myślą, prosili o rozwiązanie umowy.

Chwiejność małopolskiego zboru, wcale nie zorganizowanego należycie, występowała na jaw coraz widoczniéj; gorszące fakta świadczyły jaskrawo przeciw niemu. Panowie, np. Oleśnicki w Pińczowie lub Stadnicki w Dubiecku, zabiérali czyli rabowali poprostu dobra kościelne na własne trwonienie; ministrowie sarkali przeciw takiemu rozbojowi — po cichu; wśród zborowych zjawiali się kacerze, np. taki Piotr z Goniądza na synodzie secymińskim 21 stycznia 1556 r., wznawiający „aryaństwo" i „serwecyaństwo"; taki Stankar, którego nazwisko już od r. 1554 osobliwszéj reputacyi nie zażywało. Wobec takich objawów potrzeba wielkiéj powagi, przed którąby się wszyscy korzyli, stawała się z dnia na dzień więcéj naglącą – cóż dopiéro, jeśliby miało przyjść do narodowego koncylium, do energicznéj propagandy na zewnątrz, do pozyskania króla może: z czémby się to przed królem, przed nuncyuszem, przed biskupami stanęło, z przybłędą Liżmaninem (którego niebawem znowu z Niemiec zwabiono, bez właściwego pożytku i celu), czy z dobrodusznym a miękkim Krucygierem?

O sławnym ziomku mówiono więc coraz częściéj od r. 1552; gdy w r. 1556 o soborze narodowym rozprawiano, wzywano nań obok Kalwina i Melanchtona „naszego ziomka". Oddawna śledził Łaski z wytężoną uwagą, co się w ojczyźnie gotowało; dzieło o kościele cudzoziemskim poświęcił królowi; tegoż roku (31 grudnia 1555 r.) dodruko-

wał do dzieła trzy listy, ku królowi, senatowi (najobszerniejszy) i szlachcie i po Polsce rozesłał. Króla napominał, by czynił zadosyć świętemu obowiązkowi i nie dawał się papieżnikom od szerzenia prawdziwéj wiary odstraszać; przed senatem zbijał oskarżenia, jakie katolicy na protestantów (dla ich wzajemnéj niezgody i t. p.) wnosili; szlachtę skarcił, albo raczéj przestrzegł, aby nie każdy z nich wedle własnéj głowy kościół sobie urządzał, żeby zbyt wielu nowości ani wprowadzali, ani raz wprowadzonych zbyt łatwo nie odmieniali, co tylko gorszyć może; żeby zaś przy obchodzie wieczerzy pańskiéj, jak przy jakim bankiecie, zapijać się mieli, w têm widział (i słusznie) tylko wymysł papieżników.

Mnożyły się stale listy z kraju, naglące do powrotu, i Łaski wreszcie usłuchał, chociaż nie przyszedł ten list, na który najwięcéj liczył — królewski. Zadowolił się têm, co król Radziwiłłowi oświadczył: nie nakażę Łaskiemu powrotu, aby nie powiedziano, że to ja go wywołał, lecz mu go i nie bronię, aby się nie zdawało, że go potępiam. Tak więc przybył Łaski do kraju; czekały go tu osobliwsze stosunki; nie było tu gołéj tablicy, na któréj byle co wykréślać można, należało się liczyć z istniejącym porządkiem.

Przedewszystkiém wiara tu nie była ani miejską, ani wiejską, jak w Niemczech lub w Londynie, lecz szlachecką i magnacką wyłącznie. Reformacya nie mogła się opiérać w Polsce na masach, nieoświeconych, przywiązanych ślepo do tradycyi, wyznających w pokorze ducha obrzędowość zewnętrzną, lecz tylko o warstwy szlacheckie, politycznie samoistne, wykształcone, ruchliwe: w Polsce reformacya musiała więc zstępować z góry na dół, należało zyskać i utwierdzać dla niéj najpierw króla, książąt, senat świecki, posłów, braci szlachtę — samo pole operacyjne było tu więc zupełnie odmienne. Daléj szlachta małopolska i litewska ani na chwilę nie zamierzała steru spraw kościelnych wyłącznie duchowieństwu powierzać, jak to miało miejsce w kościele rzymskim, luterskim (z panującym, jako głową kościoła) i u Braci Czeskich: zdawało się jéj, że takim sposobem zamieniłaby tylko jedno jarzmo na drugie, księży ministrami by zastąpiła. Dlatego to nęcił ją silnie kościół Kalwina i ustrój tegoż prezbiteryalny, gdzie obok duchownych i świeckich seniorów (prezbiterów) dla rządzenia kościołem obierano, ustrój iście republikański, jakby stworzony, nietylko dla takiéj Genewy, lecz również i dla szlachty polskiéj; zasadę polityczną: *nil de nobis sine nobis*, przenosiła ta szlachta i na kościół. Têm samém dzieliła się od lutrów i od Braci Czeskich; od ostatnich dzieliły ją też ich celibat i nauka o sakramencie ołtarza; wszędzie tutaj stała ta szlachta i jéj ministrowie na stanowisku samego Łaskiego.

Właśnie obradował senior jednoty czeskiéj, Jerzy Izrael, z Krucygierem i innymi ministrami, w Chrzczęcicach u Jarosza Filipowskiego, gdy ich Filipowski o pobycie Łaskiego w bliskim Rabsztynie (w grudniu 1556 r.) uwiadomił i natychmiast do odwiedzenia go nakłonił; Izrael ociągał się, lecz również poszedł. Przywitał ich Łaski gorąco, cieszył się ze związku z Waldeńczykami (jak Braci Czeskich zwano), lecz zaraz wskazał, co w wyznaniu ich zmienić należy; główną wagę kładł na zgodę i jedność ministrów, przedstawiał trudności przywrócenia kościoła do trybu apostolskiego. Izrael milczał umyślnie, bo widział, że Łaskim powodować nie można, jak byle jakim ministrem małopolskim.

Powrót Łaskiego wywołał największe niezadowolenie w Rzymie, u nuncynsza i u biskupów; przed królem posypały się skargi na „kata katolicyzmu", na „heretyka, Mahometyka", żądania wydalenia nowatora, zagrażającego podwalinom państwowym; skargi zbijali Radziwiłł ustnie, Łaski listownie, obszernie i poważnie, w tonie wielkiego namaszczenia; odpowiedź króla była, jak zawsze, dwuznaczna: masz wolny pobyt, ale nie rozsiewaj nowinek, aby cię nie wydalono. Wobec takiéj rezolucyi królewskiéj należało ująć się silniejszych środków, osobiście wpłynąć na króla, więc już 23 lutego 1557 r. ruszył Łaski za królem do Wilna, przybył tu 17 marca i zabawił do kwietnia; dobijał się audyencyi u królowéj, wobec któréj zresztą nie występował w roli reformatora, i u króla, mieszkał zaś w domu Radziwiłłowskim, podejmywany bardzo hojnie i obdarowany przez ks. wojewodę; tu miewał kazania po polsku i po łacinie, bijąc w stary kościół, pełen błędów, zabawiający lud samemi plotkami. Wilno roiło się wtedy od różnowierców, którzy też Łaskiemu przy wjeździe „nader szczytne przyjęcie" sprawili; katolicy przycichli, spowiednik królowéj, u dworu, czuł się całkiem odosobnionym. Do filarów katolicyzmu wójt miasta, Rotundus (niegdyś przyjaciel Janicyusza), należał; na dysputy, dla najrozmaitszych zajęć, czasu właściwie nie miał, ale przygodnie ściérał się z „kacerzami", z Łaskim i Wergerem; przed Hozyuszem chwali się, jakoby Łaskiego pytaniami do takiéj matni wpędził, że musiał mu, ku największemu niesmakowi obecnych z jego sekty, dwie rzeczy przyznać: kościół Rzymski jest naszą prawdziwą matką, któréj winniśmy cześć i uszanowanie; Pismo święte nie wyraża wszystkiego, co do naszego zbawienia potrzebne. Pierwsze Łaski z pewném zastrzeżeniem mógł rzeczywiście przyznać; protestanci nie stawiali przecież żadnego nowego, nigdy przedtém nie istniejącego kościoła, jak nowochrzceńcy np., wracali tylko przez reformę do pierwotnego, choćby rzymskiego, kościoła, „uwolnionego od jarzma papieskiego", jak sam Łaski w owéj

rozmowie z Rotundem się wyraził, — co do drugiego punktu, wątpię, czy Rotundus rzecz dobrze ujął; luter Werger zresztą okazywał się zaciętszym, niż kalwin Łaski. W Wilnie Łaski wszedł w (pobieżny) stosunek z siedmiu czerńcami moskiewskimi, z Kosym (?), Ignacym i Artemiuszem, który późniéj Budnego i propagandę „luterską" między prawosławnymi odpiérał: wtedy Łaski uznał ich, choćby dla sakramentu pod obiema postaciami, braćmi i dowiedział się o większéj liczbie spółwyznawców, w Moskwie bądź uwięzionych („siedmdziesięciu bojarów!"), bądź kryjących się (około pięciuset!) „braci".

Celu podróży wileńskiéj, stanowczego wpłynięcia na króla-dojutrka, Łaski nie osiągnął ani teraz, ani późniéj kiedykolwiek. 19 marca był na audyencyi z Utenhovem, miał obszerną przemowę po polsku (?), wysławiając czasy nadchodzącéj prawéj wiary, któréj spółdziałać go powołano; król podał obóm rękę i oświadczył, że powrót Łaskiego go cieszy. 22-go marca odpowiadał podkanclerzy Przerębski Łaskiemu z urzędu, że król nie zna innéj wiary prócz téj, jaką od sześciu wieków kraj jednozgodnie wyznaje; że nikt nie ma prawa prócz króla powoływać kogokolwiek dla jakiéjś naprawy wiary. Łaski odpowiedział krótko, bo król wskazał mu był przez Radziwiłła, żeby ks. podkanclerzemu nie dawał ansy do dalszych wywodów, że na prywatnéj audyencyi będzie się mógł swobodnie wynurzyć. Wahania te obruszyły Łaskiego; wygotował pismo, w którém wypominał królowi chrześciańskie obowiązki, walkę z „bałwochwalstwem", przestrzegał przed machinacyami biskupiemi i radził przygotowania w téj rzeczy przed następnym sejmem; pismo to wręczył królowi na owéj prywatnéj audyencyi (po dwóch dniach) i zgromił go zarazem, że się wyparł Chrystusa. Król wysłuchał wyrzutów spokojnie, zapewniał, że po ukończeniu wojny inflanckiéj o sprawach tych pomyśli, obiecywał mu opiekę przeciw potwarzom i napaściom, uważając go (niegdyś sekretarza Zygmuntowskiego) nadal za swojego sługę, dozwolił odprawiania nabożeństw i schadzek, lecz tylko w celach religijnych. Większych ustępstw Łaski nigdy już nie uzyskał: niebawem całkiem inny wiatr zawiał, edyktem z 8 lipca 1557 r. (*de non turbanda religione*) król zabronił mu tegoż w Wodzisławiu, co mu w Wilnie pod własnym bokiem był dozwolił: po tym królu nie mieli się protestanci czego spodziéwać; rozczarowanie, zniechęcenie przebija téż jawnie z ich listów ówczesnych.

I nie lepiéj powiodło się w Królewcu, dokąd Łaski 1557 r., dla przedłużenia pobytu wileńskiego, już nie mógł zdążyć; wybrał się do księcia w marcu 1558 r., aby z teologami jego pracować nad usuwaniem przeszkód, tamujących rozwój reformy w Polsce. Wylicza je w memoryale, jaki zamierzał wystosować do księcia: katolicy zarzu-

cali, głównie przed królem, wewnętrzne niesnaski i nienawiści między protestantami, nawet w samych zasadach wiary, tak że kto się do jednych przyłączy, nietylko Rzym, lecz i inni protestanci sami go potępią; że w kościołach ich panuje największe zamieszanie; że godzą nawet na sam majestat królewski. Należało więc wypracować wyznanie wiary, któreby wszyscy przyjęli, z pomijaniem kwestyi spornych lub całkiem ogólnikowém ich określeniem; gdyby i w Królewcu je aprobowano, była nadzieja, że i Bracia Czescy się przychylą i luteranie wielkopolscy; w tym celu pisał Łaski nawet do Melanchtona, z Konina 23-go marca 1558 r., aby wpłynął listownie na Stanisława Ostroroga, głowę luteran wielkopolskich; odwiedzał téż swego krewnego. Wszystko daremnie, istna praca Syzyfa; 14 kwietnia 1558 r. odbył Łaski dysputę z królewczanami, twardo obstającymi przy cyrografie luterskim; próżno upominał ich pisemnie dnia następnego, że stoi na gruncie augsburskiego wyznania, że wobec spólnego fundamentu wiary godzi się połączyć ręce w braterskiéj miłości. Było widoczném, że należy pracę ograniczyć do zboru małopolskiego.

Zbór ten, który jeszcze w Pińczowie w kwietniu 1556 r. jednogłośnie Łaskiego z Niemiec przyzywał, powitał go był uroczyście w Iwanowicach 1 stycznia 1557 r.: Łaski składał przed nim dzięki Bogu, że mu do ojczyzny powrócić i kościół Chrystusów obaczyć dozwolił; obecni wtórowali tym dziękom. Powierzono mu natychmiast unię z Braćmi Czeskimi, ich pisma wyznaniowe, aby je przejrzał, ocenił i poprawił; posiadamy rzeczywiście jego krytyczne uwagi do artykułów konfesyi czeskiéj (*Lasciana*, str. 78 — 82). Nawet naznaczenie czasu, miejsca i osób dla przyszłego synodu generalnego pozostawiono Łaskiemu do woli; upominając seniorów do zgody i miłości, które jedynie najwięcéj ważą w budowaniu kościoła, ostrzegał przeciw częstym przenosinom ministrów, nie dopuszczającym prawdziwego węzła jedności i miłości między nimi a gminą.

Czuć odtąd przez całe trzy lata silną dłoń Łaskiego w zborze małopolskim, który ze swego rozluźnienia, z trwożliwego szukania punktów oparcia na zewnątrz tak się otrząsnął, że niebawem zwrócił ogólną uwagę, zaczął działać przyciągająco na zbory litewskie, nawet do Prus i Inflant wpływy rozciągał. Choć Łaski nie jest na zborze obecnym, choć przesiaduje w Dębianach lub rozjeżdża po kraju, wszystko się o niego opiéra; co „ojciec" rozstrzygnie, przyjmuje się bezwarunkowo; rzeczy zawiesza się do jego decyzyi; chyba upominają go, aby jak najrychléj, ile czas i zdrowie mu pozwolą, z ministrami się zszedł (synod pełcznicki 12 maja 1557 r.); w następnych synodach brał stale udział; pińczowski w sierpniu na trzy dni posiedzenia zawie-

sił, czekając polepszenia jego zdrowia. Wobec Braci Czeskich warował sobie i swoim wolność sumienia; wytykał, szczególniéj na synodzie pińczowskim we wrześniu 1557 r., liczne ustawy i obrzędy czeskie, na które się zgadzać nie myślał (np. aby „ministrowie" nie z kościoła, lecz z pracy rąk swoich utrzymania patrzyli, ich celibat, kształt ołtarzy, odprawiania sakramentu ołtarza, spowiedź cicha, inne urządzenia i zwyczaje), chociaż sam związek z nimi wysoko cenił; sprawę tłómaczenia biblii na język polski gorąco popiérał (Utenhove wspomina raz, w liście z 18 lutego 1557 r., że Łaski poprawia nowy testament polski i dzieli artykuły jego wedle flandryjskiego tekstu); o założenie majątku kościelnego dla uposażenia szkół, wdów i rodzin po ministrach i t. d. pilnie się starał. Gdy Hieronim Ossoliński zapytał, czy wolno „chrześcianinowi" być obecnym przy „papieskich" ceremoniach, Łaski stanowczo zaprzeczył, dla własnego sumienia i dla uniknięcia zgorszenia nie należy być uczestnikiém stołu Pańskiego i „dyabelskiego" (porów. fraszkę J. Kochanowskiego, p. t. „Na heretyki") [1]). Na synodzie pińczowskim z 13 marca 1559 r. udzielał nietylko wiadomości o pertraktacyach z królem (oskarżającym panów, że rabują dochody i dobra kościelne, i zaniepokojonym rozprawami synodowemi, co do których go Łaski uspokoił), lecz i o wyzwaniu na dysputę przez biskupa i podkanclerzego Padniewskiego, co ministrowie z radością przyjęli i zaraz „konfesyę" Hozyusza między siebie rozebrali, lecz do dysputy nie przyszło.

Z Hozyuszem zmierzył się właśnie Łaski w szermierce literackiéj. W wydanéj r. 1558 nauce „o wyraźném słowie Bożém" wspomniał był Hozyusz na kilku miejscach tylko pobieżnie Łaskiego i „Łaskanów", dzieląc lub łącząc ich z kalwinami; lecz niebawem przesłał do Polski wyciąg z pisma Erazma Albera (superintendenta brandenburskiego), gdzie potępiono dwadzieścia trzy artykuły Łaskiego, aby wykazać, co sami protestanci o Łaskim sądzą. Alber działał ze złą wiarą, podsuwał Łaskiemu rzeczy, których ten nigdy lub nie w tém znaczeniu twierdził, przekręcał i fałszował jego słowa; wszystko to Hozyusz z tryumfem powtarzał. Odpowiedział na to Łaski w dziełku, poświęconém Tarnowskiemu: najpierw zwalczał artykuły Albera, potém podstawy nauki Hozyusza o wyraźném „albo raczéj zatłumioném" słowie Bożém. Pierwsza część nie przedstawiała trudności; Alber np. twierdził, iż „Łaski uczy, że Chrystus jest wszędzie obecny, więc i w piekle,

---

[1]) Te i inne szczegóły czérpiemy ze współczesnych aktów synodalnych, z których już prof. Lubowicz w swéj cennéj „Historyi reformacyi polskiéj" korzystał; teraz wydał je całkowicie Dalton (*Lasciana*, str. 367—566).

więc dyabli nie mogą być potępieni" — w rzeczywistości zaś Łaski twierdził, że nie z jego, lecz z (katolickiéj i) luterskiéj nauki o „*ubiquitas*" i „*immensitas corporis Christi*" (potrzebnéj dla transsubstancyacyi i consubstancyacyi) możnaby coś podobnego wywnioskować. Albo, wedle Albera, Łaski miał powiedzieć, że „jeśli my pożywamy ciało Chrystusowe, więc i Marya pożywała ciało własnego syna, tak jak kotki i świnie nieraz własne młode pożerają" — tymczasem tak obrzydłe słowa i myśli nigdy Łaskiemu ani przez głowę nie przeszły. I oburzał się Łaski, że Hozyusz takie „przegniłe kłamstwa" za Alberem powtarzał; wypomina mu dawną przyjaźń i odpowiada w bardzo ostrym tonie, począwszy od samego epigrafu (Boże cię poraż, pobielana ściano!), nazywa go stale Caligulą (tłómacząc nazwisko Hose), świętym ojczulkiem. Obszerniéj traktuje następne punkta, z dziełka Hozyusza samego wzięte, o normie Kościoła, o miłości i t. d. Odpowiedź Hozyusza, nie mniéj stanowcza, chociaż w wyrazach oględniejsza, wyszła dopiéro po śmierci kardynała, w zbiorowém wydaniu dzieł jego (na czele drugiego tomu): nie wspomina w niéj Hozyusz ani jedném słówkiem o owych wyciągach z Albera — czyżby one nie były jego pióra? albo raczéj, czy nie uznał milcząco, że Łaski je słusznie jako kłamstwa i potwarze odrzucił? Hozyusz śledzi za Łaskim zdanie za zdaniem i nicuje je po swojemu.

Rozprawiał się wtedy Łaski i z drugim lutrem, Westphalem — zbijając i omawiając każde zdanie jego paskwiluszów, wykazując, że nie oddala się od ducha wyznania augsburskiego; lecz praca ta wyszła dopiéro po jego śmierci. Ważniejszą, niż ta polemika teologiczna, niż korespondencya, jaką utrzymywał, ile mu stan zdrowia pozwalał, z Kalwinem, Bulingerem i in., była czynność jego zborowa.

Najważniejszym ze wszystkich synodów był wodzisławski, od 4 do 15 września trwający (*Lasciana*, str. 451—470), dla masy poruszanych i rozstrzyganych spraw. Nazwisko Łaskiego nie występuje w ciągu samych rozpraw, gdyż protokulant streszczał je, nie wymieniając mówców, ale czuć wszędzie jego ducha. Nie wyliczamy tu środków, podawanych dla popiérania sprawy Bożéj, ustanowień, tyczących porządku i sposobu obrad, wymagań ministrów od patronów; wymieniamy kilka pytań, dręczących ówczesne sumienia, stawianych ze strony „braci", a rozstrzyganych przez (ministrów i) Łaskiego. Jak należy postępować z poddanymi, których chciwi obciążają we wszelki sposób? Napomniano szlachtę ku łaskawości i sprawiedliwości, gdyż to nasi bracia, mają z nami spólnego ojca w niebiesiech; panowie obiecali też, że odtąd poddani ich będą z łanu dwa dni w tygodniu, z półłanku jeden dzień odrabiać. Jak odpiérać gwałt, skoro Chrystus uczy:

nie odpłacajcie złego złém, lecz zwalczajcie złe dobrém? Odpowiedziano: jeśli gwałt skierowany przeciw rzeczy, np. własności ziemskiéj, to sprawa należy do urzędu, broniącego niewinnych, a karzącego winnych; jeśli zaś skierowany przeciw osobie lub życiu, to reguła każe gwałt gwałtem odbijać (mamy się bowiem wystrzegać zabobonu nowochrzczeńskiego, który i kąsającego psa uderzyć nie każe), lecz wszystko z dobrém sumieniem, skromnością i miłością przyjmować.

Czy płacić dziesięcinę „papistom", t. j. pasibrzuchom i fałszywym prorokom? Nie płacić, gdyż nie mamy podpiérać bałwochwalstwa, lecz ponieważ to jest zarazem sprawą polityczną, prawami warowaną, więc przez posłów sejmowych protestować się o to przed królem, a jeśli król przy dziesięcinach dla „papistów" obstawać będzie, składać je w jego ręce, niech na własne sumienie bałwochwalstwo i próżniactwo popiéra. Jak mają postępować patronowie kościelni? Mają parochów swych napominać, aby przyjęli prawą wiarę i nie szalili ludźmi — jeśli nie usłuchają, należy ich oddalić i zastąpić wiernymi służebnikami Chrystusa. Co czynić ze służbą „papieskiego zabobonu"? Napominać, a w końcu wstrzymywać (od niego) pod karą i nie (brak tego słowa w protokule!) dawać potraw wedle ich woli, szczególniéj jeśli niemi brakują (dla postu). Czy „wierny" wyda córkę swoją za „niewiernego"? Nie ciągnijcie jarzma wraz z niewiernymi, bo cóż za zgoda między Chrystusem a Belialem? nie żeńcie więc z nimi synów, ani wydawajcie córek, pomnijcie na Salomona, zwyciężonego przez kobiéty — cóż dopiéro my słabi!

Powtarzamy, duch Łaskiego przebija z każdéj z tych rezolucyi: nieufność i nienawiść ku wszystkiemu co „papieskie"; trzeźwość, usuwająca wszędzie wszelkie mrzonki anabaptystów; poczucie sprawiedliwości i miłości ku słabszym. Lecz nietylko te i podobne sprawy zajmowały uwagę zborową, należało po raz pierwszy (a odtąd coraz częściéj aż do ostatecznego rozbicia zboru) stawać w obronie wiary czystéj śród własnego grona. Na synodzie i podlascy ministrowie, Hieronim Piekarski, Walenty Brzozowski i Jan Sokołowski zjawili się; ostatniego superintendent bialski, Szymon Zacyusz, oskarżył, że wyznaje błędy Aryusza, Serweta, Piotra z Goniądza; Sokołowski wyparł się błędów, pojednał z obu ministrami podlaskimi i wszyscy trzéj musieli podpisać krótkie wyznanie wiary. Na 7-go września 1559 r. zwołano znowu ogólny synod do Pińczowa na potępienie nestoryańskiéj nauki Stankara (o pośrednictwie Chrystusa wyłącznie wedle natury ludzkiéj); Łaski zagaił posiedzenie obszerną przemową, potępił bluźnierstwo, lecz kazał się wstrzymywać od publicznéj dysputy ze Stankarem, gdyż ją tylko za pozwoleniem królewskiém odbywać wolno. Już dwudziestego wrze-

śnia zebrali się sami seniorowie (bez szlachty, Łaski bawił w Dębianach), aby poprzéć rychłe wydanie wyznania o pośredniku (przez Łaskiego wraz z Lizmaninem), aby zagrozić Grzegorzowi Orsacyuszowi, bakałarzowi szkoły pińczowskiéj, zwolennikowi Stankara, ekskomuniką publiczną i aby odebrać od Piotra Statoryusza wyznanie wiary; p. Remigian Chełmski bowiem oskarżał go o niewzywanie Ducha św., o nieuznawanie Trójcy św. Materyę Stankara i Orsacyusza odłożono do nowego synodu pińczowskiego na 13 stycznia 1560 r., lecz synodu tego Łaski już nie dożył. 29 stycznia odbył się nowy synod w dzień pogrzebu Łaskiego, o czém w protokułach czytamy (w dosłowném tłómaczeniu):

„Czcigodny i sławny mąż, Jan z Łaska, mąż Boży i ozdoba ojczyzny naszéj, porzucił był za objawieniem Bożém bezbożny papizm i bałwochwalskie jego kapłaństwa; poczém wędrował po wielu ziemiach, aby mógł w zborze pobożnych wysławiać Boga Ojca w synu J. Chr. przez Ducha św. Gdy zaś doszedł sędziwości, nie tyle latami, co trudami dla kościoła Bożego, przybył z Anglii do Polski, skoro dosłyszał, że się w ojczyźnie światło nauki ewanielskiéj wznieca, aby wedle sił postęp chwały Bożéj popiérać, i urząd ten przed królem i panami dzielnie sprawował; wreszcie w trzy lata po powrocie do ojczyzny przeszedł szczęśliwie w Panu od śmierci do żywota i oddał duszę Bogu swemu 8 stycznia 1560 r.; pogrzéb zwłok zaś obchodzono 29 stycznia. Grób położono w farze Pińczowskiéj; umarł w 61 roku życia; pochowany jest, gdzie był wielki ołtarz (p. Dalton w Pińczowie nie mógł już znaléść śladu grobu). Ty zaś, ojcze najłaskawszy, z twego niezmiernego miłosierdzia wróć ojczyźnie naszéj za jednego Łaskiego stu takich mężów, coby królestwo twe w ojczyźnie naszéj ojcowską i ojczystą miłością popiérali, Amen." Następują nazwy obecnych ministrów (między nimi tacy, którzy niebawem dzieło Łaskiego rozrywać mieli, Grzegorz Pauli, Krowicki, Statoryusz, Siekierzyński i inni) i szlachty, Bonera, Oleśnickiego, Szafrańca, Smolika, Lasockiego, Filipowskiego i in.

„Pogrzéb Jana Łaskiego odprawiano uroczyście śród powszechnego żalu w ten sposób: po odprowadzeniu zwłok, uczynił Jakób Sylwiusz polską przemowę; nastąpiły dwie mowy łacińskie, w których wyłożono wszelkie pobożne czyny żywotu jego dla pocieszenia kościoła. Pierwszą mowę wygłosił Stanisław Sarnicki, senior i pastor niedźwiedzki; drugą Piotr z Thonville, rodem Francuz, mistrz szkoły Pińczowskiéj. Trzecią, polską mowę miał Feliks Krucygier, superintendent. Po odprawieniu tego wszystkiego pochowano zwłoki z czcią i dziękczynieniem."

(30 stycznia). „Grzegorz Orsacyusz, zwolennik herezyi nestoryańskiéj, martwe ciało Łaskiego swym wymysłem potwarzał, mówiąc jakoby usta czyli wargi zmarłego się zlepiły czy zrosły; przeświadczono go świadectwem mężów pobożnych, lecz ön pytany osobiście, czy twierdzi te wymysły, wypiérał się, mówiąc: nie dziw, gdyby coś podobnego nawet i zaszło, gdyż na rysach tych, co wiele po morzach podróżowali, słabość „czorman" (łacińska, pomylona nazwa szkorbutu) nawet po śmierci się wyraża (dla spróchnienia zębów usta się zawiérają). Lecz aby bezwstydne kłamstwo jego wszystkim się ujawniło, przed złożeniem zwłok w grobie, odsłonięciem ciała pokazano wszystkim usta i całe ciało, aby dowiedziono, jak zmyślone są zaczepki, któremi kacerze pobożnych mężów nagabują."

Mowa pogrzebowa Francuza Piotra (Statoryusza, późniéj Stoińskiego), wydrukowana w Pińczowie 1560 r. (u Daniela Łęczyckiego), dochowała się do dni naszych; również inna łacińska, Fryzyjczyka Silwiusza — obie poświęcone Lizmaninowi, co sam dla słabości mowy pogrzebowéj, którą głównie jemu wyznaczano, miéć nie mógł; obok Łaskiego zażywał bowiem on w zborze największéj powagi, chociaż nic dodatniego nie wniósł.

Już w lutym 1559 r. pisał był Piotr Statoryusz do Genewy: „nasi osłabieli — wyjmuję tylko najcelniejszego, Łaskiego — nie można być gorliwszym niźli on. Lecz cóż może on jeden sprawić, walczący bezprzestannie ze śmiercią a równocześnie z nieprzyjaciółmi Chrystusowymi? Jemu i całemu polskiemu kościołowi gwoli boleję ciężko nad jego okropnemi cierpieniami. A przecież musimy się chętnie poddać konieczności, jaką na nas niebiosa wkładają." W grudniu 1559 roku pisał księgarz Sebastyan Pech, powiernik Łaskiego, że Łaski przez całe lato ciężko chorował, nie wierzył nawet, żeby jeszcze żył. Gdy na Łaskiego nalegano, aby się oszczędzał, odpowiadał, parodyując znaną maksymę (*vivere non est necesse, sed navigare necesse est*): Nie tego potrzeba, żebym żył, lecz tego, żebym kościołowi służył; mnie Chrystus nie powołał dla pokoju i wesołości, lecz dla pracy i utrapienia; w tém moje życie—wiedziéć, że służę Panu i zborowi. Płaczących prosił, aby nie nad nim, lecz nad kościołem się żalili; przed Oleśnickim, stojącym nad jego łożem, ubolewał nad opłakanym stanem kościoła, nad grożącemi w jego łonie zawichrzeniami. W ostatnich chwilach wzywał Boga po niemiecku — przywykł był do tego języka od pierwszéj i drugiéj żony — *Mein Herr und mein Gott* parę razy jeszcze zawołał; skonał nad wieczorem 8 stycznia.

Zostawił wdowę i (z obu małżeństw) dziewięcioro dzieci: majątku nie było; co posiadał, podzielił był jeszcze w Frankfurcie nad Menem

na połowę między żonę a dzieci w testamencie spisanym po niemiecku. Ministrowie udali się na owym synodzie do panów z prośbą o wsparcie dla pozostałych; złożono 289 złotych i 2 grosze i wręczono dr. Lizmaninowi dla wdowy i dzieci; w r. 1564 z Pińczowa (gdzie dziś jeszcze pokazują dom, w którym Łaski mieszkał) podała wdowa prośbę do księcia Albrechta o zapomogę, powołując się na przyjaźń między księciem a zmarłym mężem; rodzina Łaskich nie troszczyła się o potomstwo Jana. Za to na synodzie pogrzebowym „poprosił p. Stanisław Szafraniec z Secymina, aby syna (Jana Łaskiego), Samuela, jemu oddano; przyrzekł, że będzie się o niego starał w wiernem i uczciwem wychowaniu, jak o własnego syna, i też prawa i miłość jemu świadczyć będzie.” Pan Szafraniec dotrzymał słowa; Samuel Łaski wyszedł na mężnego rotmistrza i dworzanina; widzimy go za Zygmunta III-go w służbie królewskiéj, w Szwecyi, w Gdańsku. Najstarsza córka, Barbara, wyszła ośmnastoletnia 8 lipca 1558 r. za ministra Małéj Kazimierzy, Stanisława Lutomirskiego, ze znanego rodu, niedawnego sekretarza królewskiego, proboszcza konińskiego i kanonika przemyskiego, wówczas czterdziestoletniego mężczyznę, co już od 1546 r., jak sam w konfesyi wyznaje, owieczki swe wiary prawdziwéj nauczał; i on połączył się późniéj z antitrynitarzami, jak większość ministrów. Barbarę wyposażał Radziwiłł; druga córka wyszła za bachmistrza wielickiego, Jana Morsztyna. Trzech synów: Jana, Hieronima, Tomasza przywieziono z Emden po śmierci ojca do Pińczowa; dalszych ich losów nie znamy.

Co ze śmiercią Łaskiego w zborze ubyło, dowiódł choćby synod, tegoż roku (1560) w Książu od 13 — 19 września odprawiony, najliczniejszy — 50 ministrów i 80 szlachty brało w nim udział — ale i najburzliwszy, gdzie się omal do szabel nie porwano. Wystąpili na nim świeccy z żądaniem zupełnego wykluczenia ministrów ze senioratu: oni dążą do władzy, wołali Jarosz Ossoliński, Myszkowski i in., chcą nad nami panować, jak niegdyś papież z biskupami, chociaż biédnym, ogołoconym ze wszystkiego ministrom „panowanie” i na myśl nie przychodziło; samowolnie podzieliła szlachta Małopolskę na dystrykta i ustanowiła w każdym świeckich seniorów. Jarosz Ossoliński nakazywał nawet ministrom ścisłe milczenie wobec jawnéj herezyi Stankara, póki kościoły szwajcarskie sporów nie rozstrzygną — wszystko objawy dezorganizacyi, niemożliwéj za życia Łaskiego.

Jeszcze za jego żywota kościołek ewanielicki nie szczególnie kwitnął; Anglik Burcher np., bawiący w Małopolsce 1558 r., twierdził, że tylko jeden kościół (pińczowski) widział wolnym od „superstycyi” papieskich, zresztą, czy w Krakowie czy w Wilnie, nabożeństwo od-

prawiano tylko po domach prywatnych. Na sejmie piotrkowskim 1559 roku, gdy Marcin Krowicki miewał kazania i nabożeństwa, król przez Trzebuchowskiego je zakazał i zakazy ponawiał; ani Krowicki, ani „waldeńczyk" (Brat Czeski) Jan Rokita na zakaz nie zważali, lecz sam jego fakt daje świadectwo o prawnėm położeniu zboru. Miał więc Łaski wszelkie przyczyny uskarżać się na opłakany stan kościołka — cóż dopiéro, gdyby był przewidział, jak rychło wzniecą się w nim najgroźniejsze spory dogmatyczne, zatamowane słowem i mieczem w Genewie i Zurychu, wybuchające jawnym płomieniem w niesfornéj Polsce szlacheckiéj? Spory te zakończyły się w pięć lat najzupełniejszém rozbiciem zboru na dwa wrogie sobie odłamy, ewanielicki i aryański, które się nigdy już potém nie zespoliły; był to najsroższy cios, zadany reformacyi polskiéj, skierowany przeciw własnemu łonu.

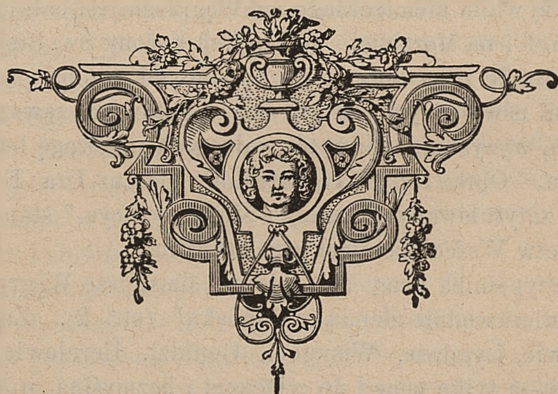
Lecz posiew Łaskiego zeszedł: konsens (ugoda) sandomierski, zawarty w dziesięć lat po jego śmierci pomiędzy trzema konfesyami (kalwińską, luterską, czeską), — to jakby ziszczenie najgorętszych jego pragnień. Całe życie walczył on o to, żeby wobec spólnego wroga zapomniéć o różnicach i różniczkach dogmatycznych, pracować w miłości i zgodzie, stawać w jednym szeregu: nie darmo też na polskiéj ziemi dokonano tego dobrowolnie, co gdzieindziéj aż w XIX-ym wieku, aż pod naciskiem z góry przeprowadzono. I Łaski byłby aryan z konsensu sandomierskiego stanowczo wykluczył, lecz nie byłby dopuścił, żeby ta ugoda tak rychło raczéj na papiérze, niż w sercach i głowach istniała.

Protestantyzm przedostał się do Polski dopiéro wtedy, gdy się już zagranicą, we własnéj ojczyźnie, wysilił, pierwszy impet stracił, na wrogie sobie obozy rozdzielił; w Polsce liczba tych obozów i nienawiść ich wzajemna tylko się zwiększały. Przed rokiem 1550 protestantyzm w Polsce wcale się nie szerzył; takiemu Łaskiemu więc nie pozostawało wtedy nic innego, jak rzucić dla wiary ojczyznę. Po r. 1550, wobec zwartéj (choć z początku całkiem bezczynnéj) masy katolickiéj, rozbity i rozdarty protestantyzm nie miał w Polsce również widoków powodzenia, lecz wobec możliwości pracy należało się jéj podjąć i nie cofnął się przed nią Łaski, ale on sam przybył już wysilony, choć nieugięty, i prędko resztki sił i życia tu strawił („zdechł", pisał o nim Orzechowski, niegodny mu i rzemienia u nóg jego rozwiązać; ten sam, co go nie tak dawno jeszcze podziwiał). Zbyt krótko więc działał Łaski dla protestantyzmu polskiego, nie zdołał przelać weń własnego ducha, nie wytknął mu torów niezmiennych, lecz i z tego, co w przeciągu tylko trzech lat, walcząc ciągle z chorobą, przeprowadzał, łatwo poznać, jak

byłby na „kościołek” wpłynął i co byłby w nim osiągnął: z jego śmiercią runął najpotężniejszy filar wątłéj zresztą budowy.

Postać Łaskiego rozdwaja się niemal: dostojnik kościoła polskiego, rzuca urzędy i ojczyznę, aby na niwie Pańskiéj pracować we Fryzyi i w Londynie: tę czynność zagraniczną, która mu powszechne uznanie i hołdy europejskie zjednała, przedstawiliśmy jak najogólniéj; krótko przed śmiercią te same usługi ojczyźnie poświęca: tu staraliśmy się o nieco obszerniejszy wykład. Nie wyczerpaliśmy więc wszystkiego, co o reformatorze powiedzieć można; należałoby się dlatego zapuszczać w rzeczy nadto oddalone i obce. Lecz i z tego, co przytoczyliśmy, wynika jasno, że jeżeli w dziejach reformacyi wspominają i o Polsce, o mężach jéj odznaczających się charakterem i wiedzą, sercem i myślą, trafnością instynktu i stałością woli, to zawdzięczamy to przedewszystkiém Janowi Łaskiemu, zapomnianemu rychło u nas, a wspominanemu tém rzewniéj i ciepléj na obczyźnie.

A. Brückner.



NIEMCY O NIEMCACH.[1)]

VI.

Stanowisko żywiołu niemieckiego na Węgrzech jest całkiem inne, niż w Czechach i na Morawie. W krajach korony Św. Stefana, Niemcy czują się istotnie zagrożonymi, pozbawianymi zwolna praw i przywilejów wiekami uświęconych, oko w oko z gotowym zawsze do walki madyaryzmem, wyzyskującym w téj walce swą przewagę bez najmniejszego skrupułu. Obraz téj walki, skréślony piórem Dra F. Guntrama Schultheiss'a, zatytułowany „Niemcy i Madyaryzacya," stanowi 9-ty zeszyt wydawnictw Wszechniemieckiego związku.

Autor przypomina nam, że „kiedyś dzisiejsze Węgry przez całe stulecia były niezawodnie ziemią germańską" (str. 2). Zajmowali je kolejno Burowie, Lygowie, Wisygoci, Gepidzi, Herulowie, Ostrogoci i Longobardzi—a tylko popęd do włóczęgi i bezmyślna polityka wzajemnego wytępiania się plemion germańskich oddały kraj nad średnim Dunajem Awarom i Słowianom. W kraju tym jednak pozostały resztki Kwadów, Wandalów i Gepidów.

Karol Wielki zniszczył państwo Awarów. Panonię włączono do dyecezyi Salzburskiéj. W IX wieku książęta Słowiańscy wchodzą w stosunki lenne z państwem Franków.

---

*) Patrz „Ateneum" za maj r. b., str. 185.

W 862 r. zjawia się „dziki i rozbójniczy lud" Madyarów — pokrewny Ostyakom i Wogułom z nad Uralu, z „tłumami obcego hultajstwa, wyrzutkami i mętami różnych plemion",—zajmuje Węgry, — łupi Niemców, i dopiero pobity przez Ottona Wielkiego nad Lechem w 955 roku, uczy się od ujarzmionych Słowian rolnictwa. Już Stefan W., który wprowadził chrystyanizm i właściwie założył państwo węgierskie, ożenił się z Gizelą ks. bawarską i zaczął sprowadzać Niemców. Odtąd kolonizacya niemiecka szła ciągle bez ustanku przez cały szereg wieków. Za Gejzy II kolonizowano kraj całemi okolicami: w téj epoce przybyli Niemcy na Spiż i do Siedmiogrodu, a w r. 1222 Niemcy w Radnie mają już swego „hrabiego". Spustoszenia wywołane najazdem Mongołów (1240—1242) wzmocniły napływ Niemców. Miasta węgierskie stały się siedzibą germanizmu (Buda i Peszt były prawie wyłącznie niemieckie) zawiązywały między sobą konfederacye; liga 24 miast Spiża, zawiązana w 1248 r., dostała przywilej w 1291 i prawo obioru hrabiego. Miasta siedmiogrodzkte, „*Universitas Saxonum*", otrzymały przywilej autonomiczny jeszcze w 1224 r., a król Maciéj (w 1486 r.) uznał ten przywilej za zasadniczy dla wszystkich wolnych osad saskich królestwa. Rozrost germanizmu na Węgrzech był tak silny, że Eneasz Sylwiusz, podróżując po Europie w połowie XV w. mógł uważać Dunaj i Ren nie za rzeki stanowiące granice Germanii, ale za rzeki płynące w krajach niemieckich (str. 1). Czasy Ludwika Andegaweńskiego (1342—1382) były punktem kulminacyjnym powodzenia germanizmu na Węgrzech. Rota przysięgi, jaką w 1458 r. składały miasta węgierskie Maciejowi Korwinowi spisana była w języku niemieckim. Ludność niemiecka stanowiła prawdopodobnie $^1/_6$ całéj ludności Węgier (16,66%) a $^1/_4$ ludności węgierskiéj (25%) [1].

Już jednak w połowie XV w. zauważono wciskanie się żywiołów madyarskich i słowiańskich do miast węgierskich. W 1438 r. w Budzie narzucono mieszczanom sędziego nie Niemca. W Koszycach, w 1529 żywioły nie niemieckie wzięły przewagę i Niemców do wysiedlenia się zmusiły. W Szczawnicy Węgierskiéj (Schemnitz) na prośbę magistratu, w 1554, przyjęto „dożywotnio" do cechu szewckiego Słowianina. W 1605 r. skarży się szlachta madyarska, że Niemcy nie pozwalają jéj kupować domów w miastach. Dynastya habsburgska nie umiała bronić interesów niemieckich: od 1608 sędziowie miejscy są naprzemian Madyarzy, Niemcy, Czesi i Słowacy, bez względu na wyznanie i narodowość.

---

[1]) Na pozostałe elementa: słowiańskie, rumuński etc. wypada z tego rachunku 16,33%.

Straszne klęski poniósł germanizm w wojnach tureckich, ale jeszcze cięższe straty zadała mu w XVII w. reakcya katolicka. Prześladowano razem niemieckość i reformacyę. Miasta przez Turków zburzone zaludniały się Serbami. Po odebraniu Turkom Buda-Pesztu, osadzano tam Niemców katolików, — i cała ludność niemiecka wynosiła w połowie XVII w. ledwie 400000 głów. Większa część rzemiosł i całe górnictwo były w rękach niemieckich. Dopiero za Maryi Teresy i Józefa II kolonizacya niemiecka na Węgrzech odżyła. Od 1762 do 1776 osiedlono 25000 głów; Józef II sprowadził około 41000 Niemców, a za przykładem panującego szli magnaci węgierscy i sprowadzali kolonistów z Niemiec. W 1842 r. liczono już 1262000, a w 1851 — 1 763000 Niemców na Węgrzech.

Najnowsza statystyka Węgier wykazywała (str. 11):

	1880 r.	1890 r.	Przyrost w % za lat 10.
Madyarów	6403687	7356874	14,95
Rumunów	2403035	2589066	7,71
Słowaków	1855442	1896641	2,15
Rusinów	353226	379782	7,46
Serbów	631995	494847	7,32
Kroatów		183429	
Innych narodowości	210000	240000	7,25
Razem	11857385	13140639	
Niemców	1869877	1988589	6,29
Razem	13727262	15129228	

Łącząc elementy słowiańskie w jedną summę, otrzymujemy na rok 1890 następujące procentowe stosunki plemienne:

Madyarów	7356874	t. j.	48,9%
Słowian	2954699	„	19,5%
Rumunów	2589066	„	17 %
Niemców	1988589	„	13 %
Innych narodowości	240000	„	1.6%
Razem	15129228	t. j.	100. %

Madyary nie stanowią zatem na Węgrzech nawet $^1/_2$ całej ludności,—Niemcy stanowią niecałą $^1/_6$. Przyrost ludności zaś wykazany na poprzedniéj tablicy nie jest przyrostem naturalnym, ale przyrostem politycznym, obejmującym w sobie i rezultaty dobrowolnéj czy niedobrowolnéj zmiany narodowości. Za to, gdyby wierzyć p. Schultheissowi,

ludność słowiańska i rumuńska wzrosły od połowy XVII w. do 1890 r. z 13,3 do 36,5% — bez napływu z zewnątrz i bez przymusowego „nawracania.”

Nie od rzeczy może będzie w tém miejscu porównać te stosunki narodowościowe na Węgrzech ze stosunkami narodowościowemi na na wschodniéj granicy Niemiec — w tak zwanéin przez Niemców „pograniczu wschodniém” (Ostmark), t. j. w Prusach Wschodnich i Zachodnich, w W. Ks. Poznańskiém i na Szlązku. Odnośne cyfry czerpiemy z tego samego źródła, a mianowicie z broszury p. Christiana Petzet'a „Die preussischen Ostmarken,” wydanéj przez tenże sam Wszechniemiecki związek parę miesięcy temu. Według danych p. Petzet'a w 1890 r. było ludności:

	używającéj jako rodzinnego języka					
	Niemieckiego	Niemieckiego i innego drugiego	Polskiego (polski, mazurski i kaszubski)	Różnych słowiańskich (czeski, serbołużycki etc.)	Litewskiego	Ogółem mieszkańców
w W. Ks. Poznańskiém	692172	10185	1048124	1093	68	1751642
w Prusach Zachodnich	929980	19137	483949	452	163	1433581
Razem w krajach przyłączonych do Prus 1772 — 1795	1622152	29322	1532073	1545	231	3185223
na Szlązku Górnym (Okrąg Opolski)	566523	33810	918735	375	50	1557731
Razem	2188675	63132	2450808	1920	281	4742954
w Prusach Wschodnich	1496451	29469	316166	1663	114914	1968663
w pozostałych okręgach szlązkich (okręgi Wrocławski i Lignicki)	3657935	14235	54851	95492	67	266727
Razem na pograniczu wschodniém	7343061	86836	2821825	99081	125262	9378344
			3.046 168.			

Cyfry te wykazują, że ludność słowiańska na całém t. z. wschodniém pograniczu Prus, łącznie z Litwinami, stanowi prawie $^1/_3$ ludności tych prowincyi, jest więc $2^1/_2$ razy liczniejszą niż żywioł niemiecki w Węgrzech,—jeśli zaś wziąć pod uwagę tylko kraje przyłączone do

Prus w latach 1772—95 i Szlązk Górny, to w okręgach tych ludność polska stanowi więcéj niż 50% ludności ogólnéj t. j. procentowo więcéj niż ludność madyarska na Węgrzech.

Madyarsko-mongolska ludność Węgier, zdaniem p. Schultheissa, zawdzięcza swoje obecne położenie polityczne klęskom Austryi, nie zaś własnéj pracy, —i wyraża się w duchu narodowéj jednostronności — obcéj średniowiecznemu państwu Madyarów, które strzegło zasady, wyłożonéj w testamencie Św. Stefana „że Państwo jednego języka i jednego obyczaju jest bezsilne i łatwe do złamania." — W nowém państwie węgierskiém odżył duch „rasy turańskiéj" i dziś mniejszość madyarska dąży wszelkiemi siłami do wytępienia odrębności narodowéj wszystkich plemion nie-madyarskich. Jeszcze w 1843 r. hr. Szechenyi publicznie, w Akademii Węgierskiéj nauk wyraził zdanie, „że Madyar w kwestyach narodowościowych łatwo traci rozwagę i poczucie sprawiedliwości," a jeszcze w 1858 r. Mocsary przypominał Węgrom, że „parlament nie powinien być używany za narzędzie rozszerzania madyaryzmu;"—ale duch narodowéj nietolerancyi, którego wyrazicielem najgwałtowniejszym był w swoim czasie Kossuth — odżył po klęskach Austryi w 1859 i 1866 i tém silniejsze dawał znaki życia, im bardziéj niezależném stawało się stanowisko korony węgierskiéj w Austryi.

W pierwszych latach odnowienia konstytucyi węgierskiéj zapędy patryotów madyarskich tchnęły jeszcze duchem narodowościowéj tolerancyi. Koloman Tisza w sejmie 1861 r. twierdził, że „Węgrzy chcą, aby, jak w ich kraju niema żadnego uprzywilejowanego stanu, tak samo nie było téż żadnéj uprzywilejowanéj narodowości, a co w prawach téj równości się sprzeciwia, to zniesione będzie." Trefort — późniejszy minister oświaty (22 Maja 1861 r.) streszczał program rządu węgierskiego w następujących wyrazach: „Idea wszechpotęgi państwowéj jest obecnie w znacznéj części źródłem zawikłań politycznych w Europie; z idei téj zrodziło się przekonanie, że zarząd kraju winien się mieszać do wszystkiego, winien owładnąć całym człowiekiem w dniu jego urodzin i trzymać go w swéj władzy aż do grobu. Apostołowie téj nauki prowadzili doświadczenia w koronie Św. Stefana bez litości (mówca ma tu na myśli Niemców) i trudno jest rozstrzygnąć, czy w operacyach tych przeważał brak poczucia prawa i moralności, czy też niezręczność polityczna. Co się tyczy narodowości, żyjących w granicach Węgier, to mówca nie chce ich narodowego rozwoju wstrzymywać, bo ucisk narodowości zarówno nie daje się pogodzić z konstytucyą, jak też jest bezcelowym i złym. W krajach, gdzie ludność jest mieszana, nie mogą się nigdy wytworzyć państwa na podstawie narodowościowych punktów widzenia; Serbowie, Rumuni, Niemcy, Słowacy, Rusini

mogą swoje sprawy gminne w swoim języku załatwiać, a w szkołach tego języka używać, jaki im się spodoba. Chcemy rozwój wewnętrzny narodowości szanować tak samo jak religię, do któréj mieszać się rząd nie ma prawa" (str. 15 i 16).

W tym téż duchu zredagowany był przez Deaka adres do cesarza, w którym powiedziano: „nie zapomnimy, że mieszkańcy Węgier niemadyarskiego języka są zarówno obywatelami Węgier, jak i Madyarzy; szczerze zabezpieczymy im prawem wszystko to, czego ich interes wymaga" (str. 16).

P. Schultheiss nie ma dość uznania dla tego programu — rozumié się, o ile chodzi o Niemców na Węgrzech, lecz z rozpaczą spostrzega, że program ten nie przeszkodził Węgrom zmadyaryzować 16 gimnazyów niemieckich na Węgrzech — i widzi, że jedną z przyczyn, która tę madyaryzacyę przyśpieszyła były Königgrätz i Sadowa. „Polityczne przekonania Węgrów — mówi p. Schultheiss — są prawdziwie wschodniéj prostoty. Do panowania w Węgrzech są powołani tylko Madyarzy; odpowiada to w zupełności pojęciom Turków, którzy sądzą, że siłą zwycięstwa są narodem panującym, a wszyscy inni mieszkańcy kraju: rajami, poddanemi" (str. 16). W psychologii ludów Madyarowie są dla autora zjawiskiem wyjątkowém; sądzą oni, „że jest ich za mało dla spełnienia „wymarzonego zadania historycznego". Stąd ich wiara „w jedynie zbawczy język państwowy, którego znajomość uzdalnia do wszystkich urzędów". Nawet Turcy są liberalniejsi od Węgrów, bo rajom zostawiają religię i język bez ograniczeń (str. 17).

VII.

Nie możemy, idąc za autorem, pisać tu historyi powodzeń Prus w Europie i równoległych z niemi klęsk germanizmu na Węgrzech, usuwania niemczyzny ze szkół i urzędów. Już w r. 1872 do municypalności Buda-Pesztu wprowadzono język węgierski, a przyjście do władzy w r. 1875 ministeryum Kolomana Tiszy — rozwiązało ręce zwolennikom madyaryzacyi. W r. 1890 w parlamencie węgierskim przyznano się wyraźnie do zamiaru przerobienia Węgier na państwo o charakterze narodowym i cieszono się z wielkiego wzrostu madyaryzmu. Wbrew zasadniczym prawom zawarowanym konstytucyą, upoważniono prezesów sądu do wprowadzenia do procedury wyłącznego użycia języka węgierskiego; nawet napisy na drogach żelaznych zaprowadzono wyłącznie węgierskie. Zdecydowano, „że ludność ma się zastosować do urzędników, którzy tylko po madyarsku mówią i dla własnéj wygody o język ludności nie dbają" (str. 19). Znaną jest historya *memorandum*

Rumunów, podanego cesarzowi austryackiemu, którego autorom wytoczono proces. Nie będziemy téż wchodzili w tajniki prawa wyborczego węgierskiego, które, jak zresztą zdaje się wszystkie w Austryi prawa wyborcze, obliczone jest z góry na zapewnienie przewagi pewnym żywiołom i klasom. Zaznaczymy tylko, że ilość szkół ludowych niemieckich spadła od r. 1872 do r. 1880—z 1,810 do 867 i że podług p. Schultheissa zmniejszenie się szkół słowackich i rumuńskich wolniejszym idzie krokiem.

Nietylko kościół katolicki, zdaniem p. Schultheissa, nie sprzyja Niemcom, — zadziwia go jeszcze więcéj to, że i kościół protestancki ulega prądom madyaryzacyi. W r. 1882 zbór ewangielicki okręgu Cissy zdecydował: że nie sprzyjający madyaryzacyi duchowni nie mogą urzędów kościelnych sprawować (str. 31). Przy téj okazyi autor upewnia, że pierwsze kroki madyaryzacyi były zrobione w pierwszéj połowie bieżącego wieku pod pozorem „tępienia panslawizmu" śród Słowaków, a pierwszemi gimnazyami, które padły ofiarą madyaryzacyi, były gimnazya słowackie w Turczańskim St. Martinie i Rewucy (Rauchenbach). Autor zapewnia, że panslawizm Słowaków nie miał w sobie żadnéj politycznéj cechy, a miał na celu jedynie rozwój języka słowackiego w kościele, gminie i szkole. Tu stawiał swe pierwsze kroki do dalszéj karyery Grünwald, vice-żupan komitatu soleckiego, zmadyaryzowany Niemiec, który, odznaczywszy się wytępieniem „panslawizmu ze Słowaków, został deputowanym na sejm węgierski i obecnie w prasie rozwija tę zasadniczą teoryę, że na Węgrzech szkoła średnia powinna być „wielką maszyną, w którą z jednéj strony wpuszcza się setki słowackich chłopców, a z drugiéj — wylatują madyarscy młodzieńcy". P. Grünwald, zaprawiwszy się na Słowakach dziś ku zgorszeniu p. Schultheissa, praktykuje swą teoryę na Niemcach. W dążeniu do madyaryzacyi ludu rząd w środkach nie przebiéra: pracuje nawet nad madyaryzowaniem dzieci w ochronkach: od każdéj ochroniarki wymaga znajomości języka madyarskiego, — ostatecznym zaś celem jest zupełnie upaństwowienie szkoły. Zaprowadzenie jednolitego systemu nauczania w całym kraju uznał krajowy kongres nauczycielski za gwałtowną potrzebę kraju (str. 27).

W dążeniu swojém do madyaryzacyi dopomagają rządowi „Związki Cywilizacyi" (*Kulturvereiny*), którym początek dało miasto Szarosz w r. 1881. Mają one na celu rozszerzanie języka madyarskiego w szkole ludowéj, popieranie przedstawień teatralnych madyarskich, rozszerzanie prowadzenia ksiąg handlowych w madyarskim języku, madyaryzowanie nazwisk, dozorowanie dążeń „panslawistów i panrumunów i zawiadamianie władz o ich działaniu". Zamiast tych

środków p. Schultheiss radziłby zastosować się do rady pewnego dzienniczka, który chciał w r. 1879, aby postanowiono: że ktokolwiek w ciągu lat dwóch nie nauczy się po węgiersku — z kraju wypędzonym zostanie (str. 33—35).

Nazwa „*Kulturverein*" dla związków, mających na celu rozszerzanie języka pokrewnego językowi „Wogułów" oburza p. Schultheissa. Kultura madyarska wyraziła się, jego zdaniem, w „papryce, muzyce cygańskiéj i gulaszu." — We wszystkiém inném Węgrzy są uczniami Niemców, — dla Niemców węgierskich utrata języka macierzystego jest stratą kulturalną [1]).

Ostatnim dziełem madyaryzacyi jest postanowienie, że w sądzie przysięgłych mogą być sędziami tylko osoby znające ustnie i piśmiennie język madyarski. Czy można jeszcze coś nowego wymyślić? — pyta p. Schultheiss. Zapewnić go możemy, że jeszcze wiele; program gotowy znajdzie w rezolucyach związku wszechniemieckiego, dotyczących sposobów „popiérania" germanizmu na wchodniém pograniczu, o których niedługo wspomnimy.

Rezultaty takiéj madyaryzacyi są dla germanizmu zatrważające. W czasie od r. 1840—1890 ludność madyarska wzrosła na Węgrzech o 54%, kiedy ludność innych narodowości wzrosła o 23%. Wzrost ten, zdaniem p. Schultheissa, polega na madyaryzowaniu się ludności, — ale ocenić strat z tego tytułu pochodzących statystyka nie jest w stanie. Ile z 4¼ miliona katolickich Madyarów jest niemadyarskiego pochodzenia? — dojść trudno. Sądzi on, że w liczbie 181,000 Madyarów greko-katolickiego wyznania i w 313,800 Madyarów protestantów — tylko bardzo mała cząstka jest pochodzenia madyarskiego. Od roku 1880 — 1890-go w części Węgier zamieszkanéj przez Rumunów 80,162 Madyarów zamieniło się w Rumunów. Naodwrót, 37,017 Słowaków w północnych Węgrzech w tym samym czasie ze Słowaków przedzierzgnęło się w Madyarów. Żydzi, którzy dawniéj uważali się za Niemców, teraz—ku zgorszeniu p. Schultheisa —podają się téż za Madyarów. W r. 1875-ym na Węgrzech było żydów tylko

---

[1]) Podług wiadomości p. Schultheissa postanowienie rady miejskiéj Buda-Pesztu o odebraniu koncesyi na teatr niemiecki zostało w r. 1880 w wykonaniu wstrzymane wskutek interwencyi osobistéj cesarza Wilhelma I. W marcu 1888 roku cesarz umarł. W grudniu 1889 r. gmach teatru niemieckiego w Budapeszcie spalił się „z Bożą pomocą", jak powiedział w sejmie jeden z deputowanych. Odtąd wszelkie podania o pozwolenie wybudowania nowego gmachu i dawanie przedstawień teatralnych niemieckich municypalność Budapesztu odrzuca. Język niemiecki na scenie cierpiany jest tylko w tingletanglach. W r. 1896 zakazano zarządom miejsc kuracyjnych wynajmować sale na teatry niemieckie (str. 36).

75,000. W r. 1890 przeszło 700,000. Około 30,000 przybywa co rok z Galicyi, a kiedy w r. 1880—55% żydów podało się za Madyarów, — w r. 1890 procent ten wzrósł do 63%.

Jedną z cech madyaryzacyi jest zmiana nazwiska. Dla uregulowania tego prawno-cywilnego obrządku cesarz Franciszek I-szy zaprowadził osobny urząd i taksę 5 fl. od osoby. W r. 1881 obniżono taksę do 50 krajcarów i odtąd ilość „50-krajcarowych Madyarów" zaczęła wzrastać gwałtownie. Do r. 1893 liczono na ogół 15,000 wypadków zmiany nazwiska. W r. 1896 było tych wypadków już 2,000. Z okazyi „*millenium*" zawiązano w Budapeszcie „Towarzystwo madyaryzowania nazwisk". Urzędnikom kolejowym władza „radzi" madyaryzować nazwiska, a w r. 1867 dyrektor poczt i telegrafów Dürr, zmienił swe nazwisko na „Demenyi" i ostrzegł swych podwładnych, że nienaśladowanie jego przykładu pociągnie za sobą „przeszkodę do awansowania". Rozumie się, że wielka ilośc podwładnych poszła za przykładem p. Demenyi, — co wywołało, jak twierdzi p. Schultheiss, wielką radość śród patryotycznéj prasy madyarskiéj. Wogóle poczta i telegraf są podług p. Schultheissa środkami madyaryzacyi w rękach Węgrów. Większość nowo-madyarów jest pochodzenia żydowskiego: za 50 krajcarów z Kohna lub Schlesingera — robią na obstalunek Hunjadów i Kallajów, Szechenich i Andrassich, z małą tylko zwykle poprawką końcowego *y* na *i* (str. 42—44).

Główne straty ponosi germanizm w miastach. Jeszcze Kossuth w r. 1842 pisał, że miasta węgierskie są przeważnie niemieckiemi. Koło r. 1850 Niemcy stanowili prawie połowę ludności Budy-Pesztu; w r. 1888 — 33%, w r. 1890 — 25%. Liczba Madyarów wzrosła z $1/3$ do 68%. Koło r. 1850 językiem szkolnym w Budapeszcie był wyłącznie język niemiecki i dopiéro patent z r. 1860 zerwał z polityką „absolutystycznego germanizowania". Pan Schultheiss wié, że ta polityka istniała, ale nie zastanawia się nad tém, że właśnie taka polityka przed r. 1860 musiała wywołać taką politykę po r. 1860. To téż dziś madyaryzacya idzie prędzéj, niż poprzednio szła germanizacya i często dzieci „mówią innym językiem niż rodzice". Pan Körösi, znany w Europie statystyk, którego właściwe pierwotne nazwisko brzmi „Hajduszka", twierdzi, że ze 100 dzieci słowackich madyaryzuje się w szkole 62, a ze 100 dzieci niemieckich 38. Żywioł germański w miastach wprost topnieje, Madyary Niemców wypiérają stale, z rzadkiemi wyjątkami tych miast, gdzie żywioł słowacki lub rumuński bierze górę: tak Szczawnica węgierska została miastem słowackiém, Zombor — serbskiém.

Przyczyna degermanizacyi leży w przekonaniu, że Madyar jest coś lepszego od Niemca. Tak sądzi p. Schultheiss, — byłoby może na miejscu i inne przekonanie, że „*ibi patria ubi bene*", ale za mało znamy psychologię niemieckich Węgrów, aby się z p. Schultheissem kłócić. Możnaby nakoniec zjawisko téj gwałtownéj degermanizacyi objaśniać reakcyą przeciw germanizacyjnym prądom panującym przed rokiem 1860-ym. W każdym razie przyczyny tego rodzaju stanowczo, ostatecznie, z trudnością dają się wyjaśnić.

Na wsiach śród kolonistów niemieckich od wieków na węgierskiéj ziemi osiadłych madyaryzacya robi wogóle słabe postępy. Za to liczniejsze są przykłady zesłowiańszczenia całych wsi w północnych Węgrzech: to skutek słabości charakteru niemieckiego. Zmniejszenie się liczebne elementu germańskiego na Spiżu p. Schultheiss przypisuje przedewszystkiém zmadyaryzowaniu się żydów. W komitacie Spiskim w r. 1880 liczono jeszcze 50,000 Niemców, dziś jest ich już 45 000; — żywioł słowacki obejmuje już i wyższe sfery społeczne na Spiżu. Nawet w komitatach zachodnich, bezpośrednio z niemieckiemi prowincyami Austryi graniczących, element niemiecki i na wsiach upada. „Takiéj kultury renegatów na nawozie, jak są małe miasteczka w zachodnich Węgrzech, o kilka godzin drogi od Wiednia" — świat nie widział (str. 55). Stosunkowo najlepiéj trzymają się Niemcy w koloniach na południu Węgier (Szwabi w Banacie i Sasi w Siedmiogrodzie).

VIII.

Wytępienie niemczyzny na Węgrzech niezawodnie nie będzie postępem cywilizacyi. Język niemiecki, jak zapewnia p. Schultheiss, jest dodziśdnia językiem, w którym na Węgrzech porozumiewają się między sobą ludzie należący do sfer inteligencyi różnéj narodowości. Przywóz roczny książek niemieckich do Węgier w ostatnich latach (od r. 1883 do 1896) wzrósł z 26 do 62 milionów marek. Wobec tego uroczyste mowy urzędowe z racyi „*millenium*" wypowiadane w języku węgierskiém, w gminach, które ani słowa po węgiersku nie rozumieją, są tylko „śmieszną komedyą" (str. 72). Nienawiść do germanizmu powoli przenosi się i na dynastyę, a jedną z najulubieńszych piosneczek ludowych jest ta, w któréj Niemiec nazywa się „huncfotem", a Węgier obiecuje sobie z jego skóry zrobić dudy, resztę zaś oddać rakom na strawę.

Chęć wytępienia wszystkich obcych narodowości na Węgrzech, dochodzi do tego, jak się wyraził w sejmie jeden Madyar z krwi i ko-

ści, że w kraju tym każdy przyswaja sobie prawo, nie szanować, obowiązujących przepisów; prawo istnieje na papiérze i nie jest całkiem wykonywane (str. 77). W narodzie powstaje stąd pomieszanie pojęć, które trudno opisać. „Niemca, Rumuna i Serba, jeśli szanują swą narodowość i swój język ojczysty, a chcą go w życiu publiczném i w szkole używać — piętnują mianem niepatryotów, t. j. nieprzyjaciół państwa, których uciskać i zniszczyć należy, a w żadnym razie popiérać nie można." „Niemiec, Serb i Rumun, który w pogardzie swego pochodzenia tak daleko zachodzi, że swoje nazwisko na inne po madyarsku brzmiące zamienia — ten jest wzorowym patryotą. Stąd pochodzi ta hypokryzya, bigoterya językowa, która się w naszém społeczeństwie (t. j. na Węgrzech) coraz bardziéj rozszerza i szuka prawdziwéj wartości obywatela kraju nie w jego cnotach, nie w pozbawioném egoizmu poświęceniu się, ale w oznakach zewnętrznych, w dochodzeniu czy jako nieżyczliwy Madyarom nie stał się kacerzem patryotycznym. Stąd też pochodzi i to złe, że w obsadzaniu urzędów bardzo często nie rzeczywiste zdolności, lecz tylko zapał do rozszerzania madyaryzmu są uwzględniane, bo zapał ten podług ich pojęć zastępuje w wielu wypadkach brak uzdolnienia. Zaszliśmy w tém tak dalcko, że rozporządzenia urzędowe uznają nie-madyarskie nazwisko urzędnika za przeszkodę do awansu. ....Stąd też pochodzi w znacznéj części i zepsucie, bo przywiązanie do madyarskiego języka i demonstracyjne okazywanie tego służą często za płaszczyk do osłonięcia urzędowéj niedbałości, lenistwa, a nawet sprzeniewierzenia" (Mowa deputowanego siedmiogrodzkich Niemców, Wolffa, str. 78—9).

Skutkiem tego wszystkiego jest system „denuncyacyi, oszczerstwa i kłamstwa, straszniejszy niż gdziekolwiek być może". Stosunki towarzyskie urzędnika z niemadyarskiemi obywatelami kraju wystarczają, aby go denuncyowano o „niepatryotyzm", a „przeniesienie" jest jeszcze wtedy pomyślném zakończeniem. Wszędzie wpychają madyarskich urzędników i sędziów, a śród nich niezawodnie kilka umysłów oświeconych—na ogół „wielkie męty, które się chętnie urobią w każdą formę, wepchną na każdą posadę i nie ulegają żadnemu innemu instynktowi, prócz nienawiści do wszystkiego co nie-madyarskie, a przedewszystkiém nienawiści do tego co jest niemieckie. Oni mają dawać „ton", tylko stosunki z niemi są madyarskie, tylko ich ciemne sprawozdania są informacyą" (str. 79). Zupełnie też słusznie powiedział, zdaniem p. Schultheissa, pewien deputowany rumuński w sejmie 1883 r., że „urzędnicy-Rumuni nie ośmielają się nawet prenumerować rumuńskich gazet, bo natychmiast zdenuncyowanemi zostaną jako „Dakoru-

muni". Znanym jest wypadek denuncyacyi, podanéj na rumuńskiego urzędnika o to, że bibułkę do papierosów sprowadza z Bukaresztu.

To téż patryotyzm, mówi pan Schultheiss, stał się w Węgrzech spekulacyą; wychował się cały tłum „politycznych rycerzy przemysłu" (*chevaliers d'industrie*), a na czele tego ruchu stoi patryotyczna giełda Budapeszteńska zbożowa, która w r. 1896 postanowiła, że przychodzący na giełdę zbożową winni załatwiać swe interesy w języku madyarskim i madyarskim „duchu" (str. 82).

Nawet w sferach węgierskich ruch ten zaczyna budzić wstręt, obawy i naganę. W kasynie narodowém w r. 1897 hr. Szechenyi narzekał na upadek charakterów w życiu publiczném, sądził, że „trudno jest obecnie wysunąć się naprzód z zachowaniem uczciwości, że ani cnota dostatecznie wynagradzaną, ani podłość dostatecznie karaną, nie bywa; że bezkarnie można na Węgrzech robić dziś wszystko, byleby to płaszczykiem polityki okryć" (82).

Sprzedajność prasy, artyzm w wszelakiego gatunku reprezentacyach i wystawach na okaz, umiejętność oślepiania statystycznemi wykazami, teatra bez sztuki i serwilizm—oto obraz skutków madyaryzacyi w Węgrzech. Madyarska nauka to rzecz nieistniejąca. W Akademii nauk panuje ospałość i obojętność, a Madyar tyle politykuje, że na nic innego już nie ma czasu. Prawdziwy Madyar zarówno co do języka, jak i co do umysłowego swego kierunku stoi jeszcze prawie na tym samym stopniu cywilizacyi, na jakim stał jego azyatycki przodek-koczownik; w kulturze europejskiéj uczestniczy on częściowo, i to tylko jako spożywca, nie jako wytwórca. Dla niego i wiedza ma być dojną krową (str. 85). Ten duch, który dziś panuje na Węgrzech, nie jest duchem administracyi europejskiéj, ani duchem europejskiéj sprawiedliwości. Dla Madyara inne narody są rasami niższemi: Słowak—to nie człowiek, Niemiec—to huncwot, Kroat i Wołoch—to bydło" (str. 88).

Ale stan obecny nie może być trwałym. Austrya prowadzi na zewnątrz politykę Niemcom przyjazną, wewnątrz nieprzyjazną *(deutschfeindlich)* a partya niezależności zdradza coraz częściéj intencye ustanowienia na Węgrzech rządów republikańskich. Jest to jednak rachunek bez gospodarza, — to wskazuje już wyraźnie na punkt, w którym interesy dynastyi i Madyarów zetrzéć się z soba muszą; a w rozstrzygnięciu tego sporu mogą się sprawdzić słowa Deaka: „naród mój pycha zgubi" (str. 90).

IX.

„Że pokojowe rozwiązanie sprawy narodowościowéj na Węgrzech nie może nastąpić na téj saméj drodze, jak rozwiązanie sprawy polskiéj w Prusach, czy téż w państwie niemieckiém" — mówi w zakończeniu swéj pracy p. Schultheiss — „to się samo przez się rozumié, że względu na różnice w liczebnych stosunkach etnograficznych."

Zdanie to dowodzi tylko, że p. Schultheiss nie czytał książki pana Petzet'a o stosunkach narodowościowych na wschodniém pograni-Prus, z zestawienia bowiem faktów cyfr i poglądów wyrażonych w tych broszurach, „również samo się z siebie rozumié", sam przez się płynie jasny dowód, że pomiędzy położeniem Polaków w granicach Niemiec, a Niemców na Węgrzech jest coś więcéj aniżeli prosta analogia. Streścimy wkrótce broszurę pana Petzet'a, aby czytelnik prawdziwość naszego zdania osądził.

Niemiec uważa się, tak samo jak Madyar, za coś lepszego od reszty ludzkości — świadczy o tém broszura o „Stanowisku wszechświatowém Niemiec" — i sądzi, że Niemcy w państwie niemieckiém są za słabi liczebnie do spełnienia wielkich oczekujących ich zadań, bo chce koniecznie granice *Reichu* rozszerzyć po za Niderlandy, Szwajcaryę, do Cisy i Alp Karyntyjskich, a mieszkających w granicach państwa nie Niemców jaknajprędzéj Niemcami zrobić.

Wszystkie narzekania Polaków w Niemczech, powiada p. Petzet, opiérają się na fałszywéj podstawie, na błędném domaganiu się politycznéj niezależności.—Jest to znów ta sama idea Jagiellońska, idea Przemyślidów w Czechach, któréj realność na odpowiedzialności pana Petzet'a zostawić musimy. Gdy jednak daléj p. Petzet zapewnia, że „każdy pruski poddany polskiego języka, który się jak pruski poddany zachowuje i za pruskiego poddanego uważa—posiada wszystkie prawa pruskiego poddanego", to jest z tém sam z sobą w sprzeczności — sam bowiem w dalszym ciągu nietylko przytacza prawa i rozporządzenia przeciw Prusakom polskiego języka, ale nawet sam się nowych praw i rozporządzeń domaga, z powodu jakoby wielokrotnie stwierdzonego faktu polonizowania się wschodniego pogranicza (str. 2).

Na uzasadnienie tych praw i żądań wytacza — tak jak Węgrzy— argumenty natury politycznéj. Żywioł polski w Poznańskiém siedzi tylko o 40 mil od stolicy państwa Niemieckiego, Berlina. (Nie Polacy w Berlinie stolicę Niemiec pomieścili). Stąd geograficzno-statystyczno-militarno-polityczna niemożliwość przesunięcia granic państwa ku za-

chodowi i dopóki Hohenzollern na tronie niemieckim zasiada, żadne umniejszenie posiadłości niemiecko-pruskich od wschodu nie jest dopuszczalne.

Pan Petzet winien był dodać, że niemożliwość ta nie jest natury fizycznéj, ale politycznéj i mógł był zauważyć, że już w czasach historycznych granica między światem politycznym słowiańskim a światem germańskim ulegała bardzo silnym wahaniom. Według Tacyta, Germanie sięgali w I i II wieku po Chr. do Wisły. Za Karola W. znów w w. IX-ym Słowianie sięgali za Elbę. W r. 1795 granica Prus była ponownie nad Wisłą i Niemnem, dziś jest między Odrą a Wisłą, a za sto lat może być gdzieindziéj.

Niebezpieczeństwo dla germanizmu leży, podług pana Petzet'a, w tém, że ludność polska w Księstwie Poznańskiém od r. 1861 wzrosła o 246,000 głów, kiedy jednocześnie ludność niemiecka wzrosła tylko o 26,000 głów. W Poznaniu większość ludności już jest polska, a polonizowanie się ludności niemieckiéj coraz częściéj się zdarza. Liczba urodzin śród ludności polskiéj jest o 11.88% wyższa niż śród ludności niemieckiéj i to zarówno w Poznańskiém, jak i w Prusach Zachodnich. Ludność polska wzmaga się napływem corocznym robotników rolnych z Królestwa i Galicyi, których ilość dochodzi do 29,000 rocznie. Należałoby, jego zdaniem, wpuszczać do Niemiec tylko tych robotników, którzy po niemiecku mówią, t. j. Niemców z pochodzenia. Z boleścią wspomina p. Petzet o zmniejszeniu się w Poznańskiém ludności żydowskiéj o 20,000 głów, — ludności, któréj ubytek zmniejsza ilość Niemców, z tą samą boleścią, z jaką p. Schultheiss mówił o napływie żydów galicyjskich do Węgier i zmianie ich narodowości z niemieckiéj na madyarską [1]).

Zachowanie się ludności polskiéj w Prusach do r. 1848 a nawet do r. 1861 zasługuje na pochwałę p. Petzet'a. Postępowanie rządu zmierzało „na nieszczęście" do zachowania umysłowo-moralnéj i socyalno-politycznéj odrębności tych prowincyi, co musiało stać się szkodliwém i zgubném dla mało wówczas cenionych interesów narodowościowych niemieckich. „Prawne ograniczenia mniejszéj wagi w ustawie wyborczéj do sejmu prowincyi Poznańskiéj, nominacya landratów, i oddanie zarządu policyjnego po wsiach komisarzom okręgowym — były przez interes państwowy koniecznie wskazane" — mówi p. Petzet, a jednocześnie daje nam w ręce dowód téj niewzruszonéj równopraw-

---

[1]) Bliższe szczegóły o ruchu ludności pod względem narodowościowym w Poznańskiém znajdzie czytelnik w artykułach W. Studnickiego „Syzyfowe prace" — „Głos", N-ra 16 i 17 r. b.

ności mieszkańców polskich w Prusach, o któréj nieraz wspomina. Na nieszczęście, mówi autor, polityka Prus względem Polaków nie była stała. Osobiste wpływy na dworze — Radziwiłłów i innych Polaków— ciężko nieraz się na téj polityce odbiły. Najbardziéj świadomym celów i środków właściwych był nadprezydent prowincyi poznańskiéj, Flotwell, który w memoryale ułożonym w r. 1841 taki skréślił program rządu dla prowincyi poznańskiéj: „Zdaje mi się, że najgodniejszém rządu, a tém samém i najstosowniejszém jest jawnie wypowiedziéć i stosować się do zasady, że prowincya ta dla elementu niemieckiego zamknięta być nie może, że przeciwnie, musi być dla tego żywiołu, jako żywiołu zasadniczego państwa i żywiołu stanowiącego dziś $^1/_3$ ludności téjże prowincyi, otwartą i — że zrównanie jego z żywiołem polskim „bez zastosowania niesprawiedliwéj samowoli *(ohne Eingriff ungerechter Willkür)* może być pozostawione ewolucyi historycznego procesu". Program to, mówi p. Petzet, od którego żaden rząd pruski nigdy się nie powinien oddalić (str. 18 i 19).

A jednak właśnie to, czego żąda pan Petzet, jest prostém zaprzeczeniem programu Flotwella. Z chwilą, jak zachodzi obawa, „że ewolucya procesu historycznego" nie pójdzie w kierunku pożądanym, p. Petzet wzywa rząd, aby interweniował w tym procesie historycznym, a gdy jest pewien, „że siła rządu sama do osiągnięcia rezultatu nie wystarczy", sądzi, że i „naród pruski i cały naród niemiecki powinien spełnić swój obowiązek w całéj rozciągłości, aby pogranicze wschodnie trwale zachować" (str. 19), — żąda więc tego, co Flotwell nazwał *„Eingriff ungerechter Willkür"*.

Jaka jest przyczyna téj zmiany? Wzrost ludności polskiéj i napływ jéj w formie sił roboczych, same tylko tego nam nie objaśniają. Petzet widzi niebezpieczeństwo jeszcze w czémś inném.

Od roku 1861 datuje się zwrot w usposobieniu ludności polskiéj w państwie Pruskiém, — rok 1861 jest to „ten punkt zwrotny, od którego postępująca dotąd germanizacya osłabła przez wznowiony rozrost polskiego ducha, który trwa dotąd bezustanku. Mimo całéj różnicy objawów zewnętrznych, wypadki z téj i z tamtéj strony granicy są jednak ze sobą w związku i dowodzą pełnéj łączności narodowości polskiéj, która nam Niemcom pod wieloma względami powinna dać do myślenia" (str. 20).

Wspomniawszy o usposobieniu umysłów w Królestwie w ostatnich czasach (1896/7), p. Schultheiss sądzi, że usposobienie to „poparło i wzmocniło" Polaków pruskich.

Przygotowania do zmiany usposobienia Polaków pruskich widzi p. Petzet i przed r. 1861 w działalności np. d-ra Marcinkowskiego.

Stworzenie inteligencyi miejskiéj polskiéj wydaje mu się celem nie zasługującym ani na naganę, ani na przeszkody. Ale dziś to dążenie przybrało formy „bojkotowania” Niemców, tworzenia dla żywiołu polskiego odrębnych stowarzyszeń i związku stowarzyszeń; walkę narodowościową przeniesiono na grunt wyznaniowy i pozwalano sobie publicznych demonstracyi, nieprzyjaznych żywiołowi niemieckiemu W prasie zjawiło się „szczucie” Niemców, kłamstwa, a nawet śmierć tak „zasłużonogo męża”, jak Eryk v. Tiedemann, nie wydarła organom prasy polskiéj chrześciańskiego, przyzwoitego wyrazu współczucia. Kréśląc tę historyę zwrotu w umysłach Polaków po r. 1861, p. Petzet przemilcza o „*Kultur—Kamp*”, który rząd niemiecki w swoim czasie z taką zaciekłością z kościołem katolickim prowadził, — o reformie szkolnéj ministra Falka z r. 1873, która przewyższyła to, co rząd węgierski wprowadził u siebie, — milczy o komisyi kolonizacyjnéj wykupującéj ziemię z rąk polskich od r. 1882, — milczy o wysiedleniu robotników polskich z Prus w r. 1887, przez co historya stosunków narodowościowych na „pograniczu wschodniém” staje się zupełnie niezrozumiałą; — milczy o faktach należących niewątpliwie do gatunku „*Eingriff der ungerechter Willkür*”, które Flottwell za niegodne rządu pruskiego uważał.

P. Petzet nie sądzi, żeby język polski, jak to uważa wielu Niemców, był uboższym w formy, mniéj plastycznym, był mniéj pięknym od innych języków kulturalnych, nie sądzi téż, aby wyrugowanie tego języka przez inny bardziéj wykształcony (czytaj niemiecki) było pożądane; zgadza się nawet na jego publiczne zastosowanie, — ale „o tyle, o ile to może nastąpić bez szkody i obrazy względów należnych i wymaganych dla społeczeństwa państwowego”. Chodzi mu więc o „honor państwowego języka”. „To, że język państwowy musi być w tych prowincyach niemiecki — to dowodzenia nie potrzebuje.”—Tak samo sądzą Madyarzy u p. Schultheissa. A że Polakom od saméj młodości daje się znajomość języka niemieckiego, to jest koniecznością państwową, nie zaś niesprawiedliwością lub gwaltem, a to tém więcéj, że niezaprzeczenie znajomość języka niemieckiego dla każdego Polaka jest powiększeniem umysłowego bogactwa i ekonomiczną korzyścią, a więc niezaprzeczoném dobrodziejstwem.—Niewątpliwie tego samego zdania jest p. Grünwald ex-vice-żupan z Soli, co do znajomości języka madyarskiego dla Niemców w Węgrzech. „Rząd pruski—mówi p. Petzet — nie jest w stanie, a służba państwowa w Prusach nie posiada na to środków, aby na pograniczu wschodniém Prus na każdém stanowisku urzędowém postawić człowieka, któryby obok języka państwowego posiadał język polski. We własnym interesie Polaków pruskich, którzy się poświęcają służbie rządowéj, musi rząd osadzać ich w pro-

wincyach czysto niemieckich, gdzie propaganda polska i polski terroryzm nie dosięgają, a z zachodu powoływać na pogranicze dzielnych urzędników, bo tu zadania ich w administracyi, szkole i kościele są trudniejsze, bardziéj skomplikowane, niż w innych staroniemieckich okręgach państwowych."—Te same zdaje się zasady „własnego dobra urzędników" kierowały tą władzą węgierską, która urzędnika Rumuna, sprowadzającego bibułkę do papierosów z Bukaresztu przeniosła do innéj prowincyi. Rozumie się, że p. Petzet domaga się zmiany prawa o zgromadzeniach publicznych co do języka, w jakim rozprawy mają być prowadzone, bo używanie języka polskiego na zgromadzeniu wyborczém w staropruskim (od 1772) Grudziądzu zakrawa na „szczutka" danego policyi, a wiadomo oddawna, „jak łatwo Polak uczy się po niemiecku" (str. 29). Zajmuje go téż bardzo sprawa zmiany nazwisk osób i miejscowości—widać zaraz, że nie czytał tego, co p. Schultheiss pisał o 50 krajcarowych Madyarach; nie cieszyłby się dziś z tego, że od czasów zaprowadzenia urzędów stanu cywilnego mają miejsce liczne „odchrzczenia" nazwisk ex-niemieckich dziś polskich—z powrotem na niemieckie. Zdaje się że w Prusach niema nawet 50 krajcarowéj taksy-

Z kościoła katolickiego w Prusach p. Petzet jest, rozumie się, mocno niezadowolony, za to rezultaty szkolnictwa napawają go tą samą dumą, jaką napawa szkolnictwo madyarskie p. Grunwalda.

Nie to szkolnictwo z przed 1873 roku, które pobłażało rozszerzaniu się polskości, ale to po 1873 r., które „jest szczerym, wiernym i czynnym współpracownikiem rządu pruskiego i sprawy niemieckiéj." P. Petzet nie wątpi, że przyszłość należy do tego, kto ma szkołę—i dlatego sądzi, że można oczekiwać już z zaufaniem dalszego rozwoju stosunków narodowościowych (str. 38).—Zupełni eto samo zaufanie i tę pewność ma rząd madyarski na Węgrzech i zaufanie to jest z drugiéj strony w dziwnéj sprzeczności z tym wzrostem polskości w Prusach od 1880 do 1890, który p. Petzet uważa za wyraźnie stwierdzony Zresztą nie przeszkadza mu to zaraz potém narzekać, że nowa szkoła rozwinęła umysłowe zdolności Polaków, ze szkodą żywiołu germańskiego, bo od czasów reformy szkolnéj datuje „napływ Polaków do zajęć rzemieślniczych, przemysłowych i handlowych po miastach, który grozi nawet osiągnięciem w nich przewagi nad Niemcami (str. 39). Jak wielkiemi były grzechy systemu szkolnego przed 1873 r., dowodzi to, że używano elementarzy, które ułożone były tak, aby budzić samowiedzę narodową w dzieciach polskich (str. 41), a dziś nauczanie religii po polsku i przygotowanie w tym języku do spowiedzi, zdaniem p. Petzeta, nie jest pozbawione „politycznéj tendencyi"—t. j. stałego utrzymania i wzmocnienia polonizmu (str. 41). Zaznaczamy tu, że dla p. Petze-

ta „utrzymanie” nawet polonizmu jest polityczną tendencyą, przeciw któréj walczy i autor i Wszechniemiecki związek.

Napływ Polaków do miast nie daje spokoju p. Petzetowi. „Nawet zajęcia, które dawniéj ze względu na wymagane w nich wyższe wykształcenie były do pewnego stopnia przywilejem Niemców, jak np. apteki, są przy równéj konkurencyi, zarówno jak i zajęcie lekarskie—powoli zajmowane przez Polaków. Młodzi Polacy nawet z rodzin szlacheckich (!) studyują technologię, uczą się kupiectwa i pracują tak dzielnie i pilnie, jak ich niemieccy koledzy i zakładają, tak jak tamci, biura, kantory, sklepy i składy. Polacy księgarze i restauratorzy, drogiści i cukiernicy, szewcy i krawcy, piekarze i rzeźnicy, rzemieślnicy i służący wszelkiego gatunku—w stanowczém przeciwieństwie do polskich wstrętów przeszłego stulecia, wszędzie na wsi i w mieście stają z powodzeniem obok swych dawnych nauczycieli i poprzedników Niemców i żydów do walki i często ich miejsca zajmują” (str. 47). To gryzie p. Petzeta—to objaw, z którym walczy.

„To ostatnie (zajmowanie miejsc) zdarza się naturalnie szczególniéj tam, gdzie polski konkurent przyswoił sobie od nas te cnoty handlowe, które od wieków były przymiotami i chwałą naszego narodu”— cnoty, z któremi, wedle autora, niektórzy Niemcy się pożegnali. Główne poparcie swoje ma polskość w stowarzyszeniach kredytowych i spożywczych polskich, które tworzą osobny związek pod prezydencyą księdza Wawrzyniaka (str. 48).

„Nawet w gospodarstwie rolném, w ostatnich latach, zrównał się Polak z Niemcem. O tak zwaném „polskiém gospodarstwie” tylko w wyjątkowych wypadkach może być mowa.” Freytagowskie „Przepijewo” (z powieści *Soll und Haben*) już odkupione. Polski chłop powoli wykupuje chłopa niemieckiego, — a 300 robotników polskich z 3-ch gmin poznańskich, którzy na żniwa poszli na zarobki wgłąb Niemiec, przysłało pocztą do domu 42567 marek w jedno żniwo, t. j. po 141 m. na głowę. Finansowy zasiłek, jaki w ten sposób Polakom z Niemiec płynie, oblicza się na miliony marek. I to martwi p. Petzeta (str. 49).

Biorąc na uwagę właścicieli ziemskich, mających więcej niż 2000 hektarów (koło 150 włók) pan Petzet doliczył się ich w ks. Poznańskiém 149—z których 74 Niemców i 75 Polakéw. Ale z 74 Niemców tylko 47 mieszka w swoich majątkach—27 jest stale nieobecnych, kiedy z 75 Polaków 68 mieszka stale u siebie w majątkach — a tylko 7 jest nieobecnych (str. 52).

Wszystko to są objawy dla interesu i całości Niemiec niebezpieczne. W kwestyi własności ziemi na wschodniém pograniczu ciężkiemi téż obawami napawa p. Petzeta działalność t. zw. Komisyi general-

nych, ustanowionych w całych Prusach w r 1890/1, celem ułatwienia parcelacyi gruntów i zakładania t. zw. dóbr rentowych. Ułatwienie małorolnym włościanom i robotnikom wiejskim bez różnicy narodowości—nabywania ziemi, było celem pierwotnym rządu. Zaprowadzenie tych komisyi wywołane było brakiem rąk roboczych na wschodzie Prus i większą stosunkowo przestrzenią, zajmowaną przez wielkie majątki na wschodzie Niemiec [1]). W działalności tych komisyi widzi p. Petzet niebezpieczeństwo dla germanizmu, bo przy pomocy tego banku więcéj ziemi przechodzi w ręce polskie niż w ręce niemieckie, „i chociaż „nie ktoś nieznaczny", ale sam książę Bismark twierdził, że drobny osadnik polski i polski robotnik nie są niebezpieczni, i że na drodze dóbr rentowych da się wytworzyć ludność jeśli nie niemiecka, to przecież do państwa przywiązana" wszelako, jak dowiadujemy się od p. Petzeta, „młodsza generacya patryotów niemieckich uważa to za niebezpieczny błąd ze strony księcia kanclerza." Wszechniemiecki związek jest bardziéj niemiecki niż książę Bismark. Wszechniemiecki związek wydał nawet specyalną broszurę, dowodzącą, że Komisya Bydgoska w latach 1891—3 osadziła na ziemi dwa razy więcéj Polaków niż Niemców (str. 58 i 59).

X.

Stan obecny w ogóle—sądzi p. Petzet—wymaga poprawy. „Czyż możemy w Prusach, w ks. Poznańskiém i na górnym Szlązku — gdzie na pruskim gruncie stoimy—gdzie niemiecki pług ziemię rozorał, a niemiecka siekiera las karczowała — gdzieśmy tyle dla kultury kraju zrobili, gdzie tyle milionów niemieckich włożono w przemysł i handel — czy możemy się uważać tam, my Niemcy, za żywioł tolerowany przez Polaków?" Jako należący do narodu „panującego" szanujemy uczucia narodowe (str. 64)—ale musimy się bronić i przedsiębrać środki walki z wzrastającym żywiołem polskim. Związek Wszechniemiecki na posiedzeniu 9 Września 1894 r. orzekł, że środkami temi mają być: dalsze ograniczenia języka polskiego w szkole, zakładanie niemieckich zakładów froeblowskich, dalsza przemiana nazw miejscowości na niemieckie, zamiana nazwy „Ks. Poznańskie" na „Południowe Prusy," posyłanie polskich rekrutów do garnizonów wewnątrz Niemiec, powolne ograniczanie, a w końcu zupełny zakaz immigracyi robotników

---

[1]) Bliższą wiadomość o tych komisyach znajdzie czytelnik w wybornym artykule p. A. Donimirskiego p. t. „Na zachodnich kresach" w Bibl. Warsz. za Kwiecień r. b. str. 12.

wiejskich z Królestwa i Galicyi, a także zmiany w prawie o przyjmowaniu poddaństwa niemieckiego, któreby utrudniały naturalizacyę; wyłączenie stanowcze polskich osadników od nabywania ziemi od komisyi centralnych, rozszerzenie działania komisyi kolonizacyjnych na Szlązk i Prusy Zachodnie, osadzanie na ziemi wysłużonych podoficerów z zachodnich Niemiec i t. d.

Zdaje się, że takie propozycye nie były jeszcze przedmiotem dyskusyi w sejmie węgierskim. Nawet dobroczynność została włączona przez Wszechniemiecki związek do instytucyi mających „cele narodowe". Chodzi o zakładanie „Domów dla sierot", któremi zajmuje się specyalny „związek Ewangieliczny", mający za zadanie sieroty z wielkich „miast niemieckich" wychowywać na wsiach w Poznańskiém i kształcić do zawodów rzemieślniczych. Jeden taki dom istnieje już w „Neusedlitz bei Witkowo." Związek ma za zadanie i inne cele w duchu „chrześciańskiéj miłości bliźniego" (str. 67).

Pan Petzet już od siebie zwraca uwagę na to, że minister poczt ś. p. Stephan, starzejąc się nominował wielu listonoszéw i innych niższych pocztowych oficyalistów Polaków. „Że Państwo Niemieckie powinno przez swych oficyalistów pocztowych popierać język niemiecki a nie polski, o tém p. Podbielski zapewne niezapomni" (str. 69). Po instrukcye radzimy mu — udać się do p. Demenyi-Dürr w Buda-Peszcie.

Radością napawa p. Petzeta działalność „Związku celem popierania niemieckości na pograniczu wschodniém", tak brzydko przez Polaków nazwanego związkiem hakatystów, założonego w r. 1894. Zadania tego związku są wedle p. Petzeta następujące: „przez zakładanie grup miejscowych dać stały punkt oparcia niemieckim usiłowaniom na pograniczu wschodniém, popierać zakładanie niemieckich związków i instytucyi, niemiecką służbę Bożą i niemieckie szkolnictwo; Niemców od zbytnich ustępstw Polakom powstrzymywać, wypieranie języka niemieckiego i zbytnie rozszerzanie się polszczyzny odpierać, polskim demonstracyom przeciwdziałać, polskich organów prasy i polskich związków dozorować i na niebezpieczeństwa, wynikające z nominowania polskich urzędników wskazywać, poczucie patryotyzmu w poznańczykach i zachodnich Niemcach budzić, przez odczyty i broszury zajęcie się sprawami narodowemi na pograniczu wschodniém ożywiać, a przedewszystkiém wszelkie ekonomiczne usiłowania do zgermanizowania pogranicza wschodniego prowadzące popierać." Cele, jak się zdaje, wzorowane na celach węgierskich „kulturvereinów", założonych na 10 lat przedtém.

Na tę ekonomiczną germanizacyę" jest jak mówi p. Petzet, „położony nacisk największy"—na niéj oprą się dalsze „kulturalne" kroki

wzmocnienia germanizmu. Nie rozumiemy tylko, jakie uczucia każą p. Petzetowi niejednokrotnie wypierać się mocno tych celów zgermanizowania, tém więcéj, że sam w rezultat ich nie bardzo wierzy. „Niemcami—mówi on—tylko niewielu z Polaków nawet w przyszłości zostanie, tylko ci, którzy w niemieckie życie umysłowe i uczuciowe tak głęboko wnikną, aby zrozumiéć przewagę narodowości, która mogła wydać takiego Goethego, Humboldta, Bismarka; co do znacznéj większości będziemy się musieli zadowolnié tém, jeśli potrafią uczucia swojego serca polskiego pogodzić z taką ilością szacunku i wierności dla swojéj władzy, ile to od nich, jako od pruskich obywateli się należy i o ile się zastosują do tych wymagań, które my im w państwie prusko-niemieckiém postawić musimy" (str. 65).

Ucisk i nieludzkie prześladowanie polskości na pograniczu wschodniém jest tylko wymysłem małéj garstki politycznych agitatorów, „to kłamliwe i oszukańcze przedstawienie rzeczy" — a jako na „najbardziéj powołanego i zaufania godnego świadka" powołuje się pan Petzet na „Związek celem popierania niemczyzny na pograniczu wschodniém" (str. 69 na końcu).

Nigdy stosowane na tém pograniczu prawa nie naruszały konstytucyi, nigdy nie umniejszały praw obywatelskich Polaków. „Prawda—objaśnia p. Petzet — że konstytucya państwa zapewnia równość praw niewątpliwie wszystkim prusakom i każdy *prawdziwy* prusak, nawet po polsku mówiący, ma zupełne prawo na wynikające stąd skutki prawne. Gdybyśmy mieli dla dokonania przyjęcia do uczestnictwa w obywatelstwie pruskiém, i wogóle niemieckiém, jakąś prawnie wiążącą formułę, którąby zapewniała istotne wykonanie obowiązków państwowo-obywatelskich, a mianowicie najpierwszego z obowiązków narodowych być państwu wiernym we wszystkich wypadkach (*unter allen Umständen*) to o prawach dla obrony państwowéj egzystencyi przeciw wrogom wewnętrznym nigdy nie byłoby mowy. Ale istnienie państwa jest prawem najpierwszém, i zapewnienie swego istnienia jest najpierwszym jego obowiązkiem. Jeśli potrzebne są prawa w tym kierunku dla obrony państwa, to są one tak mało prawami wyjątkowemi lub naruszeniem konstytucyi jak wszystkie inne prawa, które ustanowiono przeciw nieprzyjaciołom dla obrony porządku prawnego i publicznego dobra. Jeśli rząd i większość przedstawicieli narodu uznaje za swój obowiązek państwowy, aby niemiecką narodowość, żywioł życiowy (*Lebenselement*) państwa pruskiego popierać w tych częściach państwa, gdzie wobec nieprzyjaźnie występującéj przewagi innego plemienia potrzebuje on obrony i poparcia i takich obrony i poparcia mu udziela — przyczém temu innemu plemieniu nie umniejszają się jego prawa, nie przynosi mu

się żadna ani obywatelska ani moralna szkoda — to w tém żadnego naruszenia prawa być nie może.”

Ta teorya praw państwowych wyjątkowych p. Petzeta zasługuje istotnie na przekazanie jéj potomności. Wydał ją duch tego samego narodu, który wydał Herdera i Bismarka. Polecamy ją madyaryzatorom węgierskim do użytku w sejmie węgierskim. Wielka szkoda, że p. Petzet, jeśli czytał broszurę p. Schultheissa, nie zwrócił uwagi na przytoczone w niéj słowa Tiszy i Treforta, Wolffa i Szechenyi'ego o wpływie madyaryzacyi na etyczny rozwój narodu węgierskiego i nie zastanowił się nad tém, że słowa Deaka „pycha zgubi mój naród” nie tylko do Madyarów zastosować się dadzą.

St. Piotrowski.



WIECZÓR W PARLAMENCIE ANGIELSKIM.

(Z przechadzek po Londynie).

Przechodząc wieczorem przez Trafalgar-square, który zapisał się w kronice Londynu jako widownia rozruchów robotników strejkujących, wpada w oko olbrzymia, świetlana kula, zawisła na ciemném sklepieniu nad stekiem olbrzymich budowli — zégar, największy zegar w Anglii, na czworokątnéj wieży, t. zw. zégarowéj (*Clock Tower)*, co strzela w górę setkami gotyckich kolcy i, przyczepiona do północnego skrzydła pałacu westminsterskiego, stróżuje nad najstarszym i przez zwolenników parlamentarnéj formy rządu często przytaczanym parlamentem angielskim. Zmierzając w tę stronę szeroką arteryą Whitehall, napotykamy długi szereg ministeryalnych gmachów, które rozsiadły się grzędą w pobliżu ciekawego zabytku zamierzchłych wieków — koszar przybocznéj gwardyi królowéj. Poważny i imponujący wygląd téj dzielnicy historycznéj nadaje ulicy cechę przedsionka, wiodącego do świątyni narodowéj: opactwa westminsterskiego i parlamentu, tych dwóch sąsiadujących z sobą gmachów, będących „arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty", ku którym ulatują myśli milionów anglo-saskiéj rasy jednostek, rozsypanych po wszystkich częściach świata.

Stanąwszy przed dziedzińcem parlamentu, mamy przed sobą jeden z najwspanialszych widoków Londynu i z pewnością najciekawszy

dla turystów z jakiéjbądź przybywają strefy, mianowicie po prawéj ręce kwadratowy trawnik między marmurowemi pomnikami mężów stanu Beaconsfielda i Palmerstone'a, po za nim zaś kościół opactwa z grupą sędziwych budowli, noszących wyraźne piętno dawnych wieków. Z drugiéj strony sterczy wieża Zégarowa, daleko ku południowi zarysowują się kontury wieży Wiktoryi, największéj na świecie wieży czworobocznéj, a pomiędzy niemi ciemny, posępny, ogromny i imponujący parlament.

Aby znaléść możność objęcia okiem jego fasady, zwracamy się w lewo, na most westminsterski, gdyż czoło parlamentu zwraca się ku rzece i gmach cały wznosi się tuż nad jéj brzegiem. Wzdłuż frontu, 287 metrów długiego, bieży kamienny balkon, który służy za miejsce przechadzek dla posłów, i w letnie wieczory, zwłaszcza w czasie przyjęć *speaker*'a, snują się tu zastępy gości obojga płci. Przez nieprzeliczony szereg gotyckich okien, w herby i arabeski zdobnych, padają smugi świateł na wody Tamizy. Fasada skrupulatnie wykończona, w ornamentykę nadzwyczajnie bogata, lubo przy swych rozmiarach jednostajnością nużąca, jest gotykiem zmodernizowanym.

Parlament, nazywany często pałacem westminsterskim, zwie się oficyalnie poprostu „*houses of parliament*" i stoi na miejscu dawnego przez pożar w r. 1834-ym zniszczonego gmachu. Budowę nowego parlamentu rozpoczęto w trzy lata po pożarze, a ukończono w r. 1868-ym według planów architekta Karola Barry. Mimo że część północna oczekuje jeszcze dodatków, koszta wyniosły przeszło dwa miliony f. szt.; budowla ta bowiem zajmuje przestrzeń 3 hektary i 24 arów, a zawiéra przeszło pięćset komnat, prócz jedenastu sal i mnóstwa pokoi mieszkalnych dla oficyalistów, tudzież prywatnych gabinetów marszałka i t. d.

Przeciwna strona gmachu nie ciągnie się, jak frontowa, w prostéj linii, lecz prawie zygzakowato połamanéj. W centralnym jéj punkcie, najwięcéj do opactwa westminsterskiego zbliżonym i wysuwającym się naprzód, znajdują się podwoje wiodące do izb. Na ich straży czuwa najniższy, lecz wzrostem imponujący przedstawiciel władzy: *policeman* w granatowym ubiorze, z ciemnym kołpakiem na głowie.

Po kilku stopniach dostajemy się do wysokiego portyku św. Stefana, z którego ukazuje się nam w całéj rozciągłości olbrzymia wolna przestrzeń hali westminsterskiéj, która ocalała z pożaru starego gmachu, inaugurowanego przez Williama Rudego w r. 1099, a wykończonego w dwa wieki późniéj. Należy ona do najdawniejszych zabytków przeszłości i ma swą historyę, składającą się z przełomowych momentów historyi angielskiéj. Na stopniach téj sali słuchał wyroku śmierci Ka-

rol I-szy, tutaj Olivier Cromvell przybierał tytuł lorda protektora, tutaj Warren Hastings stawał przed najwyższym trybunałem.

Lecz nie wszedłszy w charakterze turystów, przelotnie tylko rzucamy okiem na olbrzymie freski D. Maclise'a, wyobrażające spotkanie Wellingtona z Blücherem na polu bitwy pod Waterloo oraz śmierć Nelsona, na śnieżne pomniki mężów stanu, przyozdabiające korytarz św. Stefana, zmierzając do ośmiokątnéj *central-hall.*

Aby być obecnym na posiedzeniu izby gmin, należy posłać kartę wizytową znajomemu posłowi lub wreszcie przedstawicielowi okręgu, w którym zamieszkuje gość parlamentu, z prośbą o pozwolenie wejścia. Oczekując przeto przybycia uprzejmego deputowanego irlandzkiego, rozglądamy się po pięknych witrażach w ostrołukowych oknach hali centralnéj, po figurach św. patronów zjednoczonego królestwa, umieszczonych wysoko w framugach, wpośród sieci arabeskowych dekoracyi. Po sali elektrycznie oświetlonéj snują się mężczyźni, rozmawiając stłumionym głosem, jakby w kościele, bo wobec uroczystego gotyku, co zda się wyciągać ramiona ku ideologicznym, nadziemskim wyżynom, głośne słowo lub śmiéch poczytaćby trzeba za brak poczucia piękna, czy objaw gburowatości.

Cztery arterye wypływają z téj wspaniałéj sali: z nich — wprost wejścia korytarz do restauracyi i na balkon wiodący, z lewéj strony korytarz o półkolistém sklepieniu z przepięknemi freskami, przedstawiającemi pamiętne karty historyi, którym przeważnie wsuwają się dżentelmani, gdy przeciwległy w ciemnościach pogrążony i martwy. Prowadzi on do izby lordów.

Nie często można zdybać parów na obradach, bo rzadkie ich posiedzenia trwają zaledwie godzinę i ograniczają się do wymiany kilku zdań, zwykle pomiędzy dyktatorem lordów, margrabią Salisburym, a oponentami: hrabią Roseberym, hrabią Kimberley, lub lordem Herschell, przy nader nielicznym udziale członków. Bywało, że nie więcéj nad sześciu parów zasiadało na czerwonych fotelach safianowych. Trzeba silnéj przynęty, np. interpelacyi w sprawach zagranicznych, aby zwabić trzydziestu lub czterdziestu lordów. Kilka lat temu wszakże zdarzyło się, że około dwustu członków dało sobie *rendez-vous* w izbie, i nad tém fenomenalném zjawiskiem dziennikarze nie mogli wyjść z zadziwienia. Wielu lordów z dalekich stron zjednoczonego królestwa, których noga nigdy nie postała w parlamencie, zjawiło się w jego poważnych murach, aby uroczyście pogrzebać uchwalony przez izbę niższą irlandzki bil Gladstone'a. Władza i potęga tego ciała tkwi jedynie w kontrolowaniu działalności izby gmin, innemi słowy—w paraliżowaniu dzieł niekonserwatywnéj administracyi. A ponieważ przy

braku żywotności i inicyatywy nie dorosło ono do tego zadania, stąd wystawia się na ataki wielu polityków, których najwybitniejszym przedstawicielem jest lord Rosebery. Atoli po za parlamentem stoi naród, z którego krwi i kości naturalnym biegiem rzeczy wyrósł parlament angielski, i w gruncie parlament jest tylko wykonawcą woli narodu. Ile razy przeto społeczność da niedwuznacznie sankcyę ustawie uchwalonéj przez izbę gmin, lordowie schylają czoło przed wolą narodu. Jakoż nawet, niewzruszona przez pociski zasadniczych wrogów, forteca zachowawców musi ustępować i korzyć się wobec téj potęgi nad potęgami, jaką jest duch czasu.

Izba wyższa składa się około z pięciuset dwudziestu członków, rozpadających się na dwie kategorye: *lords spiritual*, t. j. dostojników kościelnych, i *lords temporal*, t. j. członków, których tytuł *eo ipso* upoważnia do fotelu w izbie, mianowicie parów Anglii, parów Wielkiéj Brytanii i parów zjednoczonego królestwa, tudzież członków obieralnych przez stan szlachecki na całe życie, lub na przeciąg jednéj kadencyi parlamentarnéj. I tak np. szlachta irlandzka wysyła do izby dwudziestu ośmiu dożywotnich członków z swego łona.

Z ramienia téjże izby wychodzą wszystkie ustawy odnoszące się do stanu szlacheckiego, do zmian heraldycznych, wreszcie do spraw honorowych, natomiast inicyatyw^ w kwestyach podatkowych i finansowych wogóle przysługuje izbie gmin. Reguła ta stała się prawem, nie zapisaném wprawdzie w kodeksie, ale tak silnie na filarach tradycyi wspartém, jak konstytucya angielska, ręką tradycyi, nie zaś filozofów lub mężów stanu spisana — w zbiorowym umyśle społeczności.

Już skutkiem tego przywileju, izba gmin ważniejszy stanowi czynnik w życiu społeczném i stokroć większy wywiera wpływ na bieg spraw publicznych. Powtóre, jako ciało obieralne przez szerokie warstwy i silnemi węzły z niemi splątane, pod każdym względem odróżnia się korzystnie od izby parów.

Z hali centralnéj przechodzimy do śnieżnéj rotundowéj salki, będącéj przedsionkiem izby. t. zw. *lobby*, gdzie panuje zupełna swoboda, uderzająca niemniéj w izbie saméj odrazu, i gwar rosnący w miarę interesu, jaki budzą rozprawy.

Wstąpiwszy stąd na jedną z galeryi „dla obcych", ogarniamy okiem wysoką salę w kształcie równoległoboku, przeciętego przez środek chodnikiem, który dzieli amfiteatralnie wznoszące się ławki, ciemną skórą powleczone. W środku, w pobliżu wejścia z północy uwydatnia się fotel pod baldachimem na wzniesieniu. W nim króluje *speaker*, czyli marszałek, wybiérany przez izbę i potwierdzany przez koronę. Urząd ten sprawuje obecnie poseł liberalny, Mr. Gully, i sprawu-

je tak dobrze, że nie traci nawet przez porównanie z dawnym marszałkiem, powszechnie szanowanym dla swéj taktowności. Z sędziowską baranią peruką, spadającą na ramiona, z poważną wygoloną twarzą o wyrazistych rysach i zdrowéj karnacyi, Mr. Gully wyobraża doskonale głowę ciała ustawodawczego. Głosuje on tylko w wypadku, gdy się liczba wotów za i przeciw równoważy.

U stóp jego rozciąga się długie biurko, gdzie zajmuje miejsce trzech urzędników izby, również w staroświeckich perukach, kontrolujących listę poselską, odbiérających zapowiedzi interpelacyi oraz odczytujących bile. Większą część biurka pokrywają księgi, a na skraju mieści się złocista laska marszałkowska. Z chwilą gdy *speaker* opuszcza fotel, pojawia się w izbie urzędnik i umieszcza ją poniżéj biurka. Urzędnik ten, t. zw. *deputy chairman*, w czarnych pończochach, trzewikach z klamrami i szpadą przy boku pełni funkcye policyjne, a do tych należy także wyprowadzanie uchybiających godności marszałka posłów. Odbywa się to zaś nie w doraźny, grubiański sposób, lecz poprostu przez położenie ręki na ramieniu.

Na galeryi po za fotelem marszałka zasiadają reporterzy, na przeciwległéj galeryi publiczność wpuszczona za kartami posłów, dwie boczne galerye zaś przeznaczone dla członków izby wyższéj. W gronie gości nie dostrzegamy wcale kobiét. Lecz nie są one wykluczone z murów parlamentu; wolno im przysłuchiwać się rozprawom z ubocznéj galeryi, oddzielonéj szklanemi podwojami od izby.

Po prawicy marszałka zajmują miejsca unioniści, t. j. torysi i liberalni secesyoniści, po drugiéj stronie opozycya, liberalno-radykalnych żywiołów i partyi irlandzkiéj. Nie mając wyznaczonych sobie miejsc, posłowie obozują gdzie się da, w celu zarezerwowania sobie siedzenia, składając na niém kapelusz. Sala dzisiaj wydaje się nie dość obszerna. Istnieje projekt rozprzestrzenienia jéj, napotykający na trudności architektoniczne. Lecz nic do tego nie nagli, bo frekwencya posłów jest wogóle nieznaczna. Posłowie, obecni na posiedzeniu, rekrutują się przeważnie z polityków chcących zabrać głos w danéj kwestyi, reszta przenosi rozmowę w „*lobby*”, w fajczarni lub na tarasie. A tłómaczy się to mianowicie tém, że tok prac parlamentu z góry tak ukartowany, a zatém przewidziany, iż traci na interesie, nie przynosząc wtajemniczonym posłom żadnéj niespodzianki. Zjawiają się oni przy głosowaniu, które odbywa się w ten sposób, że posłowie, opuściwszy miejsca, przechodzą obok krzesła marszałka, głosujący za wnioskiem z prawéj strony, przeciwnicy z lewéj. Wynik głosowania oznajmia marszałkowi czterech członków. Że grono poselskie nacechowane jest pewną opieszałością, dowodzi fakt, że partye wybiérają z swego łona

posłów, t. zw. naganiaczy *(whips)*, których zadaniem jest uprzedzać kolegów o walnych posiedzeniach i wogóle czuwać nad tém, by skutkiem nieobecności pewnéj liczby posłów nie przegłosowano ich obozu.

Liczba członków izby gmin wynosi ogółem 654. Z tych Anglia wybiéra 496 delegatów, a mianowicie hrabstwa 159, miasta 333, a uniwersytety 4. Londyn wysyła do izby 16 posłów. Szkockie hrabstwa mianują 30 posłów, a miasta 23. Na Irlandyę przypada 105 posłów, 64 przedstawicieli hrabstw, 39 miast i 2 uniwersytetu dublińskiego. W Anglii przypada jeden poseł na 60 tys. mieszkańców, w Szkocyi na 57 tys., a w zubożałéj Irlandyi, gdzie liczba wyborców jest stosunkowo mniejszą, na 93 tys. mieszkańców. Prawo wyborcze wykazuje w szczegółach rażące anomalie, które interesowana w tém partya liberalna pragnie usunąć, lecz zagnieździły się one tak głęboko, iż wiele upłynie czasu, zanim powolnie pracująca machina ustawodawcza zdobędzie się na reformę.

Jakim sposobem zdobywa się mandat poselski, opowiada między innymi pisarzami George Eliot w książce: „*Felix Holt the Radical*". To pewna, że zasługi i zdolności nie odgrywają najwydatniejszéj roli. Kandydaci przeróżnemi sposobami werbują sobie kréski; szafują nietylko przyrzeczeniami na przedwyborczych *meeting*'ach, lecz także piéniędzmi. Posyłają po swych popleczników powozy, zdobywają głosy po szynkach za pośrednictwem płatnych i skorych do kieliszka ajentów a nawet arlekinów, bokserów i ulicznych szarlatanów. Mimo że partye parlamentarne pokrywają koszta wyborcze w poszczególnych wypadkach z swéj kasy i w wydatki nie wglądają zbyt ściśle, jeśli nie przenoszą one pięciu lub sześciu tys. f., posłowie wydają z własnéj kieszeni niemniejsze kwoty. Lubo piéniądz jest tu nerwem rzeczy, posłowie pozostają w ścisłéj zależności od wyborców, muszą być wyrazem ich zapatrywań i tłómaczami ich postulatów. Nie wielu znajdzie się w tém gronie, potężną indywidualnością wyposażonych jednostek, któreby opanowywały umysły i kierowały niemi dowolnie. Przy wyborach zaś nie chodzi o dogmaty, teorye i abstrakcye, lecz o konkretne, żywotne kwestye. Kandydaci przeto nie mają wielkiego pola do sofistycznych wykrętów, lecz są zmuszeni określić swe stanowisko jasno, oświadczyć się za postulatami wyborców lub przeciw nim. Zaszczytne komentarze, w jakie politycy zagraniczni zaopatrują wzmianki i uwagi o prastarym parlamencie angielskim, spływają na wyborców, na naród, w którego ręku parlament spoczywa i gnie się jak wosk.

W zależności swéj od narodu poszła izba gmin nawet zadaleko. Nietylko bowiem wykonywa wolę jego, lecz schlebia mu, uprzedza życzenia i narzuca mu ustawy, o które on się nie dopomina. A wszystko

to dzieje się w celu zaskarbienia sobie łask i utrzymania się u steru rządu. Gabinet zachowawczy nie różni się zaś wiele od gabinetu liberalnego pod tym względem. Obie partye, będąc u steru rządu, pragną poszczycić się długim szeregiem ustaw, albowiem część wyborców zapalczywszych i politykomanią dotkniętych zda się oczekiwać, aby izba nieustannie wypracowywała nowe bile. Tymczasem ciało to powołaném jest głównie do kontroli administracyi i budżetu oraz do dysponowania kwotą płynącą do skarbu państwa z podatków „królowéj"; po za tém parlament angielski ma mniejszy zakres działalności, niż ciała prawodawcze innych krajów, albowiem na téj ziemi indywidualistów i *self-help*'u inicyatywa w wielu sprawach wychodzi z łona narodu i wiele dzieł, podejmowanych gdzieindziéj przez rząd, wchodzi tutaj w życie bez współudziału a nawet często bez opieki administracyi. Gdy rząd z przyzwoleniem izby przekracza te granice zakréślone przez tradycyę, jak to obecnie się dzieje i wdziéra się w sferę czynności samego społeczeństwa, samowolnie rozszerzając swą władzę, wytwarza się zamieszanie w odnośnych dziedzinach. Panuje téż przekonanie, które niedawno minister sir Michael Hicks-Beach wyraził *ex cathedra*, że rząd nie powinien mieszać się w kwestye socyalne, nie powinien kusić się o pośredniczenie pomiędzy zwaśnionym kapitalizmem a warstwą robotniczą, gdyż byłoby to połączone z poważném niebezpieczeństwem dla kraju.

Nikt nie zarzuci izbie, by nie postępowała z czasem. Dwa obozy, na jakie się ona rozpada, różnią się — jeśli przyjrzymy im się z perspektywy — tylko w tém, że postępowcy wyprzedzają zachowawców o ćwierć wieku. Obecnie nawet téj różnicy nie można się dopatrzéć i miana: konserwatysta i radykalista, samo przez się elastyczne, dzisiaj fałszywe dają wyobrażenie o charakterze tych obozów. Bo wszechwładni torysi występują z wnioskami tak postępowemi, że nie godzą się na nie posłowie liberalni. Uganiając się ślepo za popularnością u mas, zapomnieli torysi o przyrzeczeniach rozsiewanych w czasie przedwyborczym, zaparli się wielu swych zasad, a ustawodawstwo obecnéj administracyi nieraz nosi cechę niemal socyalistyczną.

Obrady rozpoczynają się po południu, bo posłowie, nie pobiérający dyet, mają swe poszczególne interesy. Zwykle dopiéro pod wieczór ożywiają się sesye, a kończą z uderzeniem dwunastéj, jeśli przewódca izby nie przedłuży posiedzenia, które wówczas przeciąga się nawet do białego dnia. W niektóre dni wnioski z ramienia rządu stoją na porządku dziennym przed prywatnemi. Chcąc złożyć wniosek u laski marszałka, poseł musi wpierw postarać się o pozwolenie izby, a jeśli

dotyczy on religii, handlu, etatów państwowych, albo podwyżki podatków, winien pozyskać zatwierdzenie osobnéj komisyi.

Istnieje kilka kategoryi komisyi, z których najważniejszą jest komisya złożona z całéj izby. Przewodniczy jéj *ad hoc* wybrany poseł, a deputowanym przysługuje prawo zabiérania głosu kilkakrotnie. Zwykle komisye przywołują ekspertów, składających zeznania pod przysięgą, Anglicy bowiem, lubujący się w faktach i cyfrach, zanim wyrobią sobie zdanie w jakiéj materyi, usiłują zebrać jaknajwięcéj jaknajściślejszych informacyi.

Da się to spostrzegać na każdym kroku wogóle, a szczególnie wyraźnie w parlamencie, gdzie członkowie nie przemawiają w celu popisów retorycznych, lecz ożywieni chęcią działania, mówią poprostu, co mają do powiedzenia. Na wstępie zaś mówca zwykle spowiada się z swego doświadczenia, wskazuje źródła z jakich czerpie swe wiadomości, by wzbudzić zaufanie słuchaczy i słowom swym nadać większą wagę. Z drugiéj strony uderza brak zmysłu spekulacyjnego i polotu myśli w ich fabryce umysłowéj.

Aby dać pewne wyobrażenie o nastroju izby i zilustrować drobiazgowość, ścisłość i kupiecki zmysł przedstawicieli narodu, przytoczę drobny fakt. Gdy pewien poseł zainterpelował ministra handlu o most zbudowany na wybrzeżu marokańskiém w pobliżu latarni morskiéj, utrzymywanéj kosztem mocarstw interesowanych w żegludze, wywiązała się długa i ożywiona dyskusya. Prawie wszyscy obecni posłowie brali w niéj udział, a najłaskawszy posłuch znalazł członek, który zwiedzał osobiście tę miejscowość i szczegółowo krytykował kosztorys. Natomiast ministra spotkały ostre wymówki, bo, lubo o interpelacyi uprzedzony i w plikę dokumentów uzbrojony, mniéj dokładnie był z tą sprawą poznajomiony.

Wogóle debaty toczą się w oschłym tonie, przedmiotowo, bo izba składa się przeważnie z ludzi praktycznych, kupców, którzy wiedzę swą czerpią z wielkiéj księgi życia. Gotycka sala, surowa w wyglądzie, pozbawiona barwności i kosztownéj ornamentyki, jak skromna kaplica protestancka, robi w czasie sesyi wrażenie klubu, w którym grono akcyonaryuszów naradza się nad biegiem spraw syndykatu. Pomimo pewnych ceremonii i uroczystéj powierzchowności *speaker*'a, posłowie nie krępują się względami towarzyskiemi. Wielu w kapeluszach na głowie spoczywa w pozach niesalonowych, a przykład daje im ława ministeryalna, zwłaszcza *leader*, Mr Arthur Balfour, który przesiaduje zwykle godziny, wsunięty głęboko w ciemne poduszki siedzenia, z rękoma w kieszeniach i nogami wspartemi o biurko na wysokości głowy.

Mr. Arthur Balfour uchodzi za polityka o ładnéj powierzchowności, zapewne dzięki bardzo wysokiemu czołu, które *vox populi* poczytuje, bodaj niesłusznie, za znamię rozumu. W tym wypadku frenologia nie mija się z prawdą i jeśli powyższe twierdzenie przyjmiemy za aksyomat, rozum przywódcy torysów wypadnie nam uznać za nieograniczony, bo czoło jego przy dość łyséj czaszce zda się gubić na metafizycznych wysokościach, tak jak oryginalne i ciekawe jego dzieło: „*Defence of Philosophic Doubt*". Jest on dość wysoki, szczupły i wątły, z twarzą pociągłą, zdradzającą brak zdrowia. Mimo to, jako rodowity Szkot, oddaje się z zapałem i z powodzeniem szkockiéj grze *golf*, o któréj skréślił rozprawę. Oczy przysłonięte binoklami, twarz odzwierciedlająca uczucia, jak u ludzi o wydelikatnionym systemie nerwowym i zwykle nacechowana zastanowieniem. Często gawędzi z kolegami, lecz gdy słucha, skupienie myśli maluje się jaknajdobitniéj na jego rysach, czasem zrywa się na nogi i gromką daje odprawę oponentowi. Wogólc ma bardzo przyjemny sposób mówienia, znamionujący dżentelmana, i uchodzi za niepospolitego mówcę, posługującego się dyalektyką wykwintną, i za polityka myślącego jasno i posiadającego głębokie przekonania. Wyróżnia się nader korzystnie od innych polityków, jak np. Harcourta lub Chamberlaina, tém, że dzięki szerokości umysłu i obiektywności nie popada zbyt nisko w kałużę partyjnych względów i nie rzuca się na przeciwników ze szpilkami. Widocznie małoduszna ta taktyka jest mu wstrętna, bo gdy poseł wystąpi przeciw niemu z zarzutami, popłacającemi na przedwyborczych *meeting*'ach wobec bezkrytycznych słuchaczy o owczych instynktach, można z ust jego posłyszéć nawet bardzo nieparlamentarne słowa, które nad Sekwaną byłyby powodem pojedynku. Jako *leader of the house of Commons*, bezwzględnie krępował ręce opozycyi w czasach, gdy była groźną i wojowniczo usposobioną, obecnie zadanie ma stosunkowo łatwe, a nie ulega wątpliwości, że zdolny mu sprostać.

Rozpoczął on karyerę, jako prywatny sekretarz swego wuja, Salisbury'ego, i w podobnym charakterze był wysłany przez Beaconsfielda do Berlina w r. 1878-ym. Późniéj sprawował urząd ministra dla Szkocyi, daléj przez lat sześć ministra dla Irlandyi z głosem w radzie ministeryalnéj (od r. 1886 do 1892), a po zgonie przewódcy torysów w izbie gmin i zarazem izby, Mr. Smith'a, objął to zaszczytne stanowisko, jako pierwszy lord skarbu. Po wyborach w r. 1892, walczył na czele swéj partyi z Gladstone'm przeciw jego *home-rule*'owi i utrzymał się na naczelném stanowisku, na którém zaskarbił sobie szacunek nawet swych wrogów politycznych. A że posiada zupełne zaufanie premiera, dowodzi fakt, iż okolicznościowo zastępuje go w ministeryum spraw zagranicznych. Jakoż niewątpliwie pięćdziesięcioletni ten polityk ma przed

sobą przyszłość i nic bodaj nie dzieli go od prezydentury gabinetu, prócz pana Chamberlain'a.

Przy boku jego spotykamy często brata jego, Geralda Balfour'a, sekretarza stanu dla Irlandyi. Młodszy i wyższy, z siwizną przypruszonym włosem, z ujmującą twarzą poety o celtyckim charakterze, pod wielu względami przypomina brata i odbija od innych ministrów młodzieńczością, skromnością i niemal kobiécą łagodnością. W polityce jest to *homo novus:* dopiéro w obecnéj administracyi wszedł w skład parlamentu i odrazu zasiadł na ławie ministrów. W sferze rządowéj bowiem panuje nepotyzm, który wszakże w oczach społeczności wydaje się naturalnym. Nic atoli wynika z tego, aby p. G. Balfour nie podołał zadaniu, albo urząd jego był synekurą. Teka, powierzona mu, dostaje się zwykle w ręce polityków ambitnych, czynnych i zdolnych, bo sprawy irlandzkie zaprzątają prawie ciągle uwagę izby, a grono krewkich przedstawicieli Zielonéj wyspy każdéj chwili gotowe zbudzić ministra ze spoczynku na wawrzynach. Skutkiem braku rutyny, Mr. Gerald Balfour popełnił *faux pas* przez swą.. szczerość, lecz po tym wstępie nauczył się liczyć ze słowami. Administracya jego zaznaczyła się złotemi głoskami dla Erynu; bil ustanawiający lokalny samorząd w Irlandyi przyjęli deputowani irlandzcy wszystkich odcieni łaskawém okiem, gdyż stanowi on pierwszy wielki krok do *home—rule'u.* Zapewne nie mylimy się w przypuszczeniu, iż ustawę tę należy zapisać raczéj na dobro pana Artura Balfour'a, gdyż miał większą od brata sposobność wystudyować stosunki irlandzkie, a w epoce, gdy piastował urząd ministra dla Irlandyi, sam przedłożył projekt samorządu miejscowego w tym samym duchu zredagowany. Obecnie przeprowadzony *Local Government bil* zda się téż poprawną edycyą dawniejszego a niefortunnego bilu.

Z dwoma siostrzeńcami premiera sąsiaduje ociężały *home secretary,* czyli minister spraw wewnętrznych, *sir* Matthew Ridley, wierne echo gabinetu, figura politycznie blada, wraz z ministrem finansów, dżentelmanem o poważnéj, inteligentnéj fizyognomii. T. z. kanclerz szachownicy (minister skarbu), *sir* Michael Hicks-Beach, konserwatysta w każdym calu w guście Salisbury'ego, należy niewątpliwie do wybitniejszych członków gabinetu, aczkolwiek nie ambitny, trzyma się na uboczu. W roku 1880 już powierzył mu Salisbury tekę finansów, a w sześć lat późniéj irlandzką, lecz zrzekł się jéj wskutek choroby. W łonie gabinetu reprezentuje on pierwiastek czysto zachowawczy, stąd niechętném spoziera okiem na ministra kolonii, który wybitną gra rolę i wniósł do rady niezgodne z zasadami torysów poglądy. Jak okazuje się z napół przezroczystych uwag jego, wplątanych w przemówienie w okręgu bristolskim, jaki reprezentuje, przychyla się on do zdania, które dzieli

z nim niejeden minister, że „jeśli partya konserwatywna nie pozbędzie się pana Chamberlain'a, p. Chamberlain pozbędzie się partyi konserwatywnéj.” Wszelkie tendencye i zakusy socyalistyczne mają w nim zaciętego wroga, a wywody jego nie mniéj jak potępienie wygłoszone na *trades-uniony*, podkopujące systematycznie przemysł i dobrobyt kraju, znalazły sympatyczny posłuch nawet w kołach liberalnych.

Do grupy przeciwników p. Chamberlain'a należy także minister dla Indyi, lord George Hamilton, który nie potrafił zaskarbić sobie łaski ogółu, tudzież inny pan z panów, margrabia Lansdowne. Nie ma on długiéj przeszłości politycznéj, lecz, jako minister wojny, zdobył sobie tytuł do uznania projektem reformy wojskowéj, któréj poprzedni gabinet, pędząc nikły żywot z dnia na dzień, zaniedbał wypracować. A popularny bil jego jest tylko wstępem do szeregu daléj sięgających i koniecznych zmian w ustroju i całokształtcie armii.

Innéj kategoryi mężem stanu jest Mr. Goschen, minister marynarki. Pierwszy lord admiralicyi strawił przeszło 30 lat w usługach państwa i jedynie o własnéj sile wspiął się na ten szczebel znaczenia. Wraz z ministrem kolonii wniósł on do gabinetu element liberalny; obadwaj zaliczają się do partyi liberalnych ministrów, zbratanych z torysami i rozpływających się w wodach konserwatyzmu. Jak zdradza jego nazwisko, pochodzi on z krwi teutońskiéj, z rodziny kupieckiéj i sam, zanim poświęcił się służbie publicznéj, stał na czele znacznéj firmy, późniéj zaś był jednym z dyrektorów banku angielskiego. Trudno przeto o odpowiedniejszą głowę ministeryum, którego etat wynosi dwadzieścia pięć i pół miliona f. szt. Zresztą piastując poprzednio ten urząd, dał dowody niemałych zdolności administracyjnych. Jako mówca, ani świetny ani porywający, nie ma wszakże pomiędzy wysokimi urzędnikami sobie równego, a będąc zarazem wytrawnym rutynowanym politykiem, stanowi pierwszorzędną figurę na arenie parlamentarnéj oraz poważny filar gabinetu.

Już w r. 1866 zasiadał w gabinecie Russell'a i Gladstone'a, który w pięć lat późniéj powierzył mu tekę admiralicyi. W kołach dyplomatycznych Europy imię jego zapisało się także, bo w r. 1880 posłował do Konstantynopola w specyalnéj misyi, poprzednio zwiedziwszy wielkie ogniska polityczne Europy .w celu utworzenia koncertu mocarstw, który zajął by się wprowadzeniem w życie paragrafów traktatu berlińskiego, pozostałych martwą literą. Za inicyatywą p. Goschen ambasadorowie w Carogrodzie wystosowali notę do rządu greckiego, zalecającą przyjęcie warunków, na jakie Porta ostatecznie się zgodziła. Na mocy téjże uchwały pozbawiono Grecyę jednéj trzeciéj terytoryum, przyznanego jéj przez kongres berliński. Lecz według powszechnego

twierdzenia, jedynie dzięki niezłomności pana Goschen udało się nakłonić Turcyę do podpisania tego dokumentu i doprowadzić spór graniczny do końca.

Gdy projekt usamowolnienia Irlandyi spowodował przełom partyi liberalnéj, Mr. Goschen, dotąd wiérny Gladstone'a poplecznik, wyłamał się z pod jego zwierzchnictwa, wytykając wadliwości irlandzkiego bilu z punktu widzenia finansisty. Grupa liberalnych secesyonistów zamierała stopniowo naturalną śmiercią, p. Goschen jednakże wyszedł zwycięzko z urny wyborczéj i w r. 1886 został ministrem finansów w gabinecie Salisbury'ego, tak użytecznym, że dowódca torysów nie wykluczał go nigdy z grona ministrów. Atoli wszystko przemawia za tém, że nie posiadając w sobie materyału na leader'a, stanął on u granic swéj karyery.

Postać jego, wyrastająca ponad poziom przeciętnego sekretarza stanu, blednie i zaciera się na widowni politycznéj wobec wszechpotężnéj, dominującéj indywidualności ministra kolonii, p. Józefa Chamberlain'a, który w konstelacyi parlamentarnéj świeci potężnym blaskiem i ani na chwilę nie schodzi z świecznika. Jest on oryginalném zjawiskiem w angielskiéj sferze politycznéj, a na tém więk szą zasługuje uwagę, że jest kandydatem na przyszłego premiera. O nikim nie pisze się i nie mówi tyle, co o nim, nikt nie ściąga na siebie więcéj gromów, co już dowodzi, że mamy w nim osobistość nieposlednią, a mimo te gromy rośnie w znaczenie szybciéj od innych polityków z przyszłością.

Mr Joseph Chamberlain, wysokiego wzrostu, dobrze i harmonijnie zbudowany, o ruchach elastycznych i zgrabnych, nosi swe lat 62 z pozazdroszczenia godną swobodą. Ciemne włosy, ponad uszami nieco siwiejące, przyczesane zawsze fryzyerską szczotką. Ubiera się téż z widoczną starannością, jak przystoi na dżentelmana, i zajmuje miejsce na ławie ministrów w długim, ciemnym surducie z nieodzownym storczykiem w butonierce, który co rano odbiera z swéj posiadłości pod Birmingham. Należy bowiem do największych w Anglii hodowców tych oryginalnych kwiatów. Twarz jego owalna, czerstwa, zdrowa, z zbyt długim nosem, do któréj monokl w lewe oko wtłoczony dobrze pasuje, uderza i zastanawia widza odrazu. Z rysów jéj bowiem bije pewność siebie, ambicya, bezczelność, lisia przebiegłość i zajadłość, i zaiste nieraz odgryzał się swym licznym, nieubłaganym wrogom, jak lis przez psiarnię okolony. Mimo wszystkie polowania wszakże, nie zaszczuto tego lisa, a dziś gdy zasiadł na wysokim pagórku i wieńcem się cierni i głogów otoczył, tylko głuche słychać ujadanie psiarni, gotującéj się do nowego ataku w stosownéj chwili.

Jest w charakterze jego struna zapalczywa i napastnicza, która dźwięcząc przy każdéj sposobności sprawia, że słowa jego nie przebrzmiewają bez echa, lecz wzbudzają całą skalę uczuć. Teka ministeryum kolonii należała dawniéj do podrzędnych; otrzymywali ją politycy bez wybitnych zdolności, aczkolwiek nastręczała zawsze sposobność do odznaczenia się politykom przedsiębiorczym. Z chwilą wszakże, gdy mocarstwa kontynentalne poczęły ubiegać się o rozgałęzienie swych zamorskich posiadłości, lub o zdobycie stacyi dostarczających węgla okrętom, większa spadła odpowiedzialność na naczelnego administratora „Większéj Brytanii." Powtóre w miarę jak znaczniejsze kolonie, rozwijając się bujnie, dochodzą do poczucia swéj siły i przybierają wygląd państw samodzielnych, niewiele troszcząc się o ziemię ojczystą, zadaniem ministra stało się w dodatku czuwać, łączyć i przyciągać. Ambitny Mr. Chamberlain zrozumiał, iż otwiera się przed nim tutaj szerokie pole, wprawdzie zaniedbane, ale właśnie tém wdzięczniejsze dla sprytnego i łaknącego popularności męża stanu. I rzeczywiście po objęciu kierownictwa spraw kolonialnych przez niego, głośny zatarg z Transwaalem oraz spór graniczny z Francyą w ziemiach do Nigru przylegających wystawiły go na ogniową próbę. Przypisywana mu powszechnie ambicya i przedsiębiorczość budziły i budzą w społeczeństwie widocznie instynktowny lęk, by nie wplątał on W. Brytanii niebacznie w awanturniczą sprawę, bo gdy dr. Jameson wtargnął zbrojnie a bezprawnie w granice rzeczypospolitéj boerów i rozpoznano w tém rękę afrykańskiego Napoleona—Rhodesa, natychmiast nasunęło się podejrzenie, czy Mr. Chamberlain nie kryje się po za pokrewnym sobie z charakteru Rhodesem. Komisya parlamentarna, roztrząsająca tę sprawę, oczywiście nie skompromitowała ministra kolonii, lecz występując w niéj jako świadek, Mr. Chamberlain starał się osłonić i wydobyć z matni Rhodesa, tak samo jak czynił to po za obrębem izby, a oczernić prezydenta Krügera, stając na gruncie téj wpływowéj części społeczeństwa, która kupiecką, utylitarną miarą mierzy tę sprawę. Nasuwa się rownież pytanie, czy ci finansowi *Raubritterzy*, grasujący jak szarańcza w Rhodesii, Transwaalu i kolonii Przylądkowéj, byliby wogóle ośmielili się na ten krok, w skutkach opłakany, gdyby ministrem kolonii był kto inny, a nie zapalczywy „Joe", gdyby nie znali go z hołdowania zasadzie: cel uświęca środki, gdyby wreszcie Mr. Chamberlain w rozmowie z pełnomocnikiem Rhodes'a był okazał się niedwuznacznie wrogim wszelkim nielegalnym metodom i pokątnym knowaniom. Nie ulega wątpliwości, że sprzyja on zamiarom Rhodesa; jego akcya dyplomatyczna zdaje się wyzywać Krügera na rękę i prowokować do kro-

ków, któreby usprawiedliwiły gwałtowną represyę lub zagładę rzeczypospolitéj.

Lecz Mr. Chamberlain nie ogranicza się na działalności w charakterze ministra kolonii; wycisnął on swe piętno na ustawach ekonomicznych obecnego gabinetu. Kwestye społeczne bowiem zaprzątały jego uwagę szczególnie już w zaraniu jego karyery, którą rozpoczął w Birmingham, jako rajca a potém burmistrz, trzykrotnie wybierany. W téj epoce zupełnie odmiennie przedstawiał się oczom społeczeństwa. Minister, zajmujący dzisiaj miejsce obok torysów, występował wonczas, jako skrajny radykalista, zarówno przeciw Salisbury'emu, jak izbie lordów i wołał: „zbyt długo byliśmy narodem ujeżdżanym przez parów.” Jak daleko szedł on w swych przekonaniach, maluje fakt, że znany socyolog i socyalista Henry George przeznaczał „obywatela Chamberlaina na pierwszego prezydenta rzeczypospolitéj brytyjskiéj. Obrany posłem przez podbitych swadą i wdzięcznych za uskutecznione amelioracye w ustroju municypalnym obywateli miasta Birmingham, zaciągnął się w szeregi Gladstonistów, gdzie uważano go za głowę radykałów o jaskrawéj barwie. Stał się bowiem orędownikiem ich poglądów w kwestyi przymusowego wykształcenia, wyswobodzenia szkolnictwa z pod wpływu władz duchownych, a kongregacyi sekciarskich z pod hegemonii kościoła państwowego. Po wyborach w r. 1880 ponownie wysłany do izby z Birmingham wraz z słynnym demokratą Brightem, otrzymał w gabinecie Gladstone'a tekę ministeryum handlu wraz z głosem w radzie ministeryalnéj, a żywioły postępowe upatrywały w nim następcę Gladstone'a i pierwszego radykalnego prezesa gabinetu. Ale w r. 1886 nastąpił rozbrat, przypisywany względom prywatnéj natury, a mianowicie okoliczności, że „wielki starzec” nie powierzył mu teki irlandzkiéj. *Vox populi* przeznaczał go na ten urząd, bo Mr. Chamberlain, jak sam się chlubił, był zwolennikiem samorządu przed Gladstonem, autorem projektu daléj idących ulg i praw dla uciemiężonéj wyspy. Dotąd wyznaje on gołosłowne przekonanie, że „uspokojenie umysłów w Irlandyi zawisło od ustępstw rządu.” Czyny jego wszakże zadają kłam słowom. Wszystkie bowiem paragrafy bilu Gladstone'a znalazły w nim zaciętego, nieubłaganego wroga, opozycya stawiana Gladstonistom rozciągnęła się do ustawy agrarnéj dla Irlandyi oraz innych wniosków, figurujących w programacie liberałów, i stała się systematyczną. Jakoż partya liberalnych unionistów, któréj przewodniczy p. Chamberlain, odkąd lord Hartington wraz z tytułem księcia Devonshire odziedziczył fotel w izbie lordów, zbliżała się coraz więcéj do torysów, traciła cechy charakterystyczne i racyę bytu. Tym sposobem Chamberlain dostał się do władzy; torysi bowiem, objąwszy rządy po

liberałach, nie mogli wykluczyć z rady ministeryalnéj posła, który oddał im cenne usługi i mógł stać się groźnym.

Maksyma Ibsena: „dzielnym mężem jest ten, kto opiera się wyłącznie na sobie"—ma zupełne zastosowanie w tym wypadku, bo „Joe" jedynie dzięki swéj niespożytéj energii, swéj ambicyi, wierze w siebie, nakłaniającéj innych do uległości, wreszcie swéj świetnéj wymowie wspina się na coraz wyższe szczeble dostojeństw, a w jakiebądź wstąpi środowisko, jako urodzony wodzirej nadaje mu swój ton, mimo że torysi albo spozierają nań z nieufnością, albo sarkają na to, że pokierował ustawodawstwo obecnéj administracyi w koryto socyalistyczne, a opozycya zionie nienawiścią ku „Judaszowi." Pod względem etycznym niżéj stojąc od innych posłów, przerasta ich niemal wszystkich zdolnościami, góruje nawet nad p. Balfourem swadą i autokratycznėm zacięciem, które zda się mieć źródło w wygórowanym egotyzmie.

Doskonale scharakteryzował go jeden z poważnych organów liberalnych w tych słowach: Mr. Chamberlain jest rzeczywiście najznakomitszym mówcą; nie było nikogo, któryby go przesadził, a świetność dyalektyki jego wzrasta nieustannie. Dostarczył on wyczerpującéj wiązki argumentów prawie z każdego punktu widzenia w polityce: za *home-rule'm* i przeciwko usamowolnieniu Irlandyi, za unicestwieniem izby lordów i zachowaniem jéj, za rozłączeniem spraw poszczególnych kościołów i przeciwko dążnościom separacyjnym. Określił on konserwatyzm ze stanowiska radykalizmu i naodwrót radykalizm ze stanowiska konserwatyzmu, podjął kolejno każdego z wybitnych mężów stanu: Gladstone'a, Salisbury'ego, ks. Devonshire, Goschen'a i innych i wystawił ich naprzód jako dyabłów, potém jako aniołów i *vice versa*. Postulaty, które przed laty dziesięciu były jądrem demokracyi i miały zawieść ją do ziemi obiecanéj, obecnie stały się w jego oczach halucynacyami chorych umysłów.

Na tle politycznėm postać jego uwydatnia się szczególnie i zarysowuje w liniach śmiałych, acz nie tak czystych, jak osobistość pana Balfoura. Przywódca izby—to mąż z pnia konserwatywnego wyrosły i instynktownie sympatyzujący z możną warstwą społeczeństwa, dżentelman o wysokiéj kulturze umysłu z odcieniem filozoficznym, natomiast Joe to „komiwojażer polityczny", wiecznie pracujący łokciami, którego jedyną busolą zda się być osobisty interes. Lecz potęgą umysłu i siłą woli ujarzmił on grono polityków u steru rządu stojących, obywateli miasta Birmingham zamienił w powolne sługi i, mimo zapory niechętnych żywiołów, pnie się na szczyt władzy, na dyktatorskie stanowisko Salisbury'ego.

Gdyby dotąd zasiadał po lewicy marszałka, niezawodnie dzierżyłby w swych ręku spuściznę po Gladstone'ie, był nadzieją partyi liberalnéj, rozbitéj po dotkliwéj porażce w ostatnich wyborach i pozbawionéj głowy. Daje się czuć w szeregach opozycyi wielki brak męża opatrznościowego, któryby wyprowadził bojowników z ciasnego pola partyjnych utarczek, zagrzał i podniósł ich ducha, wzniósł ożywczy promień światła w anemiczny liberalizm. Tym mężem niejest sir Wiliam Harcourt, ex-minister zasłużony, polityk rutynowany i dzielny szermierz parlamentarny, lecz niepopularny i pozbawiony téj iskry, co wybitnego męża zamienia w władcę mas, w słońce rzucające blaski na umysły. Łódź jego osiadła na mieliznach partyjnych.

Jednakowoż liczne posiada on tytuły do wdzięczności i uznania ze strony kół liberalnych, a najgłębiéj zapisał się w dziejach rozwoju społeczeństwa w roku 1894-ym, gdy jako minister skarbu przedłożył izbie budżet, ustanawiający podatek spadkowy (*death duties*) unormowany według realnéj, osobistéj własności, a wyłączający proletaryat oraz szerokie warstwy klasy średniéj, w walce o byt upośledzonéj, od podatku dochodowego. Śmiały ten krok, który wywołał sensacyę, przyczynił się niezmiernie do tego, że po ustąpieniu Gladstone'a wyniesiono go na czoło liberałów w izbie niższéj. Grono skrajnych radykalistów nawet pragnęło za inicyatywą p. Labouchere'a, aby objął miejsce po Gladstone'ie, o którém podobno marzy oddawna. Stąd, gdy wybór padł na lorda Rosebery'ego, Harcourt, dotknięty w swéj ambicyi, dał mu uczuć swą niechęć, tak że ostatecznie niewczesny antagonizm doprowadził do otwartego zerwania stosunków pomiędzy nimi i przyczynił się do abdykacyi Rosebery'ego. Pomimo wszakże, że Harcourt jeden posiada odpowiednie kwalifikacye na następcę hrabiego-radykała i jako przywódca liberałów w izbie gmin tak wielką ma odpowiedzialność, że *de facto* jest wodzem partyi liberalnéj (*National Liberal Federation*), ociąga się ona z nominacyą leader'a, z czego okazuje się, że Harcourt nie zdołał zaskarbić sobie względów w szerokich kołach. Możnaby przyjść do innego wniosku, bo Harcourt zaprzedał swą duszę partyi, płynie z prądem opinii kół liberalnych, a zdolność wchodzenia w kompromisy, cechującą Anglików wogóle, posuwa do takich granic, że sam z sobą staje w sprzeczności. Jest on w całém tego słowa znaczeniu *a party-man*.

Niestrudzony mówca, zawsze gotów uchylić przyłbicę do walki, podbija słuchaczy dowcipem i trafnością swych uwag, które przypadają do smaku temu poważnemu ciału prawodawczemu, zawsze skoremu do śmiechu.

Rozglądając się po sali obrad, figura jego, imponująca rozmiararami, wpada w oko. Z cylindrem na głowie, siedzi rozparty na pierwszéj ławie naprzeciwko członków gabinetu siedmdziesięcioletni mężczyzna pełen życia, a gdy wda się w pogawędkę z sąsiadem, jowialny uśmiech krasi jego szpetne, niesympatyczne, księżycowe oblicze.

Obok niego — grono dawnych ministrów liberalnych: przystojny ex-minister wojny, *sir* Henry Campbell-Bannerman, cieszący się tak wielkiém szczęściem, że proponowano go na marszałka izby, daléj Mr. Asquith, energiczny adwokat, zawsze namaszczony, zbyt pedantyczny, były *home secretary*, zagorzały wielbiciel Rosebery'ego, wreszcie wysoki, szczupły, ascetyczny ex-minister dla Irlandyi — John Morley, jeden z niewielu dziennikarzy i publicystów, wliczonych w poczet deputowanych. Trudno wszakże o lepszego przedstawiciela piśmiennictwa. Nie dość, że jako redaktor pierwszorzędnych miesięczników oraz „Pall Mall Gazette" zdobył sobie ogólny poklask, lecz długi szereg jego dzieł świadczy wymownie o niepospolitym, samoistnym umyśle. Siła przekonań czyni go wymownym, szczerość i prostota największy stanowią wdzięk jego stylu. Czytelnik odczuwa, że pisze on jedynie dlatego, by wyspowiadać się z swych myśli. Powtóre, jest to pisarz, posiadający rozgałęzioną wiedzę i umysł, ogarniający szerokie widnokręgi. „Voltaire", „Rousseau", „O kompromisie", „Diderot i Encyklopedyści", „Studya literackie"—oto szereg tytułów jego dzieł.

Umysł jego szeroki i głęboki ukształtował się przez studya nad tymi pisarzami, przesiąkł duchem wolterowskim, ale przejęte poglądy tak przetrawił w sobie, iż trudno powiedziéć, ile w jego *credo* jest Voltaire'a, a ile Morleya.

Mogłoby się zdawać, że jako ateista traci w oczach drażliwego w kwestyi religijnéj ogółu, tymczasem budzi on powszechną cześć, jako mąż wielkiego, nieskazitelnego charakteru. Nie wywiesza bowiem czerwonéj chusty ateizmu przed galeryą, lecz zamyka się w sferze literackiéj, a fakt, że jest wiernym sobie i śmiało przelewa w swe prace najskrytsze myśli, przejmuje społeczność przekonaniem, że równie szczerym i poważnym jest politykiem.

W wielu pierwszorzędnych pracach liberałów był prawą ręką Gladstone'a i w znacznéj części ojcem bilu irlandzkiego. Nie miała Irlandya względniejszego i przyjaźniejszym duchem ożywionego ministra. A dzisiaj, ile razy sprawy zachodniéj wyspy stają na porządku dziennym, w szeregu Anglików przychylnych narodowym aspiracyom Irlandyi, nie brak nigdy Johna Morley.

Frakcya irlandzka, składająca się z nacyonalistów i parnelistów w liczbie dziesięciu, stanowi w składzie izby odrębne, ostro odrzynają-

ce się ciało, spojone wspólnym sztandarem narodowym i właściwościami szczepowemi. Niemniéj różni się ona od grupy przedstawicieli północnéj, protestanckiéj Irlandyi, t. j. prowincyi Ulster, oraz uniwersytetu dublińskiego, bo chociaż mienią się oni Irlandczykami, wyrósłszy jednak z pnia szkockiego i anglosaskiego, stają na gruncie dawnych oranżystów i, spokrewnieni organicznie z torysami, rozpatrują sprawy swego kraju z punktu widzenia Anglików. Tymczasem posłowie katoliccy odgraniczają się od innych plemion, przestrzegając żarliwie swéj odrębności rasowéj. Wprawdzie były przywódca nacyonalistów Justyn MacCarty i następca jego John Dillon przemawiali nieraz w duchu pojednawczym, wierząc w „*Union of hearts*”, węzeł, który dotąd nie splótł serc tych dwojga narodów, od pięciu czy sześciu wieków żyjących na wrogiéj stopie z sobą — lecz słowa ich pozostały utopią. Krewki rozpolitykowany ten naród, trzymając się oburącz tradycyi, nie przestał widziéć w Angliku wroga plemiennego i, z wrodzoną sobie wrażliwością odczuwając najdrobniejsze zmiany w atmosferze politycznéj, wszystkie zjawiska i przejawy tłómaczy sobie w nieprzychylnym dla Anglików duchu.

John Dillon, szczupły, nerwowy brunet, z zawodu lekarz, wcześnie poszedł w ślady swego ojca, znanego patryoty, i jako „podejrzany” dwukrotnie odsiadywał więzienie. Po upadku Parnella przyłączył się do nacyonalistów a w czasie urzędowania Gladstone’a stał w pierwszym szeregu szermierzy. Zwłaszcza przy rozprawach nad bilem irlandzkim, do którego przeprowadzenia przyłożył rękę, ujawniły się w pełnym blasku niepoślednie jego zdolności retoryczne, budzące zachwyt w Irlandyi i otaczające go aureolą w izbie. Lecz mimo że również po za obrębem parlamentu, rzuciwszy się w wir walk politycznych, z zapałem torował sobie drogę do naczelnego stanowiska w frakcyi irlandzkiéj, obiór jego na prezesa napotkał trudności raz wskutek tego, że sprawiał wrażenie polityka niespokojnego, a powtóre wskutek swych silnie zaznaczanych zasad radykalnych. Jakoż posłowie o barwie ultramontańskiéj i część wpływowego kleru katolickiego Zielonéj wyspy przeznaczała na następcę Justynowi Mac-Carthy Tymoteusza Healy, który, według orzeczenia pewnego polityka celtyckiego, góruje nad wszystkimi deputowanymi swą przebiegłością. W tém mieści się zarodek waśni, nurtującéj w łonie nacyonalistów. Próżno Gladstone nawoływał do zgody, wróżąc solidarnéj Irlandyi rychłe zwycięstwo, posłowie irlandzcy, na punkcie warcholstwa nie ustępujący swym ziomkom, nieraz po za kulisami izby toczyli boje, których echa przedzierały się na szpalty pism. Wprawdzie nie przyszło do przełomu, lecz jedna z gwałtowniejszych burz zakończyła się wydaleniem ambitnego pana

Healy wraz z Arturem O'Connor'em z obozu poselskiego, a poprzednio z wykonawczego komitetu związku irlandzkiego w W. Brytanii. Powodem tego drastycznego zajścia była opozycya, jaką ci posłowie stawiali przy wyborach jednemu z posłów, popieranemu przez nacyonalistów. Rzecznicy p. Healy pragną w nas wmówić, że nacyonaliści uciekli się do tego kroku, by zamaskować swą nieudolność. Według tego źródła bowiem Healy miał sarkać na swego zwierzchnika, dowodząc, że układ zawarty przez nacyonalistów z Rosebery'm krępował im ręce, że okazali się powolnymi sługami męża stanu, który nie będąc wcale entuzyastycznym *homerule*'istą liczył na to, iż „zdrowy rozsądek narodu angielskiego" rozwiąże ostatecznie ten problemat społeczny, czyli innemi słowy odsyłał bil irlandzki *ad calendas graecas*. Zwolennicy Healy'ego dowodzili dalej, że nacyonaliści wywiedzeni w pole przez Rosebery'ego, „wyciągali kasztany z ognia" bez kompensaty, a John Dillon przed laty dziesięciu jeden z „nieprzejednanych" począł głosić „związek duchowy" pomiędzy Irlandyą a Anglią, który wywoływał cierpki uśmiech na usta Parnella i Healy'ego. Tymczasem jednak naród irlandzki podpisał wyrok wydany na posłów wyłamujących się z pod władzy naczelników; chociaż mętna ta sprawa czeka dotąd na wyjaśnienie, a mianowicie na wiązkę nieopublikowanych dokumentów. Tym podobne sprawy, interpretowane zwykle w najróżniejszy sposób, przysłaniają fizyognomie posłów tego obozu tak, że staje się niepodobieństwem odrysować dokładnie ich oblicza. Polityk wielbiony przez jednych, w oczach drugich uchodzi za najczarniejszy charakter, a wszyscy toną w mgle intryg i sporów, paraliżujących zapał, energię, patryotyzm i nieposlednie zdolności tego grona. Duchem pojednawczym bywa często T. P. O'Connor, jeden z najświetniejszych i najgłośniejszych dziennikarzy londyńskich, wydawca gazety *The Weekly Sun* i sprawozdawca parlamentarny najpoczytniejszego dziennika *The Daily Telegraph*, autor słynnéj biografii Beaconsfielda, która otworzyła mu wrota do prasy stołecznéj, obdarzony piórem literackiém, żywém, barwném, zajmującém. Gorący patryota, mąż jasnego umysłu, człowiek ze wszechmiar sympatyczny, wszędzie jest popularny, w kołach dziennikarskich, w izbie, w swym obozie, w Irlandyi zarówno jak w Anglii. A względów tych nie zaskarbił sobie kosztem przekonań, lecz, ponieważ wśród Irlandczyków bez napaści żaden mąż publiczny się nie ostanie, pewien pisarz zarzuca mu, że przekształcił się w „angielskiego" radykała, że raz przemawia jako katolik, to znowu spuszcza z tonu. Atoli ogół widzi w nim Irlandczyka z krwi i kości, którego serce bije gorąco dla ojczystéj wyspy a działalność wydała dobre owoce.

Wogóle posłowie irlandzcy, o ile każdy z osobna przerasta swadą, energią i talentem przeciętnego deputowanego angielskiego, o tyle, zebrani w jedną grupę, tracą na porównaniu wskutek tonu panującego w ich kole. „Wieczory irlandzkie” w izbie identyfikują się z burzliwemi posiedzeniami, jak letnie nawałnice przychodząc niespodzianie i przemijając szybko. A nie pozostawiają trwałego śladu w ustawodawstwie parlamentu. Jednakże ożywiają tempo obrad i zasługują na usprawiedliwienie jako głos narodu, który cierpiał wiele i stanąwszy na *forum* przemawia podniesionym tonem, rzuca rękawicę przeciwnikom, mając przed oczyma krwawe karty swéj historyi.

Przy gromkich starciach na arenie parlamentarnéj występuje w zwartym szeregu garstka nieprzejednanych, pesymistycznie nastrojonych parnelistów, którzy, posuwając nieufność względem liberałów do ostatecznych granic i trzymając się od nich zdala, niejednokrotnie głosowali z przeciwnikami Gladstone'a i Rosebery'ego. Mimo to w ważnych kwestyach dotyczących zbliska Irlandyi stają przy boku nacyonalistów; zachodzi bowiem pomiędzy nimi tylko subtelna różnica, któréj należy szukać nie w zasadach lub programatach politycznych, lecz raczéj w taktyce. Hardą postawą i groźbą usiłują oni wymódz na liberałach to, co nacyonaliści drogą kompromisu wyjednywają. Cechująca ich zawziętość maluje się na twarzy ich przywódcy, wymownego adwokata Johna Redmont'a.

O tych kilku plagiatorach polityki Parnella każe nam zapomnieć kilka postaci, ściągających ciekawe spojrzenia gości parlamentu, a mianowicie przysiadły brunet z energią wyrytą na smagłych, zarosłych kruczym włosem licach — John Burns, wódz tysięcy robotników, daléj inny demagog, socyalista o ascetycznéj powierzchowności — Keir Hardie, wreszcie dwaj niepośledni bankruci polityczni—Henry Labouchere i *sir* Charles Dilke.

Z nikim w izbie nie da się porównać Mr. Labouchere, znany wydawca tygodnika „Prawda”. Oryginalna jego indywidualność sterczy wśród tego środowiska ziół, kwiatów i nikłych ostów jakoby pokrzywa; wnosi on bowiem w to grono ojców ojczyzny pierwiastek satyryczny. Pominąwszy wyborców jego w Northampton oraz nieliczny zastęp wielbicieli o paradoksalnym zakroju umysłu, którzy przysięgają na jego słowa, jak na ewangelię, świat wzbrania się brać go na seryo, bo p. Labouchere, parafrazujący wszystkich, zda się drwić nawet z siebie. Z niewątpliwym talentem odgrywa rolę pierrota nie ukrywającego uśmiechu pod maską lub szminką, Izba gmin wydaje się w jego mniemaniu poprostu sceną, na któréj dwa obozy sportsmenów ścierają się z sobą w obliczu idyotycznego ogółu. Niezmiernie dowcipny i cięty,

przy każdéj sposobności wywołuje grzmot serdecznego śmiechu, a krytyki jego zdradzają umysł ścisły i jasny, lubo z drugiéj strony dotknięty jest daltonizmem, i albo kolor biały wydaje mu się czarnym, albo nie dopatrzy się go wcale. Jako duch negacyi, Mr. Labouchere zawsze jest w opozycyi. Gdyby woli jego miało się stać zadość, to bodaj świat musiałby się z gruntu przekształcić. W pierwszym rzędzie zaprowadzonoby w Anglii republikańską formę rządu, izba lordów przestałaby istniéć, władza cała skupiłaby się w izbie gmin, a część jéj w ręku redaktora „Prawdy”. Zaiste godnym Don Kiszota jest pomysł tego polityka wskazujący drogę do obalenia izby parów, pomysł, który w praktyce musiałby rozbić się o jedną z nieprzeliczonych przeszkód, jak bańka mydlana. Przeciw fortecy toryzmu pragnie Mr. Labouchere przyzwać w pomoc — koronę, która położyłaby koniec istnieniu grona swych najwierniejszych przyjaciół, mianując około pięciuset parów tak jak Mr. Labouchere myślących, a ci uchwaliliby rozwiązanie tego ciała i przestali być parami. Gdyby skutkiem gwałtownego trzęsienia ziemi w umysłach Anglików tak się poprzewracało, iż ostatecznie idea ta weszłaby w życie, izba parów zamieniłaby się w widowisko komiczne i po przedstawieniu pierwszéj sceny podwoje swe na wieki zamknęła. Za tym śmiałym pomysłem p. Labouchere przemawia tylko to, że żaden inny wróg izby lordów nie przedstawił praktyczniejszego planu. Lecz i wzgląd na to nie przynosi mu zaszczytu, bo Rosebery i znaczna większość polityków, nieprzychylnych izbie wyższéj, marzy tylko o zreformowaniu tego ciała. Jeśli p. Labouchere reprezentuje jakikolwiek kierunek wogóle, wypadnie go nazwać skrajnym radykalistą staréj daty. Jest on zbyt jasno myślącym, aby miał sprzyjać socyalizmowi; jak Richter w parlamencie niemieckim zdziéra maskę z oblicza „grabieży”, stając po stronie indywidualizmu. W tym punkcie zdradza Anglika, wszelako wziął on zupełny rozbrat z szerokiemi aspiracyami rasy anglo-saskiéj, nie sympatyzując z przenikającym ogół „imperyalizmem”. Stąd przyczepił się doń przydomek *little Englander*. W niektórych kwestyach, jak np. Jamesona i Transwaalu, poczucie sprawiedliwości nie pozwala mu zbratać się z ogółem, zaślepionym przez wszechmożny „*business principle*”, lecz wogóle nie sprzyja on polityce kolonialnéj, jakby chciał zatamować naturalny rozwój i rozprzestrzenienie Anglo-sasów, zamknąć działalność rządu w obrębie W. Brytanii.

Mimo że ród p. Labouchere'a zdawna osiadł w Anglii, polityk ten przypomina żywo nadsekwańskich mężów stanu, jakby ozwał się w nim głos krwi francuskiéj, a mianowicie Rocheforta, będąc równie nieustępny jak radykalista paryski, aczkolwiek charakter jego nie

ulega zarzutom. Wszyscy oddają sprawiedliwość jego dobremu, wrażliwemu na krzywdy ludzkie sercu, które zwykle idzie w parze z satyrycznym pokrojem umysłu, jego literackim i retorycznym zdolnościom i wierności, z jaką służy liberałom w czarnéj godzinie. Zresztą z widoczném zamiłowaniem odgrywa rolę *enfant terrible* i dlatego głównie minęła go teka ministeryalna, o któréj marzy. Nie oczekując jéj z rąk Rosebery'ego, utworzył grupę posłów sprzeciwiających się wyniesieniu na przewódcę liberałów członka izby lordów i przemawiał za wyborem Harcourta w nadziei, że tenże nie omieszka mu się odwdzięczyć. Odsunięty od grona ministeryalnego, utrzymywał, że tylko na wyraźne życzenie królowéj, któréj osobiste sprawy bezwzględnie rozpościérał na szpaltach „Prawdy", wykluczono go z gabinetu. Wersya ta, któréj znikąd nie potwierdzono, rzuca światło na jego ambicyę i chęć odróżnienia się, stanowiącą jeden z głównych czynników w jego charakterze.

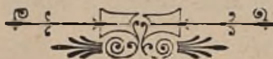
Przy boku redaktora „Prawdy" spotykamy *sir* Charles Dilke'go, niemniéj wybitną, imponującą i dekoracyjną figurę izby gmin. W zasadach, poglądach i sposobie rozumowania dwaj ci mężowie mają z sobą wiele wspólnego, łączą ich także sympatya do Francyi, do rzeczypospolitéj oraz zawód publicystyczny, ale gdy działalność poselska p. Laboucher'a ubogie wydaje owoce, *sir* Charles Dilke stał się nieocenionym, zwłaszcza dzięki niepospolitéj erudycyi, obejmującéj nietylko kwestye ekonomiczno-społeczne, dotyczące warstwy robotniczéj, lecz niemniéj sprawy kolonialne i obrony krajowéj. Każdy pisarz, dotykający tych materyi, zbroi się w cytaty doskonale poinformowanego autora „Większéj Brytanii", lub wprost zasięga opinii tego wytrawnego autorytetu. Jakoż izba liczy się z jego wywodami. Kto miał sposobność słyszéć go na meetingu politycznym, wyniesie tak jak z przemówień Rosebery'ego i Chamberlaine'a przekonanie, iż natura stworzyła go na wodza zastępów, nie téj kategoryi co poplecznicy John'a Burns'a, lecz inteligencyi, bo, nie uciekając się do krasomówczych błyskotek, lub sztuk popularnych mówców, wygrywających zgrabnie na sercach słuchaczy własne arye, panuje on nad zebraniem swą inteligencyą, olśniewa i jedna zaufanie, pod każdym względem będąc mężem stanu. Z niemałym przeto uszczerbkiem dla dobra narodu zamknięto mu raz na zawsze przystęp do steru państwa. A wyrok ten zapadł z woli społeczności, któréj charakterystyczna słabość a zarazem siła ujawnia się jaskrawo w przekonaniu, że człowiek splamiony w życiu prywatném, czy wyłamujący się z pod praw przyjętego kodeksu moralności, nie kwalifikuje się do piastowania urzędu publicznego.

Imię jego przejdzie do potomności jako autora „Większéj Brytanii”, dzieła epokowego, które bezprzykładne pozyskało wzięcie, stanowiąc objawienie dla społeczeństwa. Bo poruszył nowy temat wpływu rasy na charakter rządu oraz warunków klimatycznych na rasę. Dzięki téj książce dwudziestokilkoletniego młodzieńca, potrafili dopiéro Anglicy zdać sobie sprawę z ogromu, wartości i potęgi kolonii, owéj Większéj Brytanii, nad którą słońce nigdy nie zachodzi. Téj pracy zawdzięczał mandat poselski z jednego z radykalnych okręgów Londynu. Wszelako w r. 1885 młody podsekretarz ministeryum spraw zagranicznych z świetną karyerą przed sobą był wplątany w proces rozwodowy, w ciągu którego wyszły na jaw pokątne jego sprawy miłosne i wywołały jedną z tych burz zgorszenia, jakie, według twierdzenia Macaulay'a, wstrząsają społeczeństwem angielskiém co lat siedm. Widocznie Karol Dilke poszedł w ślady swego przyjaciela Gambetty, i koniec karyerze obu tych polityków położyła kobiéta. Przy następnych wyborach przepadł i, przez kilka lat trzymając się zdala od życia publicznego, przebywał w koloniach i we Francyi.

W téj epoce ogłosił obszerne studyum nacechowane wszystkiemi zaletami swego umysłu i pióra, a będące dopełnieniem pierwszéj swéj pracy, p. t. „Zagadnienia Większéj Brytanii”. Dopiéro w r. 1892-im przestąpił znowu progi parlamentu, jako przedstawiciel okręgu robotniczego New-Forest i pionier demokracyi, odkąd czynny biorąc udział w pracach izby, uświetnia zgromadzenie ojców ojczyzny.

Téj miary mężowie co *sir* Charles Dilke, bez względu na to czy godzimy się na ich *credo*, jednają szacunek dla tego ciała, namaszczają je powagą, stanowią niemal racyę jego bytu i każą nam zapomnieć o stronach ujemnych, nieodłącznych od zbiorowiska ludzi, a mianowicie o zasklepieniu się wielu umysłów w polityce stronniczéj, która prowadzi do tego, że nie sięgając do przyczyn zjawisk społecznych, prawodawstwo liczy się jedynie z konsekwencyami. Nie przeceniając wpływu izby gmin na stan państwa i koleje narodu, musimy uchylić czoła przed jéj członkami, odźwierciadlającymi prądy przenikające społeczność i ducha narodu. Wieczór przeto spędzony w poważnych murach westminsterskich zapisuje się trwale na karcie wspomnień, bo choćbyśmy nic innego stąd nie wynieśli, zostanie nam wspomnienie duchowéj rozrywki i spojrzenia w oczy znamienitych i głośnych synów Wielkiéj Brytanii.

M. Wierzbiński.



Z PAMIĘTNIKÓW

Adama Raczyńskiego,

Majora b. wojsk polskich.[1])

30-go sierpnia 1819 roku postąpiłem na sierżanta i przeszedłem do szkoły podchorążych.

Jak w każdym zakładzie naukowym nowicyuszom wyrządzają frycówkę, i mnie chciano ją urządzić; ale umiałem się tak postawić, że koledzy od niéj mnie uwolnili; znalazło się jednak trzech urwisów, co mi nieustannie dokuczali, przez dyskretność nie wymieniam tu ich nazwiska. Przezwali mnie oni „Generałkiem" — dlatego, że miałem protekcyę generała Krukowieckiego. Tak mi dokuczali, że raz nawet uniosłem się zanadto gniewem. Było to przy obiedzie. Długi czas milczałem, nie odpowiadając na przycinki, kiedy jednak nie ustawały, prosiłem grzecznie, aby mnie zostawiono w spokoju, gdy i to nie pomogło i jeszcze gorzéj zaczęto mi dokuczać, straciłem cierpliwość i w jednego z nich cisnąłem nożem: ten się w porę uchylił, jednak nóż przelatując mu około głowy zranił skroń. Na moje szczęście był wtedy obecny w sali jadalnéj oficer dyżurny. Sprawa się wytoczyła przed Wielkiego Księcia, przy śledztwie okazało się, że ja z początku długi

[1]) Obacz „Ateneum" zeszyt majowy r. b., str. 301—339.

czas milczałem, późniéj grzecznie prosiłem, lecz nic to nie pomogło; sąd więc skończył się tém, że ja poszedłem do aresztu na dwanaście godzin, a ten, na którego rzuciłem nożem, na czterdzieści ośm godzin, z zastrzeżeniem, że jeśli coś podobnego drugi raz się powtórzy, to zostanie wykréślonym z kontrol.

Od téj pory nie zaczepiano mnie więcéj.

Wesoło nam było i dobrze w szkole podchorążych: nauczycieli mieliśmy ludzi dobrych, sprawiedliwych i wyrozumiałych, przy całéj surowości wojskowéj. To téż uczyliśmy się wszyscy dobrze, ale jako młodzi płataliśmy rozmaite niewinne figle, o których tu wspomnę.

Wszyscy w ogólności, którzy wstępowali do szkoły podchorążych, chociaż ludzie jeszcze bardzo młodzi, ale bez wyjątku prawie pokończyli różne zakłady naukowe; mieli się téż niby za ludzi już dojrzałych i nie pozwalali się lekko traktować.

Był zwyczaj, że w salach, gdzie obiadowaliśmy, w czasie obiadu musiał być obecny oficer dyżurny dla czuwania nad porządkiem. Raz, na takiego oficera dyżurnego do sal jadalnych, w których obiadowało nas jednocześnie trzystu, naznaczono jakiegoś młodziutkiego jegomościa, tylko co awansowanego na oficera w gwardyi. Oficer dyżurny musiał być w pełnéj formie, więc i ten zjawił się tak ubrany. Zwykle oficerowie, co bywali u nas dyżurnymi w czasie obiadu, wchodząc do sali, zdejmowali kapelusz, a przechadzając się po salach, trzymali go w ręku. Młodzieniec jednak, napuszony swoją rolą oficera i dyżurstwem u podchorążych, wszedłszy do sali, wcale kapelusza nie zdjął. Nam się to nie podobało, poglądaliśmy na niego z ukosa, czy się sam nie domyśli, o co rzecz chodzi, ten jakby tego nie widział. Na jego nieszczęście, podano tarte kartofle, więc jakby na komendę wszyscy się porozumieli, kiedy więc oficerzyna przechodził przez salę nadęty jak indyk, odezwały się za jego plecami głosy:

— Kapelusz! kapelusz!

Ten obejrzał się za siebie, chcąc wiedziéć kto krzyknął, wtedy z tyłu uderzyły go w kapelusz rzucone łyżką przez któregoś z kolegów kartofle, od uderzenia kapelusz przekrzywił mu się na głowie, szybko więc obrócił się w stronę, z któréj go uderzono, lecz w téj saméj chwili powtórzyło się znowu to samo z tyłu; oficer widząc więc, że nie ma temu końca, bo co się obróci, to go z tyłu uderzają w kapelusz kartofle, a winnego nie może dopatrzyć, wybiegł do drugiéj sali, lecz i tam także leciały kartofle na kapelusz. Pobiegł więc na skargę do inspektora, który mu radził zaniechać sprawy, gdyż trudno było wszystkich trzystu podchorążych sadzać do aresztu, a dojść kto pierwszy zaczął, niema sposobu.

Jak każda najmniejsza rzecz, co się odnosiła tylko do wojska, doszło to do Wielkiego Księcia Konstantego, który się śmiał bardzo, wyszedł jednak rozkaz dzienny, że dyżurni oficerowie mają prawo znajdować się w kapeluszach na głowie w czasie obiedniego dyżuru w szkole podchorążych. Pomimo to jednak każdy oficer dyżurny zawsze bez kapelusza na głowie spełniał dyżur w sali obiadowéj.

Między naczelnikami szkoły podchorążych były dwie osobistości bardzo szanowane i kochane przez młodzież uczącą się, a mianowicie inspektor, pułkownik Olędzki, i oficer instruktor mustry, pułkownik Bortnowski. Płataliśmy im nieraz figle, z których późniéj i oni sami się śmieli.

Były dwie sale sypialne: jedna na górze, druga na dole. Zawsze po capstrzyku odbywała się kontrola, czy wszyscy są na swych miejscach. Często jednak trafiało się tak, że któremuś z nas trzeba było być w mieście po dziewiątéj, więc téż koledzy pomagali, a odbywało się to tak: kiedy przychodziła kontrola, zwykle już delikwenta nie było, więc zastępował go uproszony kolega z dolnéj sali w górnéj, lub z górnéj w dolnéj. Obie sale połączone były paradnemi i bocznemi wschodami; otóż, kiedy po skontrolowaniu jednéj sali inspekcya szła do drugiéj paradnemi wschodami, wtedy zastępca nieobecnego kolegi przemykał się bocznemi i zajmował próżne łóżko, wszystko więc zawsze było w porządku.

Otóż raz trafiło się tak, że jeden z podchorążych, Kassius, bardzo przystojny chłopiec, widny, słusznego wzrostu, wymknął się do miasta, poleciwszy koledze, aby go zastąpił w czasie kontroli. Nieszczęście chciało, że kiedy już wracał, natknął się na idących do siebie po odbytéj kontroli pułkownika Olędzkiego i generała Werpachowskiego. Uskoczyć w bok nie było sposobu, gdyż nos w nos zeszli się, Kassius więc wyciągnął się jak struna, salutując pana pułkownika, i w téj saméj chwili, zrobiwszy na lewo w tył zwrot, zaczął zmykać, pułkownik, który go poznał, krzyknął:

— Kassius! stój!

Kassius udał, że nie słyszy, pułkownik więc pomknął za nim, chcąc go złapać, Kassius był młody, miał długie nogi, dyrdał co sił, pułkownik za nim, Kassius wiedział, że pułkownik go nie porzuci i jeśli trafi się dorożka, to go dogoni.

Na szczęście Kassius, zmykając, ujrzał tuż obok otwarte drzwi domu do izby, gdzie stał magiel, na którym praczki maglowały, wpada więc tam.

— Schowajcie mnie—krzyknął—gdyż mnie pułkownik goni!

A że był bardzo ładny chłopiec, przytém wszyscy w Warszawie lubili podchorążych, więc praczki przewróciły momentalnie do góry dnem ogromny kosz z bielizną, stojący przy maglu, długi zaś Kassius zrobił się w téj krytycznéj chwili tak małym, że się pod nim schował zupełnie. Pułkownik Olędzki, widząc gdzie wbiegł podchorąży, zaraz za nim podążył, ale już było poniewczasie, gdyż wszystko zastał w porządku, a Kassiusa nie było, tylko praczki maglowały.

— Gdzie podchorąży, który tu wszedł?—spytał pułkownik, wbiegając do maglów.

— Nijakiego tu podchorążego nie było, proszę wielmożnego pułkownika—odezwały się praczki.

— Jakże nie było, kiedy sam widziałem jak tu wszedł.

Powiedziawszy to, zaczął zaglądać we wszystkie kąty, pod magiel, za magiel, nigdzie Kassiusa nie znalazł, a i wejścia na górę również nie było. Zaciekawiło to Olędzkiego, gdzie się mógł ukryć podchorąży, kiedy na pewno widział, jak wskoczył we drzwi. Stanąwszy więc na środku izby, rzekł:

— Słuchaj Kassius! ja wiem na pewno, że ty tu jesteś, ale daję ci słowo honoru pułkownika Olędzkiego, że ci ten raz daruję, tylko pokaż się.

A ponieważ pułkownikowi Olędzkiemu można było zaufać zupełnie, bo gdy raz dał słowo, to choćby mu nawet i o życie chodziło, umiał dotrzymać, więc Kassius jednym susem wyskoczywszy z pod kosza, stanął do frontu, salutując swego kochanego pułkownika. Olędzki się roześmiał i pogroziwszy mu tylko palcem na nosie — wyszedł, i na tém się wszystko skończyło.

A i ze mną coś podobnego było, tylko jakoś szczęśliwie się wykręciłem.

Miałem czterech kolegów, z którymi byłem w przyjaźni, Jana Ordę, który późniéj był w gwardyi grenadyerów, Gerlacha, Rzeszotarskiego i Fiszera. Raz z Ordą zaproszeni byliśmy na jakiś wieczorek tańcujący, umówiliśmy się z kolegami o zastąpienie nas, wymknęliśmy się przed kontrolą. Zabawa była bardzo przyjemna, tańce się długo przeciągnęły, opóźniliśmy się tak, że ledwo mieliśmy czas nadążyć do zakładu przed samą ranną pobudką. Wyszedłszy więc z wieczorku, biegliśmy kłusem, ale ja będąc małego wzrostu nie mogłem nadążyć za Ordą, który był olbrzymem w porównaniu ze mną — tchu mi zabrakło — Orda, widząc, że nie pośpieszę na czas, pożałowawszy kolegi, krzyknął:

— Siadaj na barana!

Momentalnie znałazłem się na jego plecach, Orda był chłop silny jak Samson, więc nie wiele mu zawadzałem, kopnął się z miejsca kulą, i tak stanęliśmy w sam czas na miejscu.

Przy każdém przejściu z kursu na kurs odbywały się egzamina popisowe szkoły podchorążych z marszu i robienia bronią, na Saskim placu, w obecności Wielkiego Księcia. Raz, w czasie takiego egzaminu, kiedy w wolnych szeregach oczekiwaliśmy przybycia Księcia, Bortnowski chciał się jeszcze raz przekonać o naszéj umiejętności, stanąwszy więc przed frontem, zakomenderował:

— Baczność! równaj się!

Kiedyśmy się równali, w téj saméj chwili któremuś przyszło do głowy podraźnić się trochę z ulubionym naczelnikiem, więc szepnął stojącemu obok koledze:

— Podraźnić Bortnosia.

Wezwanie do figla, jak iskra elektryczna, przeleciało po szeregach. W równaniu szeregów jeden skrzydłowy wystawił jedno ramię naprzód, Bortnowski spostrzegłszy to, podbiegł do niego i poprawił, lecz ponieważ szeregowy stał nieprawidłowo, skrzywiła się więc cała linia, Bortnowski znowu poprawił, ale i to nie pomogło, zawsze czyjeś piersi wystawały, powtórzyło się to kilka razy, Bortnowski zaczął się gniéwać. Nakoniec po kilku usiłowaniach linia jako tako się wyciągnęła,—nastąpiła komenda:

— Maarsz!

Szeregi posunęły się naprzód, ale ponieważ dane było hasło „dokuczyć Bortnosiowi" — więc i tym razem każdy maszerował inną nogą; zrobiło się coś strasznego, — Bortnowski uchwycił się za głowę i krzyknął:

— Stój! równaj się!

Po zrównaniu się — znowu komenda: Maarsz! — znowu to samo: każdy stąpał inną nogą.

— Stój! równaj się! gwałtu! co to jest!—krzyknął Bortnowski.— Nie chcę ja uczyć takich osłów! Pójdę lepiéj gdzie za pastucha!

Znowu po małéj chwili komenda:

— Maarsz!

Tym razem poszło już daleko lepiéj, równiéj maszerowano, chociaż i tu i tam czasem kto zmylił kroku. Po przejściu marszem kilka razy, tam i napowrót, znowu linia wyciągnięta i komenda:

— Do nogi broń!

To było wykonane akuratnie; późniéj — Na ramię broń!

Więc zaczął pierwszy prawoskrzydłowy, w sekundę po nim obok stojący i tak dalej do końca szeregu. Szedł więc odgłos jakby uderzania młotka, jedno po drugiém.

Tu już poczciwy Bortnowski rzucił kapeluszem o ziemię przed frontem i zawołał:

— Basta! Nie chcę ja uczyć podobnych osłów! Przyjedzie Wielki Książę, podam się do dymisyi. Niech panów kto chce uczy! — ja nie chcę!

Wtém rozlega się głos: Książę jedzie! Książę jedzie!

Wyciąga się nasz szereg. Zrównanie tak akuratne, że gdyby wzdłuż szeregu przeleciała kula, żadnéj piersi by nie zadrasnęła.

Podjeżdża Wielki Książę, rozlega się komenda:

— Prezentuj broń!

Dał się słyszéć odgłos rzuconéj broni do piersi, jeden, niepodzielny, jakby wykonany przez jednego człowieka.

Następuje komenda samego Wielkiego Księcia:

— Na ramię broń!

Znowu jeden szelest niepodzielny, krótki, jak mgnienie oka — i komenda:

— Maarsz!

Ruszyła się ława podchorążych: idą, defilując przed Wielkim Księciem, a krok tak miarowy, jakby szedł jeden tylko człowiek.

— Dobrze! dobrze! — woła Książę, a zwracając się do Bortnowskiego:

— Dziękuję panu pułkownikowi, dziękuję!

Bortnowski salutując, tylko się kłania rozradowany.

Następuje robienie bronią, rozmaite zwroty, łamanie frontu, które są wykonane z akuratnością prawie nie do uwierzenia. Książę uradowany woła:

— Dobrze! bardzo dobrze!

Znowu dziękuje pułkownikowi Bortnowskiemu, któremu wrócił już zupełnie dobry humor. Nakoniec, po skończonym egzaminie, Książę odjechał.

Bortnowski rad, staje przed frontem i mówi:

— Wiem, że któryś z was, urwisy, szepnął drugim: „dokuczyć Bortnosiowi!” Oj, żebym złapał, posadziłbym go do aresztu na czterdzieści ośm godzin na chléb i na wodę. No, drugi raz pewno go złapię.

Chociaż Wielki Książę Konstanty niezmiernie był surowy, co do spełniania obowiązków żołnierza i oficera, jednak kochany był przez wojsko. Wojsko była to jego kochanka, którą stroił, ubiérał, lubował

się niém, pieścił i rozkoszował, kiedy akuratnie spełniało wszelkie obroty wojenne, a żądał przytém, aby były wykonane nie machinalnie tylko, lecz ze zrozumieniem zadania. Stąd więc w szkole podchorążych, oprócz mechanicznéj wprawy w robieniu bronią, śledzono bardzo za nauką taktyki wojennéj, którą wykładano gruntownie.

Po skończeniu czteroletniego kursu i zdaniu egzaminu z mechanicznéj nauki robienia bronią i marszu, każdy kończący szkołę, pod okiem Wielkiego Księcia, musiał dowodzić najpierw plutonem, późniéj batalionem, następnie pułkiem, brygadą, dywizyą i korpusem. Każdy tedy podchorąży, po skończeniu szkoły, mógł odrazu zostać generałem w swojéj broni. Dla nabrania zaś praktyki w nauczaniu żołnierza, po skończeniu szkoły wysyłano podchorążych do pułków, jako instruktorów młodych żołnierzy i rekrutów.

Książę Konstanty lubił prawdziwe zuchostwo, zawsze je przebaczał łaskawie, pojedynki więc były pozwolone w wojsku, ale pod jednym tylko warunkiem: że jeden z pojedynkujących się musiał koniecznie zginąć, lub być śmiertelnie ranionym; inny wynik ściągał na bijących się i sekundantów straszną odpowiedzialność.

Surowo również prześladował wyrządzoną komu bądź krzywdę, jak również zmuszał do dotrzymania danego słowa. Otóż był taki wypadek:

Generał Skwarcow kupił był wielkiéj wartości konia, którego nie było prawie sposobu ujeździć; raz, kiedy generał stał w maneżu, przypatrując się, że mu nie mogli dać rady berejterzy, bo co który siadł, wnet leżał na ziemi, — w tém, zjawia się kwestarz-kapucyn ze skarbonką, prosząc o jałmużnę na konwikt. Generał się rozgniéwał, ale po chwili rzekł:

— Ot, wiész co, jak dosiędziesz tego konia, to ci go daruję!

Świadkami tego powiedzenia było kilku obecnych oficerów ze świty generała, którzy również przypatrywali się ujeżdżaniu konia.

Kwestarz się pokłonił i odpowiedział:

— Dziękuję, ale czy pan generał mówi to seryo, czy żartem?

— Seryo — odpowiedział Skwarcow.

— To prosiłbym pana generała, aby tu postała moja skarbonka.

— A dobrze, postaw.

Kapucyn, postawiwszy skarbonkę, zatknął habit za sznurki, któremi był przepasany, i przystąpił do konia, trzymanego za uzdę przez dwóch kirysyerów. Momentalnie znalazł się na siodle i tak ostro krzyknął:

— Puszczaj!

że kirysiery zgłupieli i odskoczyli na bok.

Koń wspiął się dęba, późniéj dał dwa ogromne szczupaki, a ściśnięty sandałami kwestarza jak ostrogami, chlustnął jak zając przez baryery, pomknąwszy z jeźdźcem jak wicher ulicą Wierzbową, i zniknął z oczów zdziwionego generała i obecnych.

Przestraszony generał krzyknął do żołnierzy:

— *Łowi! a to łoszad' jewo ubjot.*

Kirysyery skoczyli na koń i popędzili za kwestarzem, którego nigdzie nie znaleźli.

Przeszło godzin cztéry, może trochę więcéj, kiedy zjawił się kwestarz po zostawioną skarbonkę. Generał uradowany wybiegł do niego, pytając:

— A gdzie koń?

— W konwikcie, proszę jaśnie wielmożnego pana generała.

— Jakto w konwikcie?—krzyknął Skwarcow.

— Wszak pan generał powiedział, że jeśli dosiędę konia, to go daruje konwiktowi.

— To nie może tak zostać — zawołał żywo Skwarcow. — Ja go każę zabrać z konwiktu!

— A my go nie damy—rzekł stanowczo kapucyn — mam świadków, że koń nam darowany.

Generał się rozgniéwał i wypędził kapucyna. Doszło to do Wielkiego Księcia, który wezwał do siebie generała Skwarcowa i kapucyna.

— Coś ty za jeden?—spytał Książę kwestarza

— Niegdyś wachmistrz-berejter ze szwoleżerów cesarza Napoleona.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Książę, a obróciwszy się do Skwarcowa, rzekł:—Oto cię dopiéro pięknie urządził, generale!

Późniéj bardzo seryo rzekł do kapucyna:

— Jeśli generał zapłaci sto dukatów, oddać konia w ten moment — i wyszedł.

Wiadomo było, że Książę Konstanty nie zmieniał tego nigdy, co postanowił; a że koń był grubo wart, więc generał zapłacił do konwiktu sto dukatów i wziął konia. Skorzystał jednak na tém, gdyż od téj pory koń dał się już dosiadać.

Pomimo gwałtowności charakteru, Wielki Książę Konstanty był jednak bardzo wyrozumiały, nigdy nie wydawał wyroku, nie zbadawszy rzeczy do gruntu, szczególniéj jeśli szło o oficera lub żołnierza.

W szaserach gwardyi konnéj służył niejaki Cyliński, chociaż średniego wzrostu, jednak siły tak niezmiernéj, że podkowy łamał jak suchy obwarzanek. Raz w refektarzu bernardyńskim, popisując się swą

siłą, gdzie był zaproszony na obiad przez swego krewnego braciszka zakonnego, ogromny stół dębowy podniósł w zębach.

Cyliński był w nieporozumieniu z jakimś oficerem, służącym w rosyjskiéj gwardyi kirysyerów.

Był naznaczony przegląd wojsk na Saskim Placu. Księcia Konstantego jeszcze nie było, wojsko stało w szeregach, oficerowie chodząc przed frontem rozmawiali.

Cyliński chodził pod rękę ze swoim kolegą, wtém podchodzi oficer, z którym miał na pieńku, i zaczyna mu przycinać.

Długi czas Cyliński nic nie odpowiadając, chodził i rozmawiał z kolegą, jakby nie słysząc zaczépki. Naostatek kirysyer powiedział Cylińskiemu jakieś głupstwo, ten pamiętając o tém, że tu nie miejsce do rozprawy, nie uniósł się, tylko odpowiedział również ostro, wtedy kirysyer wyrwał pałasz z pochwy momentalnie i rzucił się na Cylińskiego; ten chcąc się zasłonić od cięcia, a nie mając już czasu dobyć swego, który był opuszczony, wychwycił będący na kruczku pałasz kolegi, z którym chodził, trzymając go w poziomėj pozycyi, obrócił się na miejscu; nieszczęście chciało, że kirysyer w téj chwili był pod prawą ręką Cylińskiego, który z całym rozmachem gwałtownie wydobytéj szabli ciął go mimowolnie w szyję; uderzenie na odlew tak było straszne, że od jednego cięcia zdjął kirysyerowi głowę z kadłuba!

Zrobił się ogromny zamęt, Cyliński odpiął pałasz, podszedł do rotmistrza i kazał się aresztować.

W téj saméj chwili nadjechał Wielki Książę, generał dyżurny raportował o całéj sprawie, Książę Konstanty zaraz na miejscu wezwał przytomnych zajściu oficerów i kazał rozpowiedziéć pod słowem honoru całą prawdę, jak się rzecz miała; przekonawszy się, że pałasz, którym Cyliński ściął głowę kirysyerowi, był tępy, zwłaszcza przytém, że dobyty był dla zasłonięcia się jedynie, uwolnił Cylińskiego z pod aresztu i kazał mu tylko wystąpić z pułku.

Cyliński wyjechał na prowincyę. W kilka miesięcy po opisanym wypadku, w czasie bytności Cesarza Aleksandra I-go w Warszawie, przyjechał Cyliński, a jako były oficer musiał meldować się w głównéj kwaterze, Książę go zobaczył i kazał mu znajdować się na Saskim Placu w czasie mającego odbywać się przeglądu wojska. Po przyjeździe z Cesarzem na plac, podezwał Cylińskiego i przedstawiając go Cesarzowi, powiedział:

— Mam honor przedstawić Waszéj Cesarskiéj Mości oficera, który tępym pałaszem głowy ścina!

Wielki Książę Konstanty lubił bardzo chwalić się wprawą swoich oficerów i żołnierzy, tak w robieniu bronią, jak również i w maszero-

waniu. Otóż tego samego dnia, kiedy przedstawiał Cesarzowi Aleksandrowi Cylińskiego, kilku oficerów zostało wywołanych z szeregów, Gerlach, Rzeszotarski i ja, włożono nam giwery na głowę, postawiono na każdym szklankę z wodą i musieliśmy tak maszerować przed Cesarzem, któremu późniéj Wielki Książę Konstanty pokazywał nasze giwery, że ani kropla wody nie wylała się na nich przy naszym popisie.

Wielki Książę bawił się wojskiem, jak dziecko zabawką. Wojsko téż było wyćwiczone we wszystkiém do możebnéj doskonałości. Zdanie to słyszałem od człowieka, który znał się na tém dobrze. Pan szef Józef Drzewiecki, dawny żołnierz napoleoński, przyjechawszy do Warszawy, poszedł na Saski Plac w czasie przeglądu wojska, a powróciwszy powiedział mi:

— Widziałem to wasze wojsko i powiem ci otwarcie, że nawet żołnierz Napoleona nie miał ani tak pięknéj postawy, ani takiéj akuratności w wykonaniu obrotów wojskowych.

Ale téż najmniejsza nieakuratność wykonania wywoływała w Księciu Konstantym straszny, niepomiarkowany gniéw. Pamiętam raz z tego powodu pocieszną scenę, wywołaną jakąś nieakuratnością generała Morawskiego w czasie manewrów wojskowych na Placu broni. Otóż spostrzegłszy pomyłkę generała Morawskiego i przyzwawszy go do siebie, rzekł:

— Ja nie potrzebuję generałów poetów, literatów, lecz żołnierzy. Patrz pan na Sztrandtmana: głupi jak but, ale za to rozumié swoją rzecz jak generał. Ot, takim pan bądź, jak on, więcéj nie żądam.

Cały czas kiedy Wielki Książę to mówił, Sztrandtman, przyjmując to powiedzenie za pochwałę, kłaniał się, salutując.

Bardzo męczący był mundur tak oficera, jak i żołnierza, gdyż tak był opięty, że jeśli żołnierz upadł na ziemię w mundurze od parady, a przytém jeszcze w liderwerkach, to sam nie mógł się podnieść. Kiedy w szwalni brano miarę, krajczy opasywał przybyłego rzemiennym paskiem, opiérał kolano o jego biodro i ściągnąwszy pasek, brał wtedy miarę. Maszerować można było, lecz bez możności zgięcia nogi w kolanie, gdyż pludry tak były obcisłe, a przytém na strzemiączkach, że trzymały nogę jak w kleszczach.

Dla oficera zaciągającego z wartą na Zamek był osobny pokój, w którym ubiérał się w mundur od parady, gdyż inaczéj nie wszedłby po wschodach na górę.

Mundury były bardzo ładne i szykowne, to téż kiedy wojsko występowało na paradę, bardzo się malowniczo przedstawiało. W 6-ym pułku liniowym, gdzie służyłem, mundur był granatowy z paliowemi rabatami, do tego białe spodnie ze złotym lampasem, palone buty, ka-

pelusz stosowany z plumażem, złote szlify i taki sam pendent przy szpadzie.

Jak wyżéj powiedziałem, przy ukończeniu szkoły podchorążych zdawaliśmy egzamin najpierw teoretycznie w saméj szkole, późniéj praktycznie pod okiem Wielkiego Księcia Konstantego. Otóż w ostatnim roku, na ostatnim egzaminie defilowaliśmy przed Księciem na Saskim Placu. Kiedy idąc szybkim marszem zrównaliśmy się z nim, pozdrowił nas:

— Dobrze dzieci!

W szeregach milczenie, poszliśmy daléj, — kiedyśmy drugi raz przechodzili, znowu Książę nas tak samo pozdrowił: znowu milczenie; naostatek, trzeci raz, Książę krzyknął:

— Dobrze panowie.

Odpowiedzieliśmy w jeden głos: „Radzibyśmy lepiéj". Książę się uśmiechnął i powiedział:

— A tak, tak, dzisiaj jesteście panowie! Jutro będziecie wielmożni oficerowie!

Gdym wychodził ze szkoły podchorążych, skończyło się już cztéry lata i dziewięć miesięcy, jak zaciągnąłem się do wojska, dostałem więc urlop i wyjechałem na Wołyń do matki.

Ojciec mój już nie żył, nagle umarł z apopleksyi w Siekierzyńcach, w powiecie ostrogskim, u szwagra, Antoniego Brezy, do którego przyjechał w odwiedziny.

Po śmierci ojca brat mój młodszy, Ludwik, zaczął gospodarować na naszéj cząstce w Szybennéj, ale tak żarliwie, że po dwóch latach trzeba było sprzedać majątek, który kupił Fabian Kwiatkowski, swoim zwyczajem za bezcen.

Siostry moje już były zamężne: starsza Katarzyna za Franciszkiem Widawskim, o którym wyżéj wspomniałem. Widawski, odstąpiwszy dzierżawę części Olszańskich, którą mu zostawił Grabowskij, dostał miejsce naczelnika komory celnéj w Drużkopolu, na Wołyniu, na granicy austryackiéj. Żona zaś jego mieszkała w Teofipolu, gdzie syn Widawskich był w szkołach; przy siostrze mojéj bawiła nasza matka, która pozbawiona mająteczku nieoględném gospodarowaniem mego młodszego brata, nie miała już własnego domu. Druga moja siostra, Balbina, najmłodsza z dzieci, była za Wiarkowskim, pełnomocnikiem księcia Antoniego Jabłonowskiego z Ostroga; Wiarkowski miał majątek Radohoszcz, gdzie mieszkał z żoną.

Najpierw więc pojechałem do matki do Teofipola. Ponieważ w Teofipolu kwaterowało wojsko, więc jako oficer na urlopie miałem obowiązek meldować się u pułkownika, ubrałem się w paradny mundur

i poszedłem; było chmurno, dészcz mżył. Przy galowéj formie mieliśmy białe spodnie ze złotym lampasem i kapelusz z plumażem, podobnie jak nosili generałowie w wojsku rosyjskiém; kiedy więc przechodziłem około odwachu, okryty płaszczem, i nie można było widzieć, jaką mam rangę, straż biorąc mnie za generała, wystąpiła do broni; salutowałem i oddaliłem się pośpiesznie, aby nie postrzeżono omyłki, za któréj popełnienie z mojéj winy odpowiadałbym, gdyż trzeba mi było odrzucić płaszcz z ramienia przechodząc przed postem, aby widać było moje szlify. Ale ponieważ byłem młody i wesół, podobna omyłka bawiła mnie. Po meldowaniu się pułkownikowi, wracałem już do domu drugą drogą, aby uniknąć mogącéj wyniknąć z pomyłki nieprzyjemności.

W Teofipolu, nie mając odpowiedniego memu wiekowi towarzystwa, nudziłem się okropnie. Teofipol, była to własność księcia Antoniego Jabłonowskiego, który dawniejszą nazwę miasteczka Czołhański-Kamień przerobił na Teofipol, na pamiątkę imienia swéj matki. Trudno było z początku nałamać nietylko mieszkańców miasteczka, lecz i okolicznych, do nowego nazwiska; wynikały więc stąd zatargi między służbą książęcą a miejscowemi mieszkańcami, jak również przybywającymi na targi i jarmarki okolicznymi włościanami.

Książę Antoni wziął się po tatarsku dla odzwyczajenia chłopów i żydów od nazywania Teofipola—Czołhanem.

W dzień targowy na rogatce ekonomia teofipolska stawiała po kilku dworskich kozaków z nahajami; kozak każdego wjeżdżającego chłopa pytał się, jak się miasteczko nazywa? — jeśli odpowiedział „Czołhan" — dostawał kilka razy nahajem po grzbiecie przy wyrazach:

— *Pamiataj! ne Czołhan, a Teofipol!*

Biédny chłop ustępował przed siłą i takim wymownym argumentem, powtarzał za kozakiem „Teofipol", — ale wewnątrz kipiał złością, pragnąc się zemścić za podobny traktament—zemścić się? ale jak?—oto wracając już z targowicy do domu, odjeżdżał od kozaka na kilkadziesiąt kroków, zatrzymywał konie i krzyczał co sił:

— Czołhan! Czołhan! Czołhan!

Kozak więc puszczał się za chłopem w dogonkę, ale ponieważ po większéj części kozacy byli pieszo, więc chłop, zaciąwszy szkapy, zmykał i unikał nahajów. Późniéj, przyjechawszy do domu, chwalił się przed sąsiadem:

— *Choć win mene nabywsia, ałe za te ja jemu naczowhaw!*

Podobno taki tatarski sposób, używany do tego, aby przymuszać okolicznych chłopów i żydów do zapomnienia o Czołhanie a pamiętania o Teofipolu, powtarzał się długie jeszcze lata, nim się to utarło, że

chłopi okoliczni oswoili się z nowém nazwiskiem miasteczka, lecz nie zapomnieli go ostatecznie, gdyż nawet i teraz prędzéj ukażą nieznającemu drogę do Czołhanu niźli do Teofipola, a niejeden chłop, pytany o Teofipol, odpowie: *ne znaju!*

Zabawiwszy u matki parę tygodni, wyjechałem na Polesie do powiatu Kowelskiego, do moich wujostwa Czarneckich, którzy mieszkali w Stobychwie, gdzie wujenka zakładała park.

W projektach układania klombów z drzew i sadzenia pomagałem jéj, wiele już lat ubiegło od tego czasu, a dziś sadzone przezemnie drzewa rozrosły się w olbrzymy.

Miejscowość, jako górzysta, co jest osobliwością na Polesiu, bardzo się nadawała do założenia parku, na łagodnym spadku, idącym od domu do rzeki Stochodu. Z okien domu rozciąga się widok na dalekie łąki i rzekę, która płynie u stóp pagórka, za rzeką wdali czernieją lasy. Górę, na której stoi dom z parkiem i ogrodem, widać o kilkanaście werstw naokoło. Ponieważ z okien owéj sali, w której niegdyś hulał pan starosta Czarnecki, jest najrozleglejszy widok na rzekę, łąki i las, więc ujęliśmy go jakby w ramki klombami z drzew, wydaje się więc, iż rzeka, łąki i las są niby przedłużeniem ogrodu, co bardzo efektownie wygląda. Zajęcia nasze nad układaniem trawników i sadzeniem drzew urozmaicane były odwiedzinami sąsiadów, jak również bywaniem moich wujostwa w okolicy.

Sąsiedztwa było sporo, najbliższe Ludwikostwa Czarneckich w Obzyrze, stryjeczno-rodzonych mego wuja. Zabawy były u nich zawsze ożywione; gości zjeżdżało się hukiem. Chociaż dom nie był obszerny, nie było posadzki, tylko czysto umyta podłoga, jednak tańczono ochoczo. Za moich czasów nie zważano na to, czy posadzka, czy podłoga, byleby gospodarze byli radzi, towarzystwo dobrane, to i wesoło było. Najwięksi dygnitarze kraju nie byli o połowę tak wybredni, jak teraz niejeden chudopachołek, który z trudnością mógłby pokazać dziadka szlachcica, dmie się jednak jakby pochodził z panującego rodu książęcego. Więcéj było między ludźmi współczucia dla biedy i niedoli; żyło się inaczéj, nie tak, jak dziś, tylko dla siebie i swojéj kieszeni, nie dbając co się dzieje z najbliższymi. Znaliśmy i pamiętali nawet najodleglejsze powinowactwa, koligacye; pomagało się téż w imię stosunków krwi, często gęsto najdalszym, nawet takim, co może nie bardzo warci tego byli; ale zawsze był to niby swój, potrzebujący, więc téż wyrabiało się w ludziach poczucie obowiązku pomocy bliźniemu.

Ale wracam do sąsiedztwa. Oprócz Ludwikostwa Czarneckich, był jeszcze dom Skorupskich w Radoszynie. Ze Skorupskim łączył me-

go wuja stosunek bliżkiéj przyjaźni, datujący się jeszcze z czasów lat dziecinnych. — Daléj był dom Kossakowskich w Pohursku, zamożny, gościnny, do którego na rozmaite bale i asamble zjeżdżano się z odległych stron Wołynia.

W saméj pani Kossakowskiéj, z domu Skorupskiéj, która jeszcze była bardzo przystojna, gdym ją poznał, wuj mój za kawalerskich czasów podkochiwał się na dobre. Kossakowska była to zuch baba i do stroju, i do łoju! — Konno przytém jeździła niby amazonka, nawet na polowanie na grubego zwierza. Kiedy polowała na odyńca, stawała zwykle na przesmyku w wannie, którą przymocowywano do drzewa.

Kossakowscy mieli syna Walerego, o kilka lat młodszego odemnie, wychowywał się w domu; otóż między nami zawiązały się stosunki przyjaźni, jednak tylko przez czas mego pobytu na Polesiu, gdyż po moim wyjeździe Kossakowskiego już więcéj nie widziałem; wiem tylko, że w 1831 roku wysłany został do Rosyi, gdzie przemieszkał trzydzieści kilka lat; późniéj, po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II, otrzymał ułaskawienie. Powróciwszy do domu, matkę zastał jeszcze żyjącą, po śmierci któréj sprzedał Pohurski prezesowi Głębockiemu, sam osiadł w Radoszynie, który mu się dostał po Skorupskim.

Było jeszcze sąsiedztwo pani podkomorzyny Ratomskiéj, Terleckiéj z domu, mieszkającéj w Policach. — Pani podkomorzyna miała córkę jedynaczkę, Emilię, niebrzydką panienkę, ale jeszcze bardzo młodziutką; kręciła się koło niéj bliższa i dalsza młodzież, jako dość posażnéj panny, jednak panna Emilia przebierała w chłopcach, jak w ulęgałkach; kiedy dobrze podstarzała, wyszła za mąż za niejakiego Przesmyckiego, który również był niemłody.

Otóż pamiętam raz na jakimś wieczorku w Policach, kiedy w tańcu panna Emilia uskarżała mi się na to, że nie może zrobić wyboru pomiędzy starającymi się, rzekłem śmiejąc się:

— To niech pani idzie za mnie!

Popatrzyła na mnie i odpowiedziała z komicznie poważną miną:

— Kiedy pan dla mnie za stary, ja chciałabym bardzo młodziutkiego.

Zabawy były w sąsiedztwie częste, niewymuszone, proste a wesołe. Najczęściéj zbieraliśmy się bliższém kółkiem u Ludwikostwa Czarneckich w Obzyrze; kiedy starsi statecznie gawędzili, my młodzi zasiadaliśmy pod ogromną lipą, stojącą na dziedzińcu cerkiewnym, tuż obok domu, i śpiewaliśmy różne pieśni chórem lub pojedyńczo. Modne były: „Filon", „Ten bieg wody, te brzóz kilka", „Skowroneczku wzlatuj, nie tykając ziemi". — Tę ostatnią piosenkę niezrównanie śpiewał

Wacław Rzewuski, opowiem to na inném miejscu; modne jeszcze były „walce tyrolskie", z rozmaitemi modulacyami w głosie, które wykonywałem przy akompaniamencie angielskiéj gitary, a że i mundur dodawał uroku, więc téż miałem powodzenie między pannami.

Zaczęły téż wchodzić w modę „pieśń z wieży" i „Wilija" Mickiewicza, którą nauczyłem się śpiewać w Warszawie. Często więc ze wspomnionych piosenek urządzaliśmy koncerta; ja śpiewałem, akompaniując sobie na gitarze, a wuj Czarnecki, który tak znakomicie gwizdał przyłożywszy nóż do ust, że mógł dawać koncerta, wtórował mi.

Z książek polskich panie czytały: „Rinaldo Rinaldini", „Nową Heloizę", „Tysiąc nocy i jedna", a z francuzkich „*Les Mesmers et le Mesmeranisme.*"

Wspomnienie „Pieśni z wieży" i „Wilii" Mickiewicza przywiodło mi na pamięć Ludwika Osińskiego, który, kiedy pierwszy raz na lekcyi literatury rozbierał „Dziady" Mickiewicza i krytykował je zawzięcie, przytaczając wiersz: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie", zakończył rozbiór słowami: „Głupio było, głupio będzie"! Oburzeni byliśmy na niego za to orzeczenie, wyraziwszy nasze niezadowolenie sykaniem. Jednak późniéj tenże sam Osiński z téjże katedry przepraszał nas za swe pierwsze zdanie, rozbierając z zachwytem wiersz z tychże samych „Dziadów":

Ach ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,
Że nie śmiem licem skazić jéj bezbronnych ustek,
I gdy dobranoc oddaję przy księżyca blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jéj listkiem cyprysu oczu nie przykryję.

Każdy z nas umiał te wiersze na pamięć, nieraz je deklamowaliśmy całemi godzinami. Pojawiające się od czasu do czasu poezye Mickiewicza elektryzowały młodzież, ba nawet i starszych. Tenże sam Osiński, który z początku tak napadał gorąco, późniéj z katedry wykładał nam: że czas klasycyzmu już przeszedł; klasycyzm był tylko nieudolném naśladownictwem starożytnych greckich i rzymskich pisarzy.

Tęskno mi po tych czasach, gdzie obyczaje tak były naturalne i proste, a ludzie zupełnie niepodobni do dzisiejszych! Jaka to przytém była taniość tego życia. Pamiętam pensye płacone przez moich wujostwa niektórym ze sług, i tak: pisarz prowentowy otrzymywał rocznie sto złotych, dwie pary butów i przyszycie, również jak i stół z garderobianemi pannami; ekonom brał trzysta złotych i ordynaryę bez ograni-

czenia, a już pełnomocnik brał sześćset złotych do tysiąca! — Była to suma ogromna na owe czasy i nic dziwnego, kiedy najprzedniejsze damskie trzewiczki safianowe z bandażami do wiązania kosztowały dwa złote, buty męzkie dziesięć, a już bardzo wytworne ze sztylpami piętnaście lub dwadzieścia złotych! Pamiętam, w czasie mojéj bytności u matki w Teofipolu, krawiec ze swemi niektóremi dodatkami wziął za robotę salopy piętnaście zlotych,—była to suma niesłychana, to téż targowano się o nią cały dzień.

Ale wracam do mego pobytu w Stobychwie. Wuj mój wziął w posagu po żonie wieś Kustowce w powiecie Starokonstantynowskim, gdzie był ładny i duży dom murowany, park i cieplarnie. A ponieważ wujenka moja jako ukrainka, tęskniła za stepami, nie mogąc przywyknąć do lesistych widoków Polesia, pomimo to, że położenie Stobychwy było ładne, postanowiono wyjechać na mieszkanie do Kustowiec.

Po przyprowadzeniu więc do porządku ogrodu Stobychowskiego, zaczęły się pożegnalne wizyty w sąsiedztwo, w których ja również brałem udział. Na intencyę więc tych pożegnań odbyło się w sąsiedztwie parę wieczorków, na których bawiliśmy się doskonale.

Pan Kajetan Czarnecki był bardzo łagodnego charakteru, kochał przytém swoich włościan poleszuków, z których dużo kiedyś służyło w milicyi nadwornéj jego ojca, pana starosty, w czasie konfederacyi Barskiéj. Nie wiedząc więc, czy powróci kiedy na mieszkanie stałe między swych poleszuków, postanowił pożegnać się z włościanami. Więc téż na kilka dni przed wyjazdem ustawiono stoły na dziedzińcu przed domem i zaproszono na ucztę obiedwie gromady z miasteczka Stobychwy i ze wsi Werchów.

Kiedy się gospodarze zebrali, wujostwo wyszli przed dom, a powitawszy gromady, wuj mój przypił do najstarszego z włościan, i koléj poszła daléj, tymczasem odezwały się basy, skrzypka i bębenek, a parobczaki zaczęli hulać.

Chłop poleski w ogóle jest łagodny, posłuszny, nie zuchwały, tak jak ukrainiec, ale nie wszędzie wiązały go szczere stosunki z właścicielem. Było dużo takich panów, którzy poczciwy lud ten przeciążali nadmierną robotą, daninami, mytem, najmem na flisaków i t. d. Chociaż chłop się nie buntował tak otwarcie, jak głębiéj na Wołyniu, ale zawsze nie sprzyjał panu, wyrządzając mu pokryjomu szkody. W Stobychwie było zupełnie inaczéj, dziedzic był sprawiedliwy, dbały o dobrobyt podd nego; to téż chłopi byli do niego szczerze przywiązani, nigdy nie czyniąc skarbowi najmniejszéj szkody, i rzecz szczególna, dbający o dobro pańskie również, jak o swoje własne. Między dworem a włościanami

były stosunki zupełnie patryarchalne. Nie słyszałem również o najmniejszéj popełnionéj kradzieży we dworze, o czém sam późniéj przekonałem się, kiedy po śmierci wuja dostała mi się w udziale Stobychwa. Zdarzało się nieraz, że uprząż i rzemienie, co właśnie jest rzecz najwięcéj łakoma dla naszego chłopa, nocowały przy stajni, a nie pamiętam wypadku złodziejstwa.

Ale otóż wyjechaliśmy ze Stobychwy, przeprowadzani przez włościan przez całe miasteczko i groblę z chlebem i solą. Chłopi, a szczególniéj baby, płakały tak, jakby się już na całe życie żegnały ze swoimi dziedzicami. Jakoż wujenka Antonina nigdy już nie była w poleskim majątku, gdyż w parę lat po wyjeździe zachorowała, a wyjechawszy za granicę dla leczenia się, tam umarła.

Jechaliśmy ze Stobychwy rzemiennym dyszlem, z Polesia na Wołyń, najprzód do Pohurska do Kossakowskich, daléj do Radoszyna do Skorupskich, skąd późniéj jednym ciągiem pod Równe do Buhryna, do stryjecznego brata wuja, pana Franciszka Czarneckiego.

Pan Franciszek, bogaty sam z siebie, wziąwszy przytém duży posag po żonie, Pauszance, mieszkał wspaniale, dając częste asamble i bale. Dom w Buhrynie, chociaż murowany i obszerny, nie zawsze jednak mógł pomieścić przybyłych na fetę gości z odległych stron, więc pan Franciszek Czarnecki zbudował przy stodole ogromny lamus, w którym była ułożona podłoga, niby posadzka; na tydzień przed balem lamus się oczyszczał, podłoga zaprawiała woskiem, zawieszano świeczniki, i sala była gotowa.

Przyjechaliśmy na dłuższy czas do Buhryna. Pan Franciszek miał syna Izydora, znacznie młodszego odemnie, ale bardzo roztropnego chłopca, miał wielką zdolność do muzyki, biegle grał na skrzypcach, więc urządzaliśmy często koncerta—ja wtórowałem na gitarze; oprócz tego robiliśmy częste wycieczki spacerowe piesze i konne ponad brzegami Horynia. Dom w Buhrynie stał na dość wyniosłym, łagodnie spadzistym pagórku, z którego rozciągał się obszerny widok na płynący u stóp pagórka Horyń, formujący to stawy, to znowu wijący się wężowo w różnych kierunkach; daléj poza rzeką widać było rozległe łąki, poza któremi w oddali zieleniały dąbrowy. Widok to był czarujący, po całych dniach można było przesiadywać na balkonie wychodzącym na ogród, ciągnący się w dole, i napawać cudnym krajobrazem. Przytém jeszcze mieliśmy w rzece kąpiel doskonałą, więc téż często z Izydorem, po odbyciu odległego konnego lub pieszego spaceru, z prawdziwą przyjemnością szliśmy odświeżyć się kąpielą w przejrzystych wodach Horynia. Przez cały czas bytności mojéj w Buhrynie nie było

liczniejszego zebrania, gdyż pani Franciszkowa była niezdrowa, a przyjmowanie większéj liczby gości męczyło ją. Za to z wujem Kajetanem jeździliśmy w sąsiedztwo. Parę razy byliśmy w odwiedzinach u jego szkolnego kolegi z wiedeńskiego *Teresianum*, pana Omiecińskiego, w Urwennéj w powiecie ostrogskim.

O Omiecińskim rozpowiadał mi mój wuj następującą historyę:

Kiedy byli w *Teresianum*, Omieciński był jednym z najspokojniejszych uczni, oddawał się tylko naukowym studyom, nawet nie uczył się fechtunku, jak drudzy, przygotowując się raczéj na uczonego, niżli na żołnierza, którym późniéj stał się przymusowo, służąc w szwoleżerach Napoleona I. A było to tak:

Brat starszy Teleżyńskiego, o którym wyżéj mówiłem, był swego czasu sławnym awanturnikiem, należąc do tak zwanéj „Tężyzny"— miał nie wiem już wiele pojedynków, z których zawsze wychodził zwycięzcą, umyślnie jeżdżąc i szukając ich. Szczególniéj zaczepiał oficerów rosyjskiéj gwardyi hułanów i huzarów, stojących na Wołyniu. Naprzykład raz, długo nie mając żadnéj awantury, pojechał szukać jéj między huzarów, stojących wówczas w Równém; dowiedziawszy się, gdzie się zwykle zbierali na obiady, poszedł tam umyślnie; wszedłszy do sali, kazał służącemu postawić nakrycie przy tym samym stole, gdzie siedzieli huzary, a siadając pochylił się ponad stołem i wysunąwszy naprzód głowę, zwrócił się do siedzącego z lewéj strony huzara, krzyknąwszy mu w nos: brrrm! brrrm! obwiodłszy następnie głową kręgiem stołu. Huzar jak oparzony zerwał się z miejsca, lecz drudzy zaczęli się śmiać i któryś krzyknął: „Teleżyński"! Do pojedynku nie przyszło, a zaczęto tylko pić na umor.

Po tém przejściu znowu długi czas Teleżyński „nie miał żadnéj roboty", jak się zwykle wyrażał. Otóż gdzieś raz na balu upatrzył sobie coś do Omiecińskiego, który się tam znajdował, Teleżyński zaczął się czepiać do niego, z czego wywiązała się skandaliczna scena, która skończyła się pojedynkiem. Przed rozprawą sekundanci uczyli Omiecińskiego, jak miał trzymać pistolet w ręku, gdyż nawet tego nie umiał. Teleżyński, jako wyzwany, miał pierwszy strzał, strzelił i chybił, Omieciński stał może minutę z wymierzoną do przeciwnika bronią—nareszcie Teleżyński krzyknął: „Strzelaj!" Omieciński drgnął, ruszył cyngla, strzał padł—Teleżyński trafiony w serce, padł na miejscu.

Omieciński bojąc się odpowiedzialności, zemknął za granicę do Francyi; było to w 1808 roku, zaczęła się właśnie wojna z Hiszpanią, wstąpił więc do szwoleżerów Kozietulskiego, był pod Sommo-Sierrą, dostał krzyż wojskowéj zasługi, po kampanii 1812 roku wrócił do kra-

ju i osiadł w majątku, pracując jako wzorowy gospodarz i powiatowy literat, klecąc okolicznościowe wierszyki.

Jadąc do Omiecińskiego do Urwennéj, przejeżdżaliśmy przez Hulczę, tu mi wuj znowu rozpowiadał o przejściu pani Zakrzewskiéj, z domu Radziwiłłówny, z cesarzem Aleksandrem I.

Kiedy w r. 1816 cesarz jechał do Warszawy z balu wydanego dla niego w Hrehorówce przez panią Hetmanową Rzewuską, matkę Wacława, dużo mężczyzn i kobiét wyjeżdżało na drogę, którą ciągnął dwór, aby widziéć cesarza chociażby zdaleka. Otóż między ciekawemi, była właśnie pani Zakrzewska, mieszkająca w sąsiedztwie Hulczy; dowiedziawszy się, że cesarz ma się zatrzymać tam na stacyi pocztowéj, gdzie było przygotowane śniadanie, wyjechała na trakt pocztowy i zatrzymała się niedaleko stacyi, z boku przy drodze, aby widziéć go przejeżdżającego.

— Rozpowiem ci całe to przejście — rzekł mi wuj — jak je sam słyszałem opowiadane przez panią Zakrzewską.

„Kiedy dowiedziałam się, że cesarz w rannych godzinach ma przejeżdżać przez Hulczę, nie mając czasu ubierać się, tylko w rannéj sukni, w papilotach, nocnych duńskich rękawiczkach bez palców, wsiadłam do karety, kazałam jechać na trakt i zatrzymać się z boku drogi niedaleko stacyi, aby widziéć defilujący dwór i zobaczyć monarchę.

Nie wyszło pół godziny, kiedy zobaczyłam idącego jakiegoś generała traktem; wychyliłam się więc z powozu, mając zamiar prosić go, aby się zbliżył i powiedział mi, czy daleko jeszcze cesarz, ale nie miałam odwagi tego uczynić; w téj chwili zauważyłam, że idący mnie dostrzegł i zaczął podchodzić do powozu. Był w zielonym mundurze bez żadnych orderów."

— Trzeba ci wiedziéć — dodał w tém miejscu mój wuj, — że pani Zakrzewska była bardzo ładna, cesarz zaś lubił piękne twarzyczki.

„Otóż kiedy generał podszedł do karety, ukłonił mi się grzecznie i spytał:

— Kogo pani tak wygląda?

— Chciałabym bardzo widziéć cesarza—odpowiedziałam.

— Cesarz będzie za chwilę—rzekł generał.—Cały orszak posuwa się powoli, gdyż coś się zepsuło w powozie cesarskim.

Jakoż rzeczywiście tak było.

— A pani sama daleko mieszkać raczy?—pytał daléj.

— Niezbyt daleko – odpowiedziałam. — Chciałabym bardzo widziéć N. Pana. Mówią, że jest bardzo miły, ale ponieważ ledwo godzinę ma się zatrzymać w Hulczy, nie miałabym czasu ubierać się jak do

dworu, aby mu być przedstawioną. Proszę więc pana generała zrobić mi tę grzeczność i pokazać mi go, gdy nadjedzie.

— Nie omieszkam tego uczynić, stosując się do pani rozkazu.

Cała ta rozmowa była prowadzona w języku francuzkim, generał ciągle stał oparty w oknie karety.

— Z kimże mam honor rozmawiać?—zapytał.

— Jestem Zakrzewska, z domu Radziwiłł, mam o parę werstw stąd posiadłość.

Wtém zauważyłam, że powozy cesarskie nadciągnęły, a do mojéj karety podbiegło kilku oficerów, zbliżając się z wielkiemi oznakami uszanowania do rozmawiającego ze mną wojskowego, który w téj chwili rzekł:

— Pani chciała widziéć cesarza, mam honor przedstawić się, — i podał mi rękę.

Zarwałam rękawiczkę tak prędko, że aż pękła; pocałował mnie w rękę, dodając:

— Bardzo mi miło poznać panią; przyjemnie byłoby mi widziéć ją u dworu.—Ukłonił się i odszedł.

Byłam zła na siebie za mój ranny negliżyk, za duńskie rękawiczki bez palców i papiloty."

Hulcza leży w bardzo ładnéj miejscowości, jak w ogóle cały kraj przylegający lub niezbyt oddalony od brzegów Horynia, grunt wszędzie jest falisty, wzgórkowaty. Ziemia dobra, urodzajna, ale cóż stąd, kiedy ceny zboża były wtedy niezmiernie nizkie, korzec pszenicy był pięć złotych, korzec żyta trzy złote, a owsa worek dwadzieścia groszy! W tych okolicach jednak, zbyt zboża był łatwiejszy, niźli na Ukrainie, gdyż na Horyniu i rzeczkach do niego wpadających dużo było młynów, które zakupywały żyto i pszenicę po okolicznych dworach; przytém drogi były lepsze, więc dostawa łatwiejsza. Majątki téż były intratniejsze, oprócz tego, w wielu miejscach zaczęto budować gorzelnie, na przepęd gorzałki szło również zboże, którego ceny podniosły się, — ale za to inne produkta, jak jaja, masło, również konie, bydło, były za bezcen. Czterdzieści do pięćdziesięciu złotych płaciła się najlepsza krowa, a wół najwyborniéjszy sto, lub stopięćdziesiąt złotych. Dziesiątek jaj kosztował dwa grosze, kura dziesięć. Jednak rzecz godna zastanowienia, że przy tak nizkich cenach wszystkiego, pomimo przeciążenia chłopa pańszczyzną, mytami, daniną i innemi powinnościami, odrabianemi do dworu, więcéj ich było zamożnych, posiadających zasobne gospodarstwa, niżeli biednych; było nawet dużo między nimi takich, o których mówiono, że mają nawet zakopane pieniądze. Prawda, że po większéj części pochodziły one z hajdamackich grabieży, a być mo-

że, sięgały jeszcze czasów wojen kozaczych. Oprócz tego gdzieniegdzie po dworach pozostały jeszcze resztki stad koni, tak niegdyś mnogich, a uprowadzonych do Rosyi za Katarzyny II. Łatwo więc można było spotkać się z dobrym koniem pociągowym lub wierzchowym. Koń za tysiąc złotych—to już był taki, jakiego dziś nie kupić i za tysiąc rubli. Stosunkowo, ludzie byli bogatsi przy mniejszéj ilości pieniędzy, gdyż i potrzeby były mniejsze.

Zostawiwszy wujostwa w Bubryniu, pojechałem do powiatu ostrogskiego, do młodszéj siostry mojéj, Balbiny, do Radohoszczy, majątku jéj męża, Wiarkowskiego. Był to przyjaciel i powiernik książąt Jabłonowskich, który nawet układał schedy między nimi. Drogi koło Radohoszczy były okropne, wśród jarów i wąwozów niezmiernie głębokich, a tak wązkich, że wjeżdżając do którego z nich, trzeba było najprzód hukać, aby jadący naprzeciw, jeśli był, stanął na początku szyi wąwozu, lub téż odhuknął się, że już jedzie jarem, gdyż zjechawszy się nie było sposobu minąć. W niektórych takich jarach, dla ułatwienia wymijania się, szła droga, jakby gradusami, jedna nad drugą. A że w czasach, które opisuję, jary te były okryte gęstym lasem, który się łączył z ogromnemi puszczami Ostrogskiemi i Wiśniowieckiemi, pełno więc w nich było opryszków, tak, że droga była niebezpieczna nietylko w nocy, ale i w dzień.

Miejscowa policya nie ścigała ich, dzieląc się często nawet z nimi znaczniejszym łupem; to téż bandy ich stawały się nieraz plagą całéj okolicy. Rozpowiadano mi, że w tych jarach ukrywał się nieraz nieustraszony Karmeluk, o którym lud dotąd jeszcze śpiéwa pieśni, a które, za moich czasów, były nawet modne między paniami.

Rozpowiadano o Karmeluku, że się go kule nie imały, zawsze zwycięzko wychodził z najcięższych terminów, dopiéro podstępem został zabity; zdradziła go kochanka, polubiwszy drugiego, jakiegoś chodaczkowego szlachetkę, który lał podobno siedm razy kulę na siedm ziarn święconéj pszenicy i taką dopiéro kulą zabił Karmeluka, kiedy ten wchodził do chaty swéj kochanki.

Karmeluk najwięcéj dokazywał w powiecie ostrogskim i części dubieńskiego, rzadko ukazując się w sąsiednich wiśniowieckich, również rozległych lasach, gdzie obawiał się spotkania z czujną milicyą pana marszałka koronnego Mniszcha. Mówią, że nawet umiał czytać i pisać, a napadał tylko na bogate dwory i żydów, zrabowane zaś pieniądze rozdając między biednych chłopów, zaściankową szlachtę, uposażając najhojniéj, bezdomne sieroty. Zdaje mi się jednak, że Karmeluk był to zwykły opryszek, jak wielu innych, otoczyło go tylko taką

gloryą poetyczne usposobienie naszego ludu wiejskiego, który zawsze ma skłonność do wiary w rzeczy nadprzyrodzone i niezwykłe, robiąc z muchy wołu. Jednak, kto rzeczywiście był Karmeluk? zostało to dotąd tajemnicą.

Jary otaczające Radohoszcz były przyczyną śmierci mego szwagra, Wiarkowskiego, który jako zapalony myśliwy, w pościgu za dzikiem, razez z koniem i saneczkami wpadł w jar; koń się zabił na miejscu, Wiarkowski zaś wylatując z sanek, upadł na wystający pień, przy którym sterczał suchy odłamek gałęzi, ta przebiła mu nogę na wylot, leżał więc niemogąc zdjąć nogi z kołka przeszywającego ją; nim się myśliwi zebrali, spłynął znacznie krwią, chociaż rana zagoiła się, ale noga zaczęła usychać. Kiedym go odwiedzał, już nie mógł chodzić o własnéj mocy, wkrótce późniéj umarł, przeżywszy z żoną ledwo lat kilka.

Z Radohoszczy znowu pojechałem do matki do Teofipola. Drugi mój szwagier, Widawski, przy którym mieszkała matka, był w ciągłych rozjazdach po nad granicą, jako naczelnik straży pogranicznéj w Drużkopolu. Dobrze mu się działo, gdyż energicznie prowadząc nadzór, łapał nieustannie przemytników, a że przemycany towar był najczęściéj bławatny, otrzywymał więc od złapanych towarów grube procenty rządowe.

Będąc w Teofipolu, niedaleko od Wiśniowca, postanowiłem odnowić dawną znajomość z panem Karolem Mniszchem, jeszcze z czasów szkół krzemienieckich, i zaprezentować się już jako oficer; pojechałem do niego, trafiłem właśnie na jakiś bal w Wiśniowcu, dużo było gości, zabawa jeszcze po dawnemu była świetna, a że pani Karolowa była ładna, to i kręciłem się koło niéj.

Pani Mniszchowa bardzo lubiła walca, rozmawiając z nią powiedziałem, że ja tańcząc go, nie męczę się prawie i, jak dotąd, nie znalazłem danserki, która mogła by mi sprostać.

— Jednakże poszłabym z panem o zakład — rzekła pani Mniszchowa, — że tańcząc ze mną, pan prędzej zmęczy się odemnie.

— Czy pani pozwoli, abym jéj dowiódł że nie? — odpowiedziałem—przekonany jestem, że walcując ze mną, powiedziałaby pani pierwsza „dosyć”.

— O wcale nie! a na dowód, że się pan prędzéj zmęczy odemnie, zrobimy trzy kręgi naokoło sali, nie zatrzymując się.

— Zgoda!—odrzekłem—służę pani.

Sala balowa w wiśniowieckim pałacu ma ośmdziesiąt łokci długości na sześćdziesiąt szerokości. Puściliśmy się kręgiem, pierwszy i drugi krąg nie był jeszcze tak ciężki, lecz w trzecim, ostatnim czułem, że

mi zaczyna braknąć oddechu, w téj chwili spostrzegłem, że pani Mniszchowa zbladła niezmiernie, kiedy więc dochodziliśmy do końca trzeciego kręgu, udając zucha spytałem:

— A może jeszcze czwarty krąg?

— Nie! będzie!—odrzekła szeptem.

Nie miałem już siły podtrzymać mojéj danserki, padliśmy oboje prawie bez czucia na obok stojącą sofkę. Przyznam się, że pomimo mojéj silnéj budowy i dwudziestu czterech lat, przez parę dni po tym szalonym walcu czułem się niezmiernie zmęczony.

Był to podobno ostatni już świetny bal w Wiśniowcu, gdyż fortuna Mniszchów, chociaż tak ogromna, była znacznie uszczuplona życiem pani marszałkowéj Mniszchowéj zagranicą i wypłaconemi posagami dwóm siostrom pana Karola, Radziwiłłowéj i Jabłonowskiéj Antoniowéj.

Odpocząwszy parę dni po owym szalonym walcu, wróciłem do matki do Teofipola, gdzie zastałem wezwanie od wuja Czarneckiego, abym przyjeżdzał do Kustowiec, gdyż wujostwo zostali zaproszeni do naszych krewnych, Proskurów, mieszkających w Kobyli pod Starym Konstantynowem: miało być u nich liczne zebranie na św. Kajetan, dla obchodzenia imienin, tak mego wuja jak i samego pana Proskury.

Proskurowie, herbu Proskura, należą do najstarszych rodów Wołynia, niegdyś bogaci, lecz w ostatnich zamieszkach krajowych stracili wszystko. Proskurowie, chociaż zubożeli, należeli jednak do arystokracyi wołyńskiéj, podtrzymując dawne stosunki, posiadali przytém ogólny szacunek, jako ludzie ze wszech miar zacni i zasłużeni krajowi. Sama pani Proskurzyna, Stecka z domu, była cioteczną siostrą mojéj matki, należało mi więc być koniecznie w Kobyli dla oddania uszanowania starszym krewnym.

Na zebraniu, które przygotowywało się u Proskurów, miał być również Wacław Rzewuski, blizki sąsiad mieszkający w Kuźminie, Rzewuski niedawno był powrócił ze swego długiego pobytu na Wschodzie, gdzie w Arabii, w pustyniach Alepu został nawet emirem, pod przybraném nazwiskiem „Tadżiul Effendi“ albo „Brat księżyca“. Przyczyną téj jakby ucieczki na daleki wschód było niefortunne staranie się jego o młodszą Mniszchównę, Paulinę.

Kiedy byłem jeszcze w szkołach w Międzyrzecu Koreckim, pamiętam przejeżdzającego tamtędy kilka razy Rzewuskiego; zawsze miał usposobienie trochę kozacze, prawdziwego syna stepów. Wszelkie podróże odbywał konno. Przodem jechał zwykle sam, obok przy nim pieśniarz lutnista, Widord, z teorbanem przewieszonym przez plecy i łukiem przy siodle; tenże sam Widord dostał się późniéj do księcia Ro-

mana Sanguszki, po zniknięciu Wacława Rzewuskiego po bitwie pod Daszowem. Za Rzewuskim i Widordem jechali kozacy dworscy, za którymi dopiero szły powozy, cugi, konie wierzchowe, kuchnie, charty, cały dwór. Wyglądało to, jak jaki pochód wojska.

Wacław Rzewuski był bardzo przystępny, miły w obejściu, współczujący niedoli ludzkiéj, pomagał każdemu, kto się tylko udał do niego z prośbą o pomoc. Tak zaś namiętnie lubił muzykę, że kiedy usłyszał kogo, kto miał ładny głos, lecz bez muzykalnego wykształcenia, ofiarowywał się na nauczyciela. Rozpowiadano mi o nim, że raz, już po swoim powrocie do kraju, przechodząc ulicą w Żytomierzu około otwartego okna, usłyszawszy głos jakiéjś śpiéwającéj kobiéty, który był dźwięczny lecz zupełnie niewyrobiony, i widoczne było, że śpiéwająca nie posiada wykształcenia muzycznego, wszedł do mieszkania, przedstawiwszy się gospodarzowi kto jest, ofiarował się na nauczyciela śpiéwu. Śpiéwającą była córka państwa Tęgoborskich, mieszkających w Żytomierzu. Rzewuski po prezentacyi i zamianie pierwszych grzeczności, zwracając się do panny, rzekł:

— Głos pani ma prześliczny, tylko nie wyrobiony, a ponieważ szkoda byłoby, gdyby się zmarnował, więc jeśli rodzice pani pozwolą, mogę jéj udzielać lekcyi śpiéwu.

Po niedługiém ceremoniowaniu się, Tęgoborscy zgodzili się, Rzewuski osiadł na kilka miesięcy w Żytomierzu, dając pannie lekcye śpiéwu. Tęgoborska była bardzo brzydka, a jedyną zaletą był piękny głos, który posłużył jéj do tego, że została panną do towarzystwa przy pani Piotrowéj Moszyńskiéj, późniejszéj Jurjewiczowéj.

U Proskurów dom był urządzony na stopę wielkopańską Kobyla był to majątek posagowy saméj pani; dobra Proskuréw były skonfiskowane jeszcze ojcu pana Kajetana, zostało mu tylko kilkanaście koni z dawnego stada, które przechowywały się gdzieś u dalszych krewnych; po ożenieniu sprowadził konie do Kobyli i uformował stado, a chociaż bardzo małe, jednak były w niém konie wielkiéj krwi. Po śmierci Proskury zmarnowało się, przeszedłszy w ręce dalszych krewnych nie amatorów.

Proskurowie nie mieli dzieci, bawiły tylko przy nich siostrzenice pani Proskurzyny, trzy panny Załęskie: Herminia, Eliza i Emilia. Ponieważ Proskurowie byli ludzie niemłodzi i bezdzietni, nigdy więc u nich nie było zabaw tańcujących, pomimo to, że na św. Kajetana zbierano się zawsze bardzo licznie. Na imieninach Proskury, które opisuję, byli Czeczele, Trzeciaki, Grocholscy, Giżyccy z Mołoczek, Przełuscy z Butowiec, pani strażnikowa koronna księżna Sanguszkowa i wielu innych, między którymi był i Wacław Rzewuski, który

jeszcze wtedy chodził we wschodnim stroju. Po zwyczaju, przyjechał konno, przy nim kozacy i Widord, za nimi dopiero nadciągnęło kilka powozów, pomimo to że Kuźmin był niedaleko.

Rzewuski przyjechał na swojéj sławnéj klaczy kasztanowatéj, którą, jako „emir" jakiegoś arabskiego pokolenia, wyprowadził z Alepu. Podanie niosło, że klacz Rzewuskiego „Gaza" pochodziła w prostéj linii od jednéj z najpiękniejszych siedmiu klaczy Mahometa, była z pokolenia „Nedżi." Wedle opowieści Arabów, konie „Nedżi" rodzą się ze skrzydłami u nóg i dlatego przychodzące na świat źrebięta przyjmują się od klaczy na ręce, jak dzieci, aby padając na ziemię nie połamały skrzydeł u nóg, gdyż wtedy straciłyby całą swoją wartość. Rzeczywiście, klacz Rzewuskiego była tak piękna, że nic podobnego nie widziałem ani przedtém, ani późniéj. Rzewuski nigdy nie rozstawał się z nią, nieraz całemi godzinami siedział, wpatrując się w swoją „Gazę", przemawiając do niéj jak do człowieka, jednak zawsze tylko po arabsku.

Ponieważ tańców nie było, więc obiad był o godzinie trzeciéj popołudniowéj. Przy obiedzie Rzewuski opowiadał o życiu w pustyni koczujących Arabów; opowiadania tego słuchał z niezmiernem zajęciem cioteczno rodzony brat mojéj matki, wówczas jeszcze bardzo młody, Karol Drzewiecki, który późniéj w lat kilkanaście, może pod wpływem słyszanego wtedy, przedsięwziął był podróż na wschód do Palestyny, Arabii i Egiptu.

Po skończonym obiedzie, dawniejszym zwyczajem, młodzież zaczęła się popisywać strzałami z pistoletu do tarczy i wierzchową jazdą, a że, jak powiedziałem, Proskura miał jeszcze resztki stada, poprzyprowadzano więc konie osiodłane, i jaki taki próbował swojéj zręczności. Popisom owym przypatrywały się z okien panie, a starsi mężczyźni z ganku. Zaczęto téż nalegać na Rzewuskiego, aby kazał przyprowadzić swoją klacz „Gazę" —po pewném ociąganiu się, zgodził się na to, poszliśmy z nim do stajni, gdzie sam osiodławszy klacz, wsiadł na siodło i zaczął jeździć naokolo gazonu, robiąc na miejscu rozmaite najtrudniejsze zwroty i wolty, nakoniec kazał przynieść długą nitkę.

Dom w Kobyli był z podjazdem, opartym na czterech filarach, otóż Rzewuski prosił dwóch młodych ludzi, aby każdy z nich wziął za koniec nitki, i stojąc jeden na progu drzwi, drugi między kolumnami podjazdu, trzymali ją poziomo na wysokość połowy człowieka, wtedy odjechał od ganku na kilkadziesiąt kroków i puścił się z miejsca jak wicher, a przyskoczywszy do trzymanéj nitki, osadził klacz na miejscu, zupełnie na zadzie, późniéj podjął ją w górę przedniemi nogami, popuściwszy w téj samej chwili cugli, klacz przeniosła nogi za nitkę tak lekko, że jéj nie zerwała i zaczęła kurcgalopa na miejscu raz z prawéj

nogi, to znowu z lewéj, ani na włos nie posuwając się ani naprzód, ani natył! Wtedy Proskura, który miał zwyczaj, jeśli co go mocno zajmowało, czmychnąć naprzód parę razy w nos, nim się odezwał:

— Thm! thm! Przyznam się acaństwu dobrodziejstwu,— rzekł — że lepszy jeździec, jak koń!

Powiedzenie to Proskury tak rozgniewało Rzewuskiego, że skłoniwszy się tylko towarzystwu, zawrócił na miejscu konia i odjechał do domu Młodzież pogoniła za nim konno, prosząc aby wrócił, tłómacząc, że Proskura nie miał najmniejszego zamiaru obrazić go, jednak nic to nie pomogło.

Temu właśnie zdarzeniu zawdzięczam, że w parę dni potém byłem w Kuźminie u Rzewuskiego z wujem Proskurą, który chociaż o wiele starszy wiekiem od pana Wacława, jednak pojechał do niego wytłómaczyć mu, że nie przypuszczał nawet, aby go mógł obrazić, chwaląc więcéj jeźdźca niźli konia. Proskura chociaż starszy wiekiem, jednak dlatego pojechał do Rzewuskiego pierwszy, że ten czuł się obrażonym w jego domu, powtóre szanował go jako człowieka ze wszech miar zasługującego na szacunek za swe czynności. W moje czasy ludzie bardzo wyrafinowanym sposobem pojmowali obrazę, wskutek czego stosunki towarzyskie były tak miłe.

Rzewuski nie mieszkał w pałacu, tylko nad stajnią kazał wyporządzić trzy pokoje, umeblował je po wschodniemu. Ściany obciągnięto perskiemi makatami, podłoga wysłaną była takiemiż kobiercami. Dokoła pokoi stały małe, niskie tureckie sofeczki; wszędzie porozwieszane były nad niemi rozmaitego rodzaju kosztowne wschodnie broń i rzędy na konie. W sypialnym pokoju za całe umeblowanie starczyła miękka sofka, okryta końską białą skórą, poduszkę zastępowała kulbaka czerkieska; z sypialni prowadziły wschody kręcone wprost do stajni. Konie stały w klatkach nie wiązane, poznawały po głosie swego pana, odzywając się do niego radosném rżeniem. Jednak całą ozdobą i bogactwem była „Gaza”.

Rzewuskiego, jak zawsze chodził, zastaliśmy w stroju Beduina. Po przywitaniu i tłómaczeniu, że nawet myśl obrazy emira nie powstała w głowie Proskury, nastąpiło przyjęcie wschodnim obyczajem, podano fajki, sorbet, kawę i bakalie. Po którém nastąpiła prezentacya koni, z któréj powróciwszy prosiłem pana Wacława, aby raczył cokolwiek zaśpiéwać. Więc z początku wystąpił Widord z pieśniami, późniéj Rzewuski wziął teorban i śpiéwał „Skowroneczku wzlatuj nie tykając ziemi”. Cudnie, pięknie brzmiała w w ustach jego ta melodyjna piosenka; nigdy nie zapomnę pierwszego wrażenia. Następnie śpiéwał

niektóre piosenki arabskie, których nuta była monotonna, nużąca, dźwięk tylko wymawianych wyrazów podobał mi się, gdyż był dość miękki.

Jakim sposobem został emirem, naczelnikiem pokolenia, nigdy o tém nie mówił, napomknął tylko, że miał firman i irade od sułtana do Arabów. W Alepie był najpierw w roli niby zarządzającego. Jak się późniéj dostał na pustynię i był emirem,—była to jego tajemnica. Wnoszę z niektórych opowiadanych przez niego szczegółów, że musiał między Arabami udawać muzułmanina, lub może przyjął islamizm? — lecz zastrzegam sobie, że to są moje osobiste domysły. Po skończonych śpiéwach, o godzinie trzeciéj popołudniowéj podano obiad, ale zupełnie europejski, chociaż było parę potraw wschodnich, silnie zaprawionych pieprzycą. Po obiedzie, późnym wieczorem wróciliśmy do domu.

Po 31-ym roku, słyszałem od naocznego świadka bitwy pod Daszowem, który mi mówił, że po rozbiciu jazdy Rzewuskiego umknął on z jednym tylko wiernym kozakiem, uciekał zaś na swojéj sławnéj „Gazie", ale obaj przepadli gdzieś bez wieści. Otóż, jeśliby Rzewuski był zabity przez towarzysza ucieczki, ten nie zabijałby również wierzchowca swego pana, lecz sprzedałby go gdziekolwiekbądź. Koń bowiem był znajomy nietylko w kraju, lecz i na Wschodzie, łatwoby więc znalazł nabywcę. Jednak, pomimo najstaranniejszych poszukiwań, ślad Rzewuskiego i kozaka zaginął. A może pan Wacław dotarł znowu do stepów Arabii, gdzie ukrył się przed okiem ludzkiém? Słowem, gdzieby się podział, jest to zagadką dotąd nierozstrzygniętą.

Sześciomiesięczny mój urlop już się kończył, więc pożegnawszy Proskurów, zajechałem jeszcze po drodze do matki i pociągnąłem do Warszawy.

Podróż moja do Warszawy odbyła się spokojnie, bez wypadku godniejszego uwagi. Po przybyciu i zameldowaniu w sztabie, poszedłem do Krukowieckich oddać listy od wujostwa Czarneckich. Witali mnie bardzo serdecznie, przytém Krukowiecki mi powiedział, że prędko już będę wysłany na prowincyę, jako oficer „instruktor".

Tymczasem, korzystając z praw oficera, zacząłem uczęszczać do teatru, który właśnie, dzięki Bogusławskiemu, stanął bardzo wysoko za moich czasów, stosunkowo do tego, co było dawniéj. Dopiéro staraniem Bogusławskiego, pod którego okiem kształcili się aktorowie, stworzoną u nas została sztuka aktorska.

Sam, jako człowiek wiekowy, rzadko kiedy występował na scenę, jednak pamiętam go raz w roli ucznia, wybiegającego ze szkoły z książkami pod ręką; nie przypominam sobie nazwiska sztuki, to jedno tylko pamiętam, że nie wyszedł, lecz rzeczywiście wybiegł na scenę,

tak rzeźko i z takiém ożywieniem, również z tak doskonale udaną twarzą młodego chłopca, że oczom swoim nie chciałem wierzyć, aby to mógł być sędziwy patron naszéj sceny, którego przedtém kilka razy widziałem w towarzystwie, jako człowieka wiekowego.

Jednak w czasach, które tu opisuję, najsłynniejszym był niezrównany Aloizy Żółkowski, jako aktor i człowiek pełen humoru i dowcipu, za który jednak bardzo często musiał odsiadywać pod „Białym Orłem". Tysiące jest jego dowcipów, których tu nie będę powtarzał, gdyż ogólnie są znane.

Żółkowski często występował w sztuce, którą powszechnie bardzo lubiono, była to komedyjka: „Chłop za pana"; treść jéj jest następująca: Chłop, który sprzedawał miotły na ulicach Warszawy, siadł raz zmęczony, w cieniu kamienicy zamieszkanéj przez bogatego pana, a zamyśliwszy się o jego bogactwach, z któremi spotykał się na każdym kroku, usnął marząc o tém, czemu on również nie posiada bogactw, aby żył w szczęśliwości i spokoju. Otóż kiedy usnął, zbudził go dobry geniusz, mówiąc: że podsłuchał jego życzenia i spełnił je, kładąc miotlarzowi jeden warunek, że jeśli chociaż raz sarknie na swój obecny los, wszystko zginie, a on zostanie tém samém, czém był uprzednio.

Chłop rozbudzony, powiódł zdumioném okiem naokół, ujrzawszy się w zbytkowném pomieszkaniu, otoczony licznymi sługami, czekającymi jego rozkazów.

A że chłop od natury obdarzony był rozumem i bywały w świecie, potrafił więc odrazu zastosować się do obecnego położenia, zaczął tedy całą gębą używać swych bogactw, bywać w świecie i żyć wspaniale, jednak bardzo prędko przekonał się o ludzkim fałszu i mylnych pozorach, stanowiących podstawę towarzyskiego życia wielkiego świata; ponieważ był człowiekiem zacnym i prawym z natury, takie udawanie i fałsz zaczęły go niecierpliwić. Raz więc, znudzony ostatecznie ciągłém udawaniem, do którego musiał się sam stosować, żyjąc z ludźmi, zaklął haniebnie, żałując dawniejszego, chociaż biédnego lecz poczciwego życia. Po tém zaklęciu, wszystko jak cień zniknęło, i znowu ujrzał się siedzącym pod kamienicą z pękiem mioteł na sprzedaż; ponieważ zaś gruntownie poznał wielkopańskie życie swoich towarzyszy z przed chwili, więc téż, wzywając do kupna mioteł, śpiéwał rozmaite kuplety. — Tu Żółkowski był niezrównany, znając doskonale świat, układał stosowne wierszyki i jeśli śpiéwając patrzył na parter lub lożę, można było zrozumiéć, do kogo je stosował. Pamiętam jeden taki kuplet:

Co to za pani ta?
Co na głowie fioki ma?
I ten pański giest?
Wszak to kucharka jest!
A nie pójdziesz mi stąd
Do kuchni w kąt!
Miotły! — Miotełki mam!
Hej! sto miotełek wnet dam!...

Chociaż gniéwano się na Żółkowskiego za jego kuplety, jednak na każdém przedstawieniu „Chłop za pana”, w którém występował, teatr był zawsze wypełniony po brzegi; gdyż z kupletów Żółkowskiego, śpiéwanych do pewnéj osobistości, tworzyły się między ludźmi gawędy, podsycające plotki, z których Warszawa słynęła. Skwapliwie téż czytywaliśmy wydawanego przez Żółkowskiego „Momusa”, w którym w satyrze odzwierciedlało się całe ówczesne nasze towarzystwo. Każdego, do kogo był zastosowany dowcip, chociaż nazwisko nie było wymienione, odrazu jednak można było poznać. Żółkowski nigdy w żadnym wypadku nie tracił przytomności, z każdego położenia wywiązując się zawsze z humorem; pamiętam właśnie jedno podobne wydarzenie, którego byłem naocznym świadkiem.

Było w Warszawie dwóch młodych ludzi, zostających w ścisłych przyjaznych stosunkach, Rafał Rzeszotarski i Bykowski, którego imienia nie pamiętam dziś. Rzeszotarski mieszkał w Warszawie, Bykowski na prowincyi. Pan Rafał pojechał do kolegi w odwiedziny, skąd powiadomił ojca, że przyjedzie z przyjacielem extra-pocztą takiego a takiego dnia, prosząc przytém, aby na ten dzień ojciec wziął bilety do teatru i oczekiwał tam ich przyjazdu.

Stary Rzeszotarski, stosując się do prośby syna, w oznaczonym dniu bierze bilety i zajmuje miejsce w krzesłach pierwszego rzędu; był to właśnie występ Żółkowskiego. Przedstawienie miało się zacząć za chwilę, a młodzi ludzie nie zjawiali się. Stary zaczął się niecierpliwić; obok niego siedział generał placu, Aksamitowski.

Wtém Rzeszotarski słyszy, że oficer, który właśnie podszedł do generala, raportuje mu półgłosem: „Proszę pana generała, Wielki Książę w téj chwili aresztował dwóch młodych ludzi jadących do teatru, gdyż zrównawszy się z Wielkim Księciem, nie stanęli w powozie, kazał ich wsadzić pod „Białego Orła”. Rzeszotarski domyślił się w ten moment, że mowa tu o jego synu i Bykowskim; w téj saméj chwili, ledwo oficer skończył ostatnie słowo, kurtyna się podniosła i Żółkowski ukazał się na scenie; Rzeszotarski, nie mogąc się już wstrzymać, pod wpływem tak nieprzyjemnéj dla niego nowiny, klasnął

w dłonie i krzyknął na głos: „Zjédz sto dyabłów, to mój Rafał".— Żółkowski, który nie miał jeszcze czasu wypowiedziéć ani słowa, zwrócił się w stronę Rzeszotarskiego i ukłoniwszy się rzekł z największą flegmą:

— Nie Rafał, tylko Aloizy!

Teatr zatrząsł się od śmiechu i oklasków, Rzeszotarski uciekł.

Dużo rozmaitych dykteryjek krążyło o Żółkowskim, lecz były między niemi i zmyślone. Powtórzę tu jeszcze dwa jego dowcipy, których byłem świadkiem. — Pierwszy był taki: W czasie pewnego przedstawienia Żółkowski wypowiadał kuplety, które po większéj części sam składał, między innemi jeden z nich tak zakończył:

....Powiadam państwu szczerze,
Że Polska bez Bochni i Wieliczki
Nie warta i łojowéj świéczki!

Za swoje dowcipy bardzo często dostawał się pod „Białego Orła", jednak nic to nie pomagało, jak tylko mógł, zawsze wsadził zręczne i złośliwe słówko. — Drugi raz, pamiętam, dawano sztukę „Trupa aktorów w podróży". W jednéj z odsłon wprowadzono konia na scenę, który znalazł się bardzo nieprzyzwoicie, zostawując bobki; wtedy Żółkowski z pośpiechem podbiegł do niego, zdjął cylinder z głowy i przykrywając nieczystość, rzekł:

— Tylko, bardzo proszę, bez dodatków, bo to policya zaraz na zęby weźmie!

Po przedstawieniu, poszedł do kozy. Wydarzenie to rozmaicie opowiadano, powtarzam je tu tak, jak sam widziałem i słyszałem, będąc obecnym na przedstawieniu.

Oprócz Żółkowskiego, mieliśmy jeszcze w tym samym czasie znakomitą tragiczkę, Leduchowską; nigdy nie opuszczałem ani jednego przedstawienia, ile razy występowała. Bilety trzeba było zamawiać na kilka dni przed występem, gdyż inaczéj nie można było docisnąć się, tak teatr bywał zawsze pełen. Leduchowska miała bardzo wspaniałą postawę, a twarz tak ruchliwą, że każde najmniejsze rodzące się w jéj duszy uczucie odbijało się w jéj twarzy najwyraźniéj. Niezrównaną téż była w rolach szekspirowskich dramatów, jako to: w Ofelii, a szczególniéj, jako królowa, w „Makbecie", a także jako córka króla Leara.

Leduchowska jeździła na gościnne występy zagranicę, kiedy zaś powracała do Warszawy, tłumy cudzoziemców ciągnęły za nią, i chociaż nie rozumieli naszego języka, jednak szli do teatru, aby widziéć jedynie samą grę i akcyę, które były tak wymowne, że z intonacyi gło-

su, gry twarzy i ruchów odgadnąć można było treść sztuki jak uczucia poruszające ją w téj chwili. To téż widziałem Anglików, którzy przyjeżdżali do Warszawy, nie rozumiejąc zupełnie języka, czekali tylko występu Leduchowskiéj w znajomych im dramatach szekspirowskich, patrząc jedynie na jéj grę i ruchy, odgadywali znaczenie niezrozumiałych dla nich słów obcego języka. Być bardzo może, że przeceniam talent Leduchowskiéj, powiem jednak, że chociaż późniéj widziałem również wielkie artystki dramatyczne, ale wedle mnie nie dorównywały jéj w niczém. Między Anglikami, którzy przyjeżdżali widziéć grę wielkiéj artystki, zjawił się niejaki lord Cambridge, ktoby był taki nie wiem, lecz musiała to być osoba znaczna, kiedy miał listy polecające do Wielkiego Księcia Konstantego...

Oprócz tego, że był wielkim wielbicielem talentu Leduchowskiéj, jeździł przytém po świecie szukając takiego trunku, którym mógłby się upić! Wypijał setki pucharów rozmaitego wina, nigdy się nie upijając i nie tracąc przytomności. Powiadano mi, że jak ów sławny Bassompièrre, który duszkiem wychylał zawartość wina w szwedzkim bucie, to samo robił Cambridge.

Ale i my mieliśmy u siebie osobistość, która bodaj czy nie lepiéj piła od Anglika; był to generał Konarzewski, którego, podobno, jeden tylko dyabeł Boruta przepił raz, a i to wziął go jedynie sztuką, gdyż zamiast miodu, poił go smołą o miodowym smaku. Konsystując z pułkiem w Lublinie, słyszałem z wiarogodnych ust takie opowiadanie: Konarzewski mógł pić miód kilka godzin, nie wstając z miejsca i nie odejmując prawie od ust gąsiorka,—kiedy czuł, że mu we łbie szumi, wówczas przykładał czoło do zimnego muru, a po kwadransie znowu tak pił, jak z początku, i tak to mogło się przedłużać bez końca.

W Lublinie, po winnych handlach u żydów, były sławne stare miody, wystałe. Dawniéj szlachta kupowała antałami i dużemi partyami, późniéj, czasy się zmieniły, rzadko kto większą ilość kupował, więc żydzi wzięli się na sposób, zaczepiając przechodniów w te słowa:

— Jegomość! jegomość! może jegomość chce się upić starym miodem? to można za złoty! proszę do piwnicy!

Złotówka miała wtedy wielką wartość, jednak jaki taki zastanowiwszy się chwilkę, zgadzał się myśląc: „chociaż za złoty, ale przynajmniéj dobrego miodku się ożłopię!" Jednak mylił się, bo ledwo maleńką lampeczkę wychylił, zaraz usypiał przy antałku, usłużny zaś żydek wynosił go z piwnicy; — szlachcic zaś przespawszy się, nie czuł nawet w gębie smaku wypitego miodu.

Otóż nie znając Konarzewskiego, który przyjechał był właśnie do Lublina, zaczepiono przechodzącego ulicą w ten sam sposób; zgodził

się, wszedł do piwnicy, ale aby mu nie przeszkadzano, zamknął drzwi za sobą. Po kwadransie, żydówka dbała o zdrowie pijącego gościa, aby się nie przeziębił leżąc pijany na wilgotnéj ziemi, zeszła do piwnicy, lecz zastała drzwi zamknięte ze środka, zapukała więc w nie.

— Kto tam?—zapytał Konarzewski.

— Jegomość? czy jegomość jeszcze nie upił się?

— Jeszcze nie!—była odpowiedź.

Ale żydówkę to zaniepokoiło, że „jegomość” jeszcze się nie upił, więc po niedługiéj chwili znowu podeszła do drzwi piwnicy, robiąc to samo zapytanie, na które była odpowiedź jak uprzednio:

— Nie!

Kiedy jednak przeszło więcéj jak godzina, a gość nie wychodził z lochu i na każde stukanie do drzwi odpowiadał, że jeszcze się „nie upił”, żydówka zaczęła gwałtownie dobijać się do drzwi, prosząc o wpuszczenie; — Konarzewski otworzył i napowrót usiadł przy pełnym kuflu.

Czterogarncowe antały z miodem stały jeden na drugim, ułożone w jeden wielki stos, w końcu którego siedział Konarzewski.

Żydówka widząc, że gość zupełnie trzeźwy, spokojnie ciągnie miód ze szklenicy, podeszła do antałów i postukała w górny palcem, okazał się pustym,—postukała w stojący pod nim, ten był już do połowy nadpity, więc przestraszona krzyknęła:

— Aj waj! co to jest? Kto jegomość taki? pewno paskudnik! Niech jegomość sobie idzie, skąd przyszedł! Ja nie mogę taki handel prowadzić!

— Nie pójdę — rzekł Konarzewski — między nami była umowa, że ja mam prawo upić się za złoty, a ja jeszcze nie pijany.

— Ja mówię, że jegomość „paskudnik”, że takim miodem upić się nie może! Ja nie chcę! gwałt! ja jegomości oddam ten złoty i jeszcze drugi dam, proszę sobie tylko iść!

Po długich targach, Konarzewski, wziąwszy napowrót swój złoty, niby zapłatę, aby ustąpił, dopił dzbana i wyszedł — zupełnie trzeżwy, jakby nic nie pił. Późniéj żydzi strzegli się; proponując zaś upicie się miodem za złoty, nie puszczali do lochu, tylko zapraszali do izby pijącego...

Przed mojém wykomenderowaniem, jako oficera i instruktora, miałem być sekundantem Krukowieckiego z generałem Hejmansem; jednak wskutek tchórzostwa tego ostatniego, Krukowiecki darmo czekał kilka dni wyzwania.

Rzecz się tak miała: był przegląd wojska na Saskim Placu, z generałów Krukowiecki przyjechał ostatni, zsiadł z konia i podszedł do

rozmawiających z sobą generałów, między którymi znajdował się Hejmans; nie byłem tam blisko, nie słyszałem co mówiono, lecz widziałem jak po przywitaniu się zaczęto coś żywo rozmawiać. Krukowiecki trzymał pręt w ręku, którym zaczął rozmachiwać, zawadził nim o kapelusz Hejmansa, ale tak silnie, że zbił mu go z głowy; dostrzegłem zdaleka, że kółko rozstąpiło się szybko, lecz właśnie w téj saméj chwili zawarczały wszystkie bębny i Wielki Książę Konstanty swoim zwyczajem wpadł jak bomba na plac, generałowie rozeszli się do swoich miejsc, zaczął się przegląd i mustra, po których skończeniu wojska ruszyły do koszar.

Brygada Krukowieckiego stała w koszarach Mirowskich, a ponieważ 6-ty pułk liniowy, w którym służyłem, należał do téj brygady, więc i ja poszedłem z pułkiem, gdyż my oficerowie nie mieliśmy prawa oddalać się z pułku, nim stanął w koszarach. Krukowiecki podjechał do mnie i rzekł:

— Przychodź do nas na obiad, mam ci coś ważnego powiedzieć!

Zawrócił konia i odjechał do domu.

Domyśliłem się, że pewno rzecz idzie o jakieś nieporozumienie między Krukowieckim a Hejmansem, — gdyż stojąc w szeregach, widziałem, jak od uderzenia pręta kapelusz Hejmansa zleciał mu z głowy.

Po odprowadzeniu pułku do koszar, śpiesznie się udałem do generałostwa. Zastałem Krukowieckiego wzburzonego, a był to człowiek energiczny, a gwałtowny, odbył już był w swojém życiu kilka pojedynków; gdy wszedłem, rzekł:

— Zbiłem Hejmansowi kapelusz z głowy, — było to niby nie umyślnie zrobione, ale jeśli ma rozum, to musiał wyczytać w moich oczach, że pod pozorem nieuwagi uczyniłem to rozmyślnie, nie omieszka więc z pewnością wyzwać mnie na pojedynek, a ponieważ twój rodzony wuj jest moim szwagrem, postanowiłem prosić cię na sekundanta.

— Jestem na usługi pana generała—odrzekłem.

— Dziękuję ci! Chodźmy na obiad, a po obiedzie muszę odświeżyć sobie rękę, gdyż dawno już nie trzymałem pistoletu w ręku; a trzeba być przygotowanym na wszelki wypadek, jeśli ten dureń przyśle sekundantów!

Po obiedzie wyszliśmy do ogrodu i generał na piętnaście kroków raz po raz wsadził sześć kul w jedno miejsce jedna na drugą.

Czekaliśmy trzy dni na sekundantów Hejmansa, lecz ich nie przysłał, widocznie uważając zbicie mu kapelusza z głowy za nieuwagę Krukowieckiego.

Znając generała tak, jak ja go znałem, nigdy nie spodziéwałem się, aby na ostatku tak skończył, jak skończył. Był wprawdzie gwałtownego charakteru, często niezastanawiając się nad tém, co robił, działając pod wrażeniem momentu; jednak był to człowiek prawy, lubiony przez żołnierzy i podwładnych, chociaż koledzy nie bardzo mu sprzyjali za jego nieraz zanadto ostre obejście.

Nazywano go Katonem, Wielki Książę nie bardzo go lubił, nie wiem jednak przyczyny za co; nie przedstawiał go do orderów, ani téż do awansu, dopiéro krótko przed 1830-ym rokiem dostał pierwszą gwiazdę...

Tenże sam wspomniany wyżéj Hejmans miał również zajście z panną Kr., które doszło nawet do Księcia Konstantego.

Panna Kr., któréj tu nazwiska nie chcę wymieniać, gdyż jest to rodzina dobrze znajoma w kraju, kiedy młodzież polska biegła tłumnie do formujących się legionów Dąbrowskiego, a brat jéj nie chciał podążyć za drugimi, postanowiła sama zająć jego miejsce, lecz nie udało się jéj to, gdyż została zdradzoną przed rodzicami przez brata, więc trzymano ją jakiś czas jakby w więzieniu; w kilka lat późniéj znalazła sposobność i w roku 1807 przekradła się do Francyi, gdzie wstąpiła do szwoleżerów Napoleona.

Zaczęła się wojna hiszpańska 1808 r. i panna Kr., jako sierżant, znalazła się pod Sommo-Sierra, gdzie w czasie ataku na wąwóz została ranioną; w ambulansie okazało się, że jest kobiétą. Cesarz Napoleon kazał jéj wystąpić z pułku, ale dekorował ją legią honorową.

Panna Kr. wróciła do kraju, osiadła w Warszawie, nie chodziła wprawdzie ubrana po męsku, ale przy ceremonialnych występach zawsze nosiła na piersi krzyż otrzymany pod Sommo-Sierrą.

Otóż raz gdzieś w jakiémś zebraniu, gdzie się znajdował i Hejmans, ten ostatni odezwał się z przekąsem o jéj służbie wojskowéj, panna Kr. w ten moment opuściła zebranie, lecz w parę godzin przysłała mu sekundantów, wyzywając na pojedynek. Generał odpowiedział: że z babami nie wojuje i wyzwania przyjąć nie może.

Panna Kr. pojechała udekorowana na skargę do Wielkiego Księcia, Książę Konstanty posłał po Hejmansa, któremu kazał albo stanąć na placu, lub téż publicznie przeprosić pannę Kr.

Ale ponieważ panna eks-hułan podobno doskonale strzelała z pistoletu, jak również dobrze biła się na szable, więc Hejmans wolał ją przeprosić publicznie i tém się to całe zajście skończyło.

Co się późniéj z panną Kr. zrobiło, — nie wiem, gdyż wkrótce potém wymaszerowałem z pułkiem z Warszawy, gdzie dopiéro przyszedłem w czasie ogólnego ruchu wojsk w 1831 roku.

Zapomniałem wyżéj wspomniéć, że miałem bardzo miłego towarzysza wszystkich moich zabaw, Stasia Małachowskiego z Wołynia, z powiatu krzemienieckiego z Jakimowiec, który po skończeniu kawaleryjskiéj szkoły podchorążych wstąpił do gwardyi hułanów. Małachowski był mój krewny przez Polanowskich, znaliśmy się jeszcze dziećmi, kiedy rodzice moi mieszkali w Maniowie, w krzemienieckiém; więc téż obecnie bardzo byliśmy sobie radzi, razem należeliśmy zawsze do wszystkich zabaw, jak tylko pozwalał na to swobodny czas od służby. Małachowski był tak piękny, że nietylko wszystkie panie w Warszawie kochały się w nim, ale postawą swą i twarzą zwrócił na siebie uwagę Księcia Konstantego.

Dla niego to została napisana piosenka, która tak szeroko rozeszła się po kraju, że nawet stała się modną:

Tam na błoniu błyszczą kwiecie,
Stoi hułan na wedecie,
A dziewczyna,
Jak malina,
Niesie koszyk róż i t. d.

Po wyjściu z pułkiem z Warszawy, straciłem go zupełnie z oczów, dopiéro już po wypadkach 1831 roku spotkałem się z nim, gdym powrócił z Galicyi za amnestyą do kraju.

Bardzo prędko po tém, jak miał być pojedynek między Krukowieckim a Hejmansem, naznaczony był wielki przegląd wojsk na Saskim Placu. Wielki Książę przygotowywał się tak na przyjęcie Cesarza Aleksandra, który był spodziéwany w Warszawie.

Były nawet wojska ściągnięte z prowincyi, a ponieważ to był generalny przegląd, musieli więc na nim znajdować się wszyscy bez wyjątku generałowie, między którymi był i generał Chłopicki.

Wojsko się zebrało, zaczęły się ewolucye, w czasie defilowania Książę Konstanty spostrzegł, że Chłopicki nie trzyma kroku, szedł jakby spacerem. Ponieważ, jak mówiłem, najmniejsze uchybienie, czy to w mustrze, czy w obrotach wojskowych i postawie żołnierza, oficera czy generała, gniéwało Księcia, więc zwracając się do swego adjutanta, Stasia Potockiego, rzekł gniewnie:

— Powiédz pan generałowi Chłopickiemu, że kroku nie trzyma!

Potocki kopnął się z miejsca galopem, a podlatując do Chłopickiego, osadził konia na miejscu i salutując, rzekł:

— Naczelny wódz kazał panu generałowi powiedziéć, że kroku nie trzyma!

Chłopicki oddając ukłon za ukłon, odpowiedział:

— Powiédz pan naczelnemu wodzowi, że ja tym samym krokiem byłem w Moskwie.

Wszystko to odbywało się na oczach całego wojska. Chłopicki po tém powiedzeniu wystąpił w téj chwili z szeregów i odjechał do siebie, podawszy się tego samego dnia do dymisyi, któréj Książę Konstanty nie przyjął.

Tymczasem przyjechał Cesarz Aleksander, była to już, jego ostatnia bytność w Warszawie. Chłopicki podał Cesarzowi swoją dymisyę, któréj i ten nie przyjął, nalegając na generała, aby nadal został, lecz kiedy nalegania nic nie pomogły, więc Cesarz wziął słowo od Chłopickiego, że:

Jeśli kiedy ojczyzna będzie w niebezpieczeństwie, to Chłopicki daje słowo Cesarzowi, że odda się na jéj usługi.

Chłopicki nie przyjął ofiarowanéj mu emerytury, poprzestając natomiast na pensyi, którą pobiérał jako dymisyonowany generał francuski z dochodów tamtego kraju. Ponieważ lubił namiętnie grać w karty w ryzykowne gry, oddał się jedynie temu zajęciu. Lecz ponieważ najgrubsza i najryzykowniejsza gra szła między rosyjskimi generałami gwardyi, zaczął więc tam szukać jedynie towarzystwa.

Nie należał wcale do tak zwanéj partyi „malkontentów", jeśli zaś odpowiedział ostro Księciu Konstantemu na zrobioną ma uwagę, że „nie trzyma kroku", to wcale nie powodowało nim do tego patryotyczne uczucie, ale fantazya.

Był to człowiek niezmiernie zarozumiały i próżny, ponieważ zaś cesarz Napoleon powiedział o nim kiedyś, że ma go za zdolnego generała, bardzo więc o sobie wysoko trzymał, Wielkiego Księcia miał za równego i był tego przekonania, że go przewyższa zdolnościami wojskowemi.

Tymczasem tak jak przed burzą zrywają się Bóg wié skąd przelatujące porywy wiatru, tak samo i wtedy czuć było w powietrzu, że coś się psuje i jakiś ruch przygotowuje, więc i odpowiedź Chłopickiego przyjęto gorąco, biorąc mu na karb gorącego patryotyzmu, czego zupełnie tam nie było.

Młodzież akademicka się zbiérała, huczała, szumiała, tworzyły się rozmaite kluby, stowarzyszenia, do których należeli i wojskowi, ale nie było na tych zebraniach myśli o jakimkolwiekbądź ruchu, krzyczano tylko, rozprawiano, lub śpiéwano modne naówczas piosenki.

Była na Starém-Mieście sławna kawiarnia Honoratki, tam zawsze wieczorem roiło się rozmaitą młodzieżą, która tylko dysputowała między sobą o klasykach i romantykach, śpiéwała i grała na gitarze, a wyszumiawszy się, najspokojniéj rozchodziła się po kwaterach.

Przed wysłaniem mego pułku na prowincyę pamiętam jeszcze jeden przegląd wojska. Było to przed jakiemiś wielkiemi manewrami,

ściągnięto więc pułki położone w okolicach Warszawy, a ponieważ nie pomieściłoby się to wszystko na Saskim Placu, zebrano nas za miastem na Placu-Broni.

Długo czekaliśmy na Księcia, nareszcie przyjechał, zaczęły się manewry; Książę był w złym humorze, gniéwał się, wszystko mu było złém, nie tak wykonaném, jak tego żądał. Wytrzymawszy nas tak kilka godzin, zniecierpliwił się i zakomenderowawszy: — Dyrekcya przed siebie! Marsz! marsz! — zlazł z konia, wsiadł do powozu i odjechał do Belwederu.

Byliśmy zwróceni frontem w kierunku między Młocinami a Marymontem, więc też poszliśmy przed siebie, ale ponieważ Książę odjechał, nie zdawszy komendy żadnemu z generałów, więc ciągle szliśmy przed siebie, nie mając prawa zatrzymać się, napotykając po drodze różne przeszkody, łamaliśmy linię, obchodzili je i szliśmy tak daléj i daléj.

Podchodziliśmy już prawie pod Nowy-Dwór, kiedy przyleciał na spienionym koniu jeden z adjutantów Wielkiego Księcia i zatrzymał nas w pochodzie. Odpocząwszy godzinę, zmieniliśmy front, zwróciliśmy się w stronę Warszawy i poszliśmy napowrót, ledwie wieczorem powróciliśmy do koszar.

Najulubieńszym pułkiem z całego wojska był Księciu 4-ty pułk liniowy; składał się on z samych prawie oczajduszów i urwipołciów. Prawda, że żołnierz był tak wyćwiczony, że wszelkie obroty wojenne wykonywał jakby jeden człowiek; przy robieniu bronią chrzęst jéj był tak niepodzielny, że nie patrząc, tylko słuchając, najbystrzejsze ucho nie mogło uchwycić najmniejszéj różnicy, zdawało się, że to pojedyńczy człowiek robi bronią, nie setki.

Ale byli to znani rabusie i ludzie, przed którymi nic nie mogło się ukryć, a jeśli tylko była rzecz choć cokolwiek możebna do ściągnięcia, to z pewnością nie zaniechali tego; otóż pamiętam jedno pocieszne zdarzenie, o którém późniéj całe wojsko się dowiedziało wskutek rozkazu dziennego Naczelnego Wodza, śmiejąc się z czwartaków.

Raz, w czasie targu na rynku Starego-Miasta, stał przejezdny chłop ze swoim wozem przed straganem; kiedy, wyprzedawszy wszystko co przywiózł na targ, miał już odjeżdżać do domu, podeszła do niego jakaś młoda kobiéta z kobiałką w ręku.

— A skąd wy, ojcze, jesteście?—spytała.

— Z Wilanowa, panieneczko! a co wam trza?

— Mnie téż potrzeba pojechać do Wilanowa, czy możecie mnie podwieść?

— A czemuż nie, siadajta, to pojedziemy.

— A nie, ja muszę jeszcze powrócić do miasta, zaraz przyjdę — tymczasem niech u was na wozie postoi moja kobiałka, powiedziawszy to, postawiła kobiałkę i śpiesznie odeszła.

— A wracajta ino niebawem, gdyż mnie kobiéta czeka w domu!— zawołał chłop za odchodzącą.

Jejmość nic nie odpowiedziała, ale jak poszła, tak i zginęła. Chłop czekał długi czas, a nie mogąc się doczekać, zaczął się niecierpliwić, aż tu w kobiałce zaczęło coś kwilić. Zajrzał do środka, dziecko, chłopiec,—odskoczył biédak na bok i załamawszy ręce zawołał:

— O rety! nieszczęsna moja głowa! już i tak w domu jest pięcioro dziecisków, jak szóste przywiozę, to mi baba łeb urwie!

— Nie biadajcie tak człecze! —odezwała się straganiarka, widząc kłopot biédnego chłopka. — Na wszystko jest rada; trzeba maleństwo ukołysać, aby nie kwiliło, a tymczasem nadciągną czwartaki z obluzwarty, stańcie ino plecami do wozu, niby nic, to i kobiałki nie stanie.

Straganiarka wyszła z za straganu, zaczęła lulać dziecko, które uspokoiło się i usnęło;—aż tu spostrzegli idących z obluz-warty czwartaków, więc straganiarka usiadła za straganem, chłop zaś odwrócił się do wozu plecami, zajęty niby z nią rozmową; po przejściu pułku, obejrzał się na wóz, ale już na nim kobiałki nie było, więc téż czémprędzéj wgramoliwszy się na półdrabek, zaciął szkapiny i ruszył do domu.

Tymczasem ledwo pułk miał czas wejść do koszar, kiedy uderzono „werbel" i wpadł Wielki Książę do koszar, żołnierze stanęli do szeregu, a on wszedł do środka, — w téj saméj chwili usłyszał jakieś kwilenie.

— Co to jest? co to jest? — zapytał żdziwiony, zwróciwszy się do otaczającego go sztabu.

Zaczęto się oglądać na wszystkie strony, nuż tedy panowie generałowie daléj zaglądać po wszystkich kątach, pod narami i t. d., nakoniec któryś z nich spostrzegł ukrytą kobiałkę, stojącą w kącie pod narami.

Kazano ją wyciągnąć, po otworzeniu Książę Konstanty zobaczył dziecko, tęgiego chłopca.

— Cha! cha! cha!—zaśmiał się na całe gardło. —A któryż z czwartaków urodził go? — zapytał.

Ma się rozumiéć wszyscy milczeli, nie mogąc objaśnić. Książę zaś momentalnie spoważniał i obracając się do dyżurnego generała, rzekł:

— Oddać na mamki! wychować na koszt pułku, tylko proszę, aby chłopak nie zmarniał, będzie z niego kiedyś czwartak!

Wyszedł, siadł do powozu i odjechał. Chłopiec zaś wychowywał się kosztem pułku,—nie wiem, co się z nim późniéj stało.

BAKCHYLIDES.

Jak każda czynność umysłowa, tak i poezya i nauka zajmująca się badaniem przeszłości nie mogą się uchronić od wpływu epoki.

Straciły dziś swój powab tyle sławione poemata niewidomego pieśniarza z Chios, przestały być zrozumiałemi owe szczytne kantaty dramatyczne Eschylosa, Sofoklesa. Lecz istnieją jeszcze dzieci odrodzenia, jak pewien znakomity estetyk trafnie zauważył, a każda zdobycz nowa, każde odkrycie sprawia nam niewymowną radość, taką samą jak w epoce renesansu.

Niedawno temu znalazły się utwory liryka greckiego z V-go stulecia przed erą chrześciańską, Bakchylidesa. Wielbicielowi tego poety włożono je pisane na papyrusie do grobu. Lecz jeszcze gorzéj, aniżeli niszczący ząb czasu, obchodzili się z temi cennemi szczątkami Arabowie, porozdzielali tę rolkę papyrusową na kawałki, za które sobie osobno kazali płacić. Muzeum Brytańskie zakupiło ten skarb, a tu się dostał w ręce F. G. Kenyona, owego młodego uczonego angielskiego, któremu pierwsza należy zasługa odcyfrowania obfitéj w ligatury, pełnéj najrozmaitszych skróceń kursywy papyrusowéj. Te rolki papyrusowe w ostatnich latach przyniosły nam wiele, bardzo wiele nowości, ważnych pod względem literackim i historycznym. Klasyków, którzy nam dotąd byli znani tylko z kodeksów średniowiecznych, poznajemy w rękopismach, które sięgają aż do III-go stulecia przed Chrystusem. Lecz nietylko znanych autorów rękopisma spotykamy,

nie, nieznane pisma literatury starożytnéj, które w ogólnéj ruinie starożytności zaginęły i na zawsze zdawały się stracone, zmartwychpowstają przed naszemi oczyma.

Cośmy w ten sposób otrzymali, zebrał Haeberlin, „*Centralblatt für Bibliothekswesen*" (1897); P. Couvreux, „*Revue de philol.*", XX, (1896); U. Wilcken, „*Die griechischen Papyrusurkunden*", Berlin, 1897 roku.

Nawiasowo tylko przytaczam nazwiska, jak Alkman, Safo, Eurypides, Epichares, Herondas, Hypereides, Arystoteles, Menander, którzy wszyscy dodatki i uzupełnienia zyskali. A teraz otrzymaliśmy przez papyrusy Bakchylidesa. Kenyon te 200 kawałków tak znakomicie zestawił, że połowę, t. j. 1200 wierszy, otrzymaliśmy nieuszkodzonych, w drugiéj zaś połowie tyle, że z niéj treść rozpoznać można.

Wiedzieliśmy dotąd, że Bakchylides [1]), siostrzeniec i uczeń sławnego Symonidesa z Keos, urodził się koło 510 r. przed Chrystusem w Julis na wyspie Keos, że w swych utworach w ślady Pindara i swego wuja wstąpił, że czas niejaki na dworze króla Syrakuzy, Hierona, przebywał i w Peloponezie umarł.

Bakchylides należy téż do sławnego kanonu dziewięciu liryków; Horacy go naśladował (zob. Porphyr. do Od. I, 15), a Didymos napisał komentarz.

Dotychczas powtarzaliśmy zdanie starożytnych o wartości poety; teraz możemy ich skontrolować. Inne wymagania wprawdzie stawia czas dzisiejszy poecie, zwłaszcza lirykowi, dlatego człowiek nowoczesny, choćby ducha klasycznego posiadał, nie życzyłby sobie na ustach swéj kochanki piosenki skowronka z Keos — jak się Bakchylides sam nazwał — zwłaszcza gdy wié, jak on śpiéwał. Lecz z owego czasu mamy więcéj, jak życzyliśmy: 14 pieśni zwycięskich (epinikii) i 6 poematów mitologicznych. Niektóre epinikie — pieśni ściśle złączone z narodowemi igrzyskami Greków, śpiewane przez chóry, rozbrzmiewające sławę zwycięscy i jego przodków — napisał Bakchylides, jako rywal Pindara, naprzykład 5 przeciw Pind., 1 olimp. na zwycięstwo Hierona.

Z tego utworu można się przekonać, jak poeta chce naśladować olbrzymią głębokość myśli Pindara i szczęśliwie przeciwstawia przepełnieniu rytmicznemu jońską prostotę.

Jedna oda interesuje nas mianowicie z powodu formy, gdyż jest dyalogiem pomiędzy chórem a solistą.

---

[1]) Tłómaczenie na polskie dotąd znanych wierszy: Alf „Na greckiéj lirze", Wiedeń i Warszawa, 1882, i Czubek „Przegląd Polski", 1883.

Dla historyi literatury ważny to ustęp; jest to bowiem rodzaj poezyi, z któréj Arystoteles tragedyę wyprowadza, dytyrambus.

Ta kantata zawiéra legendę o Tezeuszu, powrót tego młodego bohatéra do sędziwego ojca, Egeusza. Oto próbka:

Chór Ateńczyków.

Świętéj Ateny królu,
Walecznego Jonów rodu panie,
Cóż znowu zabrzmiała tuba wojenna?
Czy grozi kraju naszego granicy
Nieprzyjacielski dowódzca?
Czy pędzą opuszczone trzód stada
Łupieżnicy?
Co nęci twe serce?
Powiédz, bo któż z śmiertelnych
Da prawdziwych hufców
Pomocne grono, jeśli nie ty,
Pandiona i Kreuzy dostojny synu?

Egeusz.

W pędzie przybiegł przed chwilą posłaniec
Z Istmu daleką drogą,
Do których słów zabraknie, czyny
Wielkiego opowiada męża...

Tém sytuacya jest wyjaśniona: sędziwy król wojsko do boju wzywa, myśląc, że ten mocarz, którego przybycie posłaniec ogłosił, przeciw Atenom ciągnie; nie wié, że to własny jego syn śpieszy do rodzinnego domu.

Rozwiązania ten utwór nie daje. Tutaj musiała działać muzyka i orchestyka uzupełniająco i zakończająco, przeciwnie jak w 9-éj symfonii Beethovena.

Mimo to wszystko, nie powinniśmy zapominać, że właściwa siła Bakchylidesa leżała w poezyi erotycznéj i sympatycznéj, a ta rolka papyrusowa się nie znalazła. Że taki rodzaj poezyi, jak i dziś, tak i w starożytności większe robił wrażenie, aniżeli epinikie, nie wątpię. Nie Bakchylidesa w tém wina, tylko stosunków. W 473 r. młody Eschylos, przedstawiając „Persów", zdobywał wielkie oklaski, młody Sofokles odniósł wtenczas zwycięstwo w dramacie. Dramat wszedł na widnokrąg, w nim było życie i ruch, a w liryce spokój i upadek. Dlatego nie wińmy Bakchylidesa, tylko dziękujmy losowi, który dał nam skarb tak obfity; bo, choć jego wiersze nie przenikają do głębi uczucia, jednakże czar helleńskiéj poezyi tkwi i w tych płodach duchowych.

Józefat Mikołajczak.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Wacław Sieroszewski. „W Matni“ (Jesienią, Skradziony chłopak, Chajłach, W ofierze bogom). Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1897.

Pięć nowelek p. Sieroszewskiego, objętych od jednéj z nich wspólnym tytułem „W matni” — przenosi nas w kraj wiecznéj zimy, a krótkiego, skwarnego lata, śniegów, niedźwiedzi, zorzy północnéj, kraj podbiegunowy, zwany ziemią Jakutów. Świat to daleki od nas, odrębny, dziwny w swéj prostocie, tajemniczy w swéj bieli, senny zarazem i pełen melancholii.

Wśród niezmiernie trudnych warunków życia, walcząc o byt z przyrodą niewdzięczną, pozostał mieszkaniec tego kraju tém, czém był przed wiekami: istotą półdziecinną, niezdolną wznieść się do pojęć duchowych, oderwanych, wstrząsaną tylko dreszczem instynktownego, zabobonnego strachu.

Zdawałoby się, że dzieje tych ludzi będą blade i zimne, jak otaczająca ich, śniegiem przysypana tajga, jak zwieszone nad nią ołowiane niebo — tymczasem proste te obrazki z życia zbiédzonych przybyszów i półdzikich mieszkańców podbiegunowego kraju zmieniają się pod tchnieniem ożywczém talentu autora w prawdziwą kopalnię psychologiczną, do któréj zstępujemy zdumieni i śledzimy z naprężoną uwagą wszystkie poruszenia duszy ludzkiéj, jak cywilizowanéj tak i pierwotnéj. Niesłychana zdolność obserwacyi i oddania prawdy życiowéj, szczerość artystyczna, brak wszelkiéj pozy i prostota—to główne,

ale nie jedyne przymioty tego świeżego talentu. Dodać jeszcze do nich musimy poczucie, a raczéj odczucie natury głębokie, nie literackie ale rzeczywiste, takie jakie miewają ludzie z naturą zrośli, zżyci: myśliwi, traperzy i—dzicy.

A nadewszystko i przedewszystkiem—poezyę. Ona tu przenika równie obrazy świata zewnętrznego, jak stosunki życiowe, a nad całością unosi się jako żywe poczucie nieskończoności. Poezya to męska. Uczucia w niéj silnego, ale hamowanego wiele — liryzmu bardzo mało. Dla cierpiących zrozumienie i ten dar specyalny, który zowiemy współczuciem psychologiczném, bez cienia jednak sentymentalizmu. Z ubogich napozór motywów tworzy autor pełną symfonię uczuć, wyprowadza wszystkie tony, któremi dźwięczy dusza ludzka. Odzywa się melancholią (Jesienią), tragiczną grozą (Chajłach), wzniosłém poświęceniem (W ofierze bogom), smutkiem głębokim, opanowanym jednak silną wolą (W Matni).

Nie powtarzam treści tych powiastek—trzeba je czytać, powinno się czytać. Ukazanie się ich jest faktem doniosłym w naszéj literaturze,—byłoby niepowszednim w każdéj.

Nastrojem poetycznym i wprowadzeniem egzotyzmu obrazki te przypominają Lotiego, niema w nich jednak zmęczenia, przerafinowania, nihilizmu duszy zachodniego człowieka, przeciwnie jędrność życia i pojęcie świata słowiańskie zbliża autora do Turgeniewa. Z Maupassant'em oniemal porównać go można pod względem realizmu, spostrzegawczości i zdolności ubierania swych wrażeń w formę. Może niejednego zadziwi twierdzenie moje—zwłaszcza tego, kto czytał te obrazki pobieżnie, szukając w nich pokarmu dla wyobraźni i żywéj akcyi. Istotnie—dzieje się w nich niewiele, ludzie obserwowani są bardzo zwyczajni—ale to co się dzieje, oddane jest doskonale.

P. Sieroszewski panuje nad formą. Odznacza się ona nadzwyczajną powściągliwością. Autor w wyborze środków artystycznych zwraca się zawsze ku najprostszym, unika nietylko wszelkiego polowania na efekt, ale wszystkiego, co potrącając wprost o uczucie czytelnika, usposabiałoby go lirycznie. Poezya, tragiczność, smutek wypromieniają się same z sytuacyi, bez żadnych sztucznych sposobów.

Znamienną cechą i wielkim wdziękiem téj książeczki jest jéj bezpretensyonalność i samorzutność. Myliłby się jednak i powierzchownie sądził ten, ktoby ją uważał za luźne wspomnienia autora, za fotografię jego wrażeń, zdjętą dla zabicia nudów, bez samowiedzy artystycznéj. Myśl, aby swe wrażenia oddać nietylko szczerze ale pięknie, przewodniczy p. Sieroszewskiemu w tworzeniu, że jako przykład przytoczę tutaj tylko hymn czarodzieja (W ofierze bogom), siejbę Aleksandra i podróż

jego po rozszalałéj rzece (W Matni);—ale myśl ta nigdzie nie wybija się na plan pierwszy, nie zdradza niezręczności, zamiaru i „roboty.”

Trzeba więc powitać w panu Sieroszewskim artystę „z Bożéj łaski”, z poezyą w duszy a pewnością w ręku i to artystę młodéj generacyi—nowoczesnego.

Pan Sieroszewski nie pisał swych powiastek na poparcie teoryi modernizmu i zapewne niewiele myślał o nim wśród lodów syberyjskich, mimowoli jednak przez rodzaj swego talentu i temperament artystyczny wcielił w siebie wiele cech najnowszych prądów: nastrój, odczucie natury, realizm rzetelny a podporządkowany przeczuciu nadzmysłowego, tajemniczego świata, bezwzględną szczerość i wstręt do patetyczności.

Brak mu wszakże kilku innych objawów modernizmu: nie szuka umyślnéj niejasności, nie zaciera konturów, nie goni za oryginalnością ze szkodą prawdy, nie wysila się na formę niebywałą, nie mówi językiem zagadkowym. Daje poprostu — rzeczy nowe. Czuć w nim obcowanie bliższe z ludźmi i naturą, niż z pracownią literata, to téż nie grozi mu plaga dzisiejszych czasów—maniera.

Ufamy, że p. Sieroszewski, wstępujący od razu na nową drogę tak pewnym krokiem i rozpoczynający ją świetnie—nie zechce z niéj schodzić—że wróciwszy wśród swoich, znajdzie w własném społeczeństwie strony interesujące i te strony ukaże nam w oświetleniu sobie właściwém.

Prawdziwy talent, iskra Boża—wielkie to światło; nie należy chować światła pod korcem. Świat urządzony na wzór platońskiéj rzeczypospolitéj lub marzeń tołstojowskich, bez poetów i artystów, byłby światem zimnym i pustym, choćbyśmy zdołali wygnać z niego biédę i ciemnotę. Pracowników na chléb może być wielu—chorążych światła i piękna tak bardzo mało—witajmy więc każdego młodego i dzielnego z zapałem i wdzięcznością—i—„niech się święci sztuka!”

M. Krzymuska.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— Teatr amatorski N. 45. **Żmijka**, fraszka sceniczna w jednéj odsłonie, napisana przez *Stanisława Żyżkowskiego.* Warszawa. — W szeregu wydawnictw Gebethnera i Wolffa, przeznaczonych na użytek teatrów amatorskich, ukazała się jednoaktówka p. Żyżkowskiego, zakwalifikowana, jak nas autor skrupulatnie na okładce informuje, do wystawienia na scenie teatru Rozmaitości. Z większemi tedy wymaganiami przystępujemy do czytania; zamykając wszakże książkę, dochodzimy do przekonania, że jest to jedna z tych fraszek, które mogą być przez publiczność z pobłażliwą cierpliwością wysłuchane, nie przeżyją jednak dłużéj nad jeden wieczór sceniczny. We fraszce jest naturalnie on, ona i „ten trzeci". Stary kawaler szalenie rozmiłowany w młodéj wdówce (koniecznie w „młodéj wdówce" — w jednoaktówkach inne nie uchodzą) trapi ją ustawicznie zazdrością i jest za to przez nią niby „kapitalnie na fundusz wzięty" przy pomocy ofiarowanego przezeń bukietu i świéżo przyjętego niedołęgi lokaja, który w odpowiedniéj chwili tłucze porcelanę (taki „tłukący porcelanę lokaj" również jest niezbędném akcesoryum jednoaktówek). Rzecz naturalna, że „ten trzeci" jest tylko urojeniem, w „jego" wyobraźni powstałém — no i rzecz naturalna, że wszystko kończy się na klęczkach, idylicznie i że Numa ukarawszy Pompiliusza, łaskawie mu się na małżonkę przeznacza, budząc wszakże w czytelniku obawę, że zakosztowawszy w inscenizowaniu takich nauczek, będzie je po ślubie mężowi peryodycznie na większą skalę urządzała, aż w końcu dojdzie do tego, że w szafie zamiast bukietu znajdzie się we własnéj osobie „ten trzeci". Młoda ta wdówka, czyli „żmijka", jak ją autor nazywa, robi wrażenie zbyt wytrawnéj i obytéj ze sprawami, o niewierność małżeńską potrącającemi. Akcya toczy się dość żywo, dyalog zręcznie jest prowadzony, pomijając parę niewłaściwości w ustach bohatérki, odzywającéj się nieraz jak „panienka od piwa" („Panie! to nie zajazd"); bohatér wydaje nam się zbyt naiwnym i cierpliwym — wszakże takim chciał może autor przedstawić ów materyał na powolnego męża. Zresztą są to drobnostki do darowania, jedno tylko powtórzyć musimy, że wszystko to już było: i przebiegła wdówka, i safanduła-aspirant do stanu małżeńskiego, i niedołęga-lokaj, tłukący porcelanę właśnie wtedy, gdy jest to na rękę autorowi „fraszki scenicznéj". *Ar. Les.*

= **Rozwój kapitalizmu współczesnego** przez *Jana A. Hobsona*, tłóm. *H. L.* Wydawnictwo „Głosu", 1898 r., str. 421. — W oryginale książka ta, oprócz tytułu wyżéj podanego, ma jeszcze tytuł dodatkowy „studyum nad wytwórczością maszynową" *(a study of machine production)*. Ta okoliczność pod pewnemi względami tłómaczy autora, dlaczego pisząc o epoce współczesnego kapitalizmu pominął zupełnie wytwórczość rolną, pominął rozwój własności nieruchoméj miejskéj, nie wspomniał nic o kapitale ruchomym, kredycie i giełdach, i zastanawiał się przedewszystkiém nad wpływem maszyn na organizacyę przedsiębiorstw i położenie klasy robotniczéj. Ale i w tym zakresie studyum Hobsona nie jest zupełne: brakuje tam zbadania wpływu produkcyi maszynowéj na rozwój stowarzyszeń i związków robotniczych, na poziom etyczny i intelektualny sfer roboczych. — Praca Hobsona jest przedewszystkiém popularném zestawieniem prac najnowszych ekonomistów niemieckich, angielskich i amerykańskich nad wytwórczością fabryczno-maszynową i jako taka odznacza się troskliwém zebraniem materyału i bardzo bezstronną jego oceną. W tém znaczeniu wydanie książki Hobsona w języku polskim stanowi niewątpliwą zasługę i wydawcy i tłómacza. Sądzimy tylko, że książki takie, jak Hobsona, pisane na gruncie obcym, powinny być poprzedzane przedmową, ostrzegającą czytelnika przed jéj brakami i wadami, których tu poruszać nie mamy zamiaru, ale które tém nam się ważniejszemi być wydają, że np. zastosowanie w praktyce teoryi Hobsona o niedospożyciu i o szkodliwości nadmiernego zaoszczędzania, teoryi niekoniecznie prawdziwéj, jednak łatwo zrozumiałéj w Anglii, we Francyi, a nawet w Niemczech, — w naszym kraju poprowadziłoby niewątpliwie przedewszystkiém do pochłonięcia naszego chudego przemysłu przez kapitały desauskie, brukselskie i berlińskie i ciężką przyniosłoby szkodę ogółowi. O tłómaczeniu samém pod względem języka trudno jest coś powiedzieć ze względu na jego nierówność. Wogóle bez zarzutu, — w pierwszéj części (rozdziały III, IV i V-ty) roi się od różnych: lokalizacyi, lokomocyi, rywalizacyi, oscylacyi i specyalizacyi. Niedbałość korektorska téj saméj części nazywa znanego ekonomistę angielskiego Ure, raz Use, inny raz Ury. Spotykamy tu też „Burmah" (ang) zamiast Birma, — John Kay of Bury zamiast John Kay z miasta Bury. Prócz tego zdaje się nam, że należy pisać „wielkość", nie zaś „rozmiar" wytwórczości lub rynku. — „siła nabywcza", nie „siła kupcza", — „obraz prawdziwy", nie „obraz wierny". Przymiotniki „uniwersalny" i „dominujący" możnaby też do akt złożyć. *St. P.*

— **Beiträge zu Litauens Wirthschaftsgeschichte.** Inaugural Dissertation zur Erlangung der Doktorwürde, von *Eugen von Römer*. München, 1897, IV, 188. — Coraz częściéj młodzież nasza, bawiąca dla studyów za granicą, przy ubieganiu się o stopnie doktorskie, składa fakultetom uniwersyteckim prace, których przedmiotem są nie kwestye teoretyczne, ale czy to historya stosunków ekonomicznych lub prawnych naszego kraju, czy téż pewne epoki z historyi naszéj literatury naukowéj. Jest to kierunek zasługujący pod każdym względem na pochwałę i poparcie. Prostuje on często fałszywe i tendencyjne wiadomości o nas zagranicą szerzone, a jednocześnie przynosi i dla nas już to wiadomości całkiem nieznane, już téż znane grupuje i w nowém oświeceniu przedstawia. Że „Przyczynki do ekonomicznéj historyi Litwy” są właściwie historyą stosunków rolnych na Litwie, o tém chyba czytelnika uprzedzać nie potrzebujemy. Pierwsza część pracy mówi o „poddaństwie na Litwie” i na tle ogólnéj historyi Litwy maluje nam ustrój społeczny i prawodawstwo litewskie stanowe aż do r. 1857-go. Przyczynę stopniowego ograniczenia swobody włościan w XV i XVI-ym wieku na Litwie widzi autor w powstaniach chłopskich w Niemczech i w emigracyi włościan na południe ku stepowym okolicom rzeczypospolitéj. Trudno nam w téj mierze jego zdanie podzielić i sądzimy, że przyczyną główną musiało być ostateczne zajęcie na własność prywatną całéj ziemi na Litwie, brak swobodnych miejsc dla rozsiedlania się w kraju, spowodowany już to naturalnym wzrostem ludności, już to rozszerzeniem gospodarstw folwarcznych. Możność ucieczki na południe była raczéj jedną z przyczyn hamujących zbytni ucisk ludu *de jure* i *de facto*, a tam, gdzie téj możności brakowało — jak np. pod panowaniem brandeburskiém, w Prusach właściwych — już stosunki, mimo przeciwnych zapewnień autorów niemieckich, były gorsze, jak to sam autor wspomina z naciskiem. Pan Römer przytacza, że w r. 1494 mistrz zakonu Hans von Tiefen wydał rozporządzenie, dozwalające panu powiesić poddanego bez sądu po trzykrotném zbiegostwie, a prawo sprzedawania, zastawiania i wynajmowania poddanych bez ziemi — w Prusach — zniósł dopiéro Fryderyk II-gi w r. 1773-im. — Część drugą poświęcił autor historyi uwłaszczenia włościan na Litwie, kréśląc na podstawie dokumentów urzędowych historyę projektów i propozycyi w pamiętném sześcioleciu 1857 do 1863. Część ta i początek części trzeciéj, obejmującéj szczegóły wprowadzenia reformy na Litwie, zawiérają najciekawsze dla nas ustępy. Koniec swéj pracy poświęcił p. Römer obrazowi obecnych stosunków ekonomicznych, ale już nie we wszystkich guberniach litewskich, lecz tylko w jednéj gubernii Kowieńskiéj. Stosunki ludnościowe, podział własności, przemysł, opodatkowanie, od-

łużenie ziemi, zarobki rolne, średnie zasiewy i średnie zbiory, średnie ceny zboża, stosunki taryfowo-zbożowe i handel zbożem — wszystko to znalazło miejsce właściwe w pracy pana Römera, która niezawodnie i dla obcych i dla swoich wiele cennych danych i wiadomości zawiéra.

= **Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek XIX-go stulecia** (Warszawa, nakładem „Kuryera Niedzielnego"). — Schyłek wieku XVIII-go, rzec można, żyje w myślach naszych. Wypadki, jakie przeszły z burzą wznieconą przez Napoleona od Zachodu na Wschód, czyniąc nietrwałe, acz nagłe przewroty w państwach europejskich,— nadzieje narodu i polityków naszych końca zeszłego i pierwszych lat bieżącego stulecia,— cały ten obraz historyczny po tylekroć odtworzony w dziełach pióra i pędzla sprawił, że radzi poznajemy bliższe szczegóły z życia ludzi biorących udział w tym okresie, zakończonym zimą klęski, a poprzedzonym wiosną wspaniałą i kwitnącą, „obfitą w zdarzenia, nadzieją brzemienną"... Nić dziejów snują w dalszym ciągu z różnem powodzeniem—różni; na widownię występuje oświata, literatura i sztuka, każda mając swych przedstawicieli, z pośród których winniśmy poznać sławniejszych. Taką myśl mieli wydawcy „Album biograficznego zasłużonych Polaków i Polek XIX-go stulecia" (wychodzi zeszytami co miesiąc). — Na wstępie I-go zeszytu umieszczono imię generała Dąbrowskiego, jego biografię i portret. Po nim — Kozietulski. W innych zeszytach znajdziemy sylwetki dowódzców z lat rychłego upadku Napoleona. W dalszym ciągu pierwszego zaś — uczeni, malarze, muzycy: Jędrzej Śniadecki, Joachim Chreptowicz, Euzebiusz Słowacki, Marceli Bacciarelli, Tadeusz Czacki, Maurycy Mochnacki, Karol Kurpiński, ks. Jan Paweł Woronicz, wreszcie — Izabella z Flemmingów księżna Czartoryska. — Zeszyt II-gi rozpoczyna Karpiński, „poeta-serca". Po nim — Józef Elsner, książę Józef Poniatowski, dr. Andrzej Dybek, Franciszek Smuglewicz, Julian Ursyn Niemcewicz, Franciszek Ksawery Dmochowski, Aleksander Orłowski, dr. Józef Czekierski, Piotr Antoni Steinkeller i Bogumił Plersch. — W zeszycie III: generał Kniaziewicz, dr. Franciszek Ludwik Brandt, Antoni Brodowski, ks. Marya Wirtemberska, Kazimierz Brodziński, ks. Michał Ogiński, Onufry Kopczyński, Michał Stachowicz, dr. Rafał J. Czerwiakowski, prof. Leon Borowski. — Wydawnictwo zasługuje na pochwałę tak ze względu na stronę zewnętrzną, jak i — na treść swoją. Strona literacka „Album biograficznego" wyróżnia się pod piórem prof. Chmielowskiego, Kraushara i Plenkiewicza. Mając zasób wiedzy i umiejętność posługiwania się materyałami źródłowemi, pouczająco skréślili ży-

cie i czyny kilku „zasłużonych”: Kniaziewicza — A. Kraushar, Brodzińskiego — P. Chmielowski, księżny Wirtemberskiéj, autorki „Malwiny” — Rom. Plenkiewicz. *L. R.*

= D. 9 maja odbyło się posiedzenie Wydziału filologicz. Akad. Umiej., na którém dr. Jan Rozwadowski przedstawił treść swojéj pracy p. t. „Wymowa bułgarska”, opartéj na wskazówkach p. Cvĕtkowa, pochodzącego z Plewny.—Wydział historyczno-filozoficzny odbył w ciągu miesiąca maja dwa posiedzenia. Na pierwszém, z dnia 16, podał prof. dr. Kleczyński wiadomość o wykazach podatku pogłównego z drugiéj połowy XVII-go wieku, znalezionych w dosyć znacznéj ilości w archiwach warszawskich. Następnie dr. Wiktor Czermak streścił rezultaty swoich badań nad „Handlem zbożowym gdańskim w XVII-ym wieku”, w których szczególny położył nacisk na ścisły związek, zachodzący między fluktuacyami w ruchu eksportowym, zwróconym do Gdańska, a przejściami politycznemi u południowo-wschodnich kresów Rzeczypospolitéj. Zmiany w stosunku Kozaczyzny do Rzeczypospolitéj, zwłaszcza każdorazowe dłuższe przerwy w związku części Podola i Ukrainy z resztą Polski, podczas wojen kozackich i tureckich, oddziaływały potężnie na stosunki handlowe Gdańska. odbijając się w zmiennéj wysokości eksportu i w różnicach cen zboża. — Na drugiém posiedzeniu, dnia 23 maja, referował prof. dr. Ulanowski o pracy d-ra A. Winiarza, p. t. „Polskie prawo majątkowe małżeńskie w wiekach średnich”, jakotéż o obszerném studyum d-ra Prochaski o „Parlamentaryzmie polskim w XV wieku”. Obie te prace postanowił Wydział ogłosić w swoich publikacyach.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Warszawa kończy swój program całoroczny. Przednie straże wielkiéj kolumny, wyruszającéj co roku z murów miejskich, minęły już dawno rogatki. W miarę opuszczania miasta przez stałych mieszkańców napływa fala przejezdnych, utrzymujących jeszcze ruch i gwar na ulicy. Atoli i ci podążą niebawem zwykłemi szlakami, a miasto przybierze dobrze nam znaną postać lipcową. Z sześćkroćstotysięcznéj masy ubędzie drobna szczątka, a doznamy wrażenia, że w mieście powstała pustka.

Dwie wystawy skupiły do koła siebie życie Warszawy w czerwcu. Jedna z nich roztoczyła przed nami obraz życia artystycznego w Polsce od czasów stanisławowskich; druga, stanowiąca zarazem targ na bydło rozpłodowe, wyprowadziła Warszawę na świeże powietrze i kazała jéj przez dni parę przypatrywać się oborom i stajniom.

Nietrudno jest każdemu z nas uzmysłowić sobie rozwój malarstwa polskiego w XVIII i XIX wieku. To, co stworzono od czasu odrodzenia się sztuki, mamy żywo w pamięci. To, co wyszło z pracowni naszych przed ową dobą, łatwo byłoby wyliczyć. A jednak wystawa historyczna ma dzisiaj wartość niepospolitą. Daje ona nam nietylko niemałą rozkosz estetyczną, odsłaniając przed nami takie arcydzieła, jak obrazy Matejki lub Rodakowskiego, ale zarazem pokazuje nam, ile to mozolnych prób, usiłowań, zawodów potrzeba było na to, by się naród mógł nareszcie zdobyć na zmierzenie sił swych z siłami innych ludów.

Artystyczne upodobania monarchy ściągnęły niegdyś do kraju malarzy zagranicznych. Taki był początek téj ewolucyi. Dopiero widok tego, co oni zdziałali, obudził w warstwach oświeceńszych żądzę posiadania dzieł sztuki, a w jednostkach uposażonych talentem żądzę dorównania tym wzorom.

Zaczęła się długa epoka, w któréj obok cudzoziemców, pracujących na naszéj ziemi, coraz więcéj Polaków brało się do pendzla i palety. Mijały lat dziesiątki, pomnażała się liczba malarzy, a każdy z nich był wiernym uczniem szkoły zagranicznéj, którą sobie upodobał, każdy zachował piętno miasta, w którem się uczył i epoki, w któréj naukę pobierał. Ziarno rzucone w wieku przeszłym, musiało kiełkować długo—zanim doszliśmy do tego, iż stojąc przed płótnem, lub kartonem, możemy powiedzieć: To nie Włoch, nie Francuz, nie Monachijczyk — to Matejko, to Grottger.

Ileż na to naród poświęcić musiał czasu! Trudno nie zazdrościć społeczeństwom, które tę samą drogę przebyły o parę wieków wcześniéj. Trudno nie zapytać w duszy, jak daleko zaszłaby dziś sztuka polska, gdyby po tém, co architektura i rzeźba stworzyły u nas w epoce Odrodzenia, nie był nastąpił okres całkowitego zastoju. Gdzieindziéj sztuka zboczyła z prostéj drogi; u nas usnęła snem kamiennym. Bywały chwile, w których wątpić można było, czy się rozwinie kiedykolwiek.

Czemuż się rozwinęła tak późno? Dlaczego to, co w wieku XVI zaczęło tak pięknie się krzewić, zmarniało potém zupełnie? Wszak upadek sztuki na zachodzie nie doprowadził nigdy do całkowitego zaniku. Dlaczego na zamkach naszych magnatów i po naszych kościołach nie opiekowano się twórczością artystyczną? Dlaczego w plemieniu, któremu przyroda nie poskąpiła darów, tak późno dopiero budzi się pragnienie wrażeń i żądza tworzenia?

Pytanie to zadawano sobie nieraz. Sztuki piękue — brzmiała zazwyczaj odpowiedź — unikają gwaru wojennego. W rzeczypospolitéj, skołatanej wojnami, nie mogły obrać siedziby. Pendzel i dłuto pracują tylko wśród pokoju i ciszy.

Czy można na takiéj odpowiedzi poprzestać? Stanowczo, nie. Przeczy jéj historya sztuki; przeczą jéj dzieje naszego kraju.

Nie w łagodnym blasku sielankowego słońca upłynął Włochom koniec XV i początek XVI wieku, Mordowały się między sobą możne rody. Wielkie miasta najeżdżały wzajemnie swe dzierżawy. Klątwy papieskie padały gromem na zuchwałych książąt. Żołdactwo niemieckie i francuskie łupiło kraj. Sztylet Pazzich szczerbił się na kolczudze Wawrzyńca, gawiedź florencka urągała trupowi Salviati'ego, skostniałemu w pontyfikalnych szatach na powrozie, gorzał stos Savonaroli,

a wśród tego miotały się talenta nieśmiertelnych mistrzów, podżegane pychą, zemstą, miłością ojczyzny, tęsknotą za progiem rodzinnym. Leonard i Michał Anioł nie szukali zacisznego ustronia, którego nie dosięga szczęk broni Obaj umieli w czasie wojny bronić miasta, obaj znali sztukę inżynieryi wojskowéj. Któż mógł mieć burzliwsze życie, niż Michał Anioł, obsypywany łaskami mocarzy, to znowu naprzemiany, doznający ich gniewu, służący ojczystemu miastu z mieczem na murach, a wkrótce potem uchodzący potajemnie i oskarżony o zdradę! Ludzie ci nie pytali, czy gmach, którego plany snuły im się po głowie nie zwali się podczas oblężenia, lub czy obce żołdactwo nie zrobi stajni ze sal, które przyozdobili freskami. Tak rozumuje *Kunsthaendler*, który w czasach wojennych nie chce angażować większéj sumy na przedsiębiorstwa artystyczne, lub lichwiarz, odmawiający malarzom kredytu. Leonarda nie powstrzymało to, iż gaskońscy łucznicy Ludwika XII ze swawoli żołnierskiéj obrali sobie za cel posąg Sforzy. Buonarroti nie rzucił dłuta dla tego, iż spiżową postać Juliusza II, którą upamiętnił swój pobyt w Bolonii, przelano na działo. Oni tworzyli dla rozkoszy tworzenia, dla upokorzenia dumnego księcia, który dbać musiał o przyjaźń artysty, dla pozbycia się piekielnego uczucia, iż ktoś inny zbiera za nich wawrzyny i staje się bożyszczem tłumu.

To samo spotykamy gdzieindziéj. Za czasów Peryklesa widzimy króciuchną, kilkoletnią zaledwie przerwę w zapasach wojennych. A ci, co w naszych czasach pierwsi sztukę polską dźwignęli, nie spędzili swych lat młodocianych na jakiejś niwie kwiecistéj, któréj nie niepokoją wichry, ani burze. Grottger i Matejko dojrzewali w okresie. w którym silne i głębokie namiętności wstrząsały społeczeństwem, a takim był też okres dziejów, w którym przeszła młodość tego, co nas pierwszy nauczył wpatrywać się w piękności krajobrazu polskiego i rozkoszować się widokiem pól, „wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem".

Czyż wreszcie mamy prawo twierdzić, że wiek XVIII był dla naszego społeczeństwa wiekiem ciągłych wojen? Historya mówi nam co innego. Połowa stulecia upłynęła wśród bezmyślnego, próżniaczego, pijackiego pokoju. Przez lat pięćdziesiąt po sejmie pacyfikacyjnym panowała na ziemiach Rzeczypospolitéj cisza głęboka. W drugiéj połowie wieku mamy znowu dwudziestolecie powolnych, ospałych i słabych usiłowań odbudowania siły zbrojnéj. Porównajmy wiek XVIII czyto z epokami poprzedniemi, czy z epoką późniéjszą, a przekonamy się, że w żadnéj naród nie spłacił tak małego podatku krwi, nigdy mniej Polaków nie niosło życia w obronie kraju.

Nie wojny, zatem były przyczyną zastoju; szukać jéj należy w czém inném.

Nie można sobie wyobrazić rozkwitu sztuki tam, gdzie niema silnych, zdrowych, wyodrębiających się indywidualizmów, chciwie chłonących wrażenia, odczuwających je inaczéj, niż ogół, i wyrażających to na zewnątrz samodzielnie. Indywidualizmy takie wydawała niegdyś Grecya, rodziły się one we Włoszech za złotego wieku sztuki; wytwarza je cywilizacya i oświata, rozwijają się one tam, gdzie jednostka znajduje co krok podnietę umysłową i gdzie jéj wolno podniet tych według upodobania szukać.

Legenda mówi nam, że w epoce poprzedzajęcéj upadek państwa, byliśmy społeczeństwem, złożoném z jednostek o silnie wybujałéj indywidualności, o wielkiém poczuciu niezawisłości osobistéj. Twierdzi ona, że to nadmierne rozwijanie się indywidualizmów było i sprężyną dziejów ówczesnych i ich treścią. Zdanie to jest częścią dwuznaczne, częścią błędne.

Nieda się zaprzeczyć, że egoizm i niesforność jednostek były u nas wielkie, poczucie wspólności interesów niezmiernie małe. Te instynkta anarchiczne sprawiły, że mówiąc dziś o przeszłości, można mówić o rozwijaniu się cząstek kosztem całości, ale równocześnie pamiętać należy, że instynkta te napełniały w równéj mierze każdą jednostkę z osobna, że każda z nich przesiąknięta była temi samemi przesądami, nałogami, paradoksami. Tożsamość tego anarchicznego zarazka, wszczepiona w każdą jednostkę szlachecką, nadawała całości barwę rozpaczliwie jednostajną i sprawiała, iż pojedyńcze okruchy nie pozrastały się we wzorzystą, tęczową mozajkę, lecz w szarą i martwą bryłę, źle spojoną i rozsypującą się za lada dotknięciem.

I oto widzimy, że duch wspólności, duch karności i ładu ocknął się wówczas dopiero, gdy w narodzie zjawia się pojęcie indywidualizmu w prawdziwém, szlachetniejszém znaczeniu. Z ciemnéj fali wynurzają się postaci, nieuchylające czoła przed zabobonem, mające odwagę myśleć nie tak, jak inni, mające odwagę dotykać ran, ropiących się od wieków, i mówić o konieczności reform. Ten dobroczynny dla narodu rozwój indywidualizmu, zaznacza się po kolei na wszystkich dziedzinach. Masa wiotka, choć jednolita, przeradza, przemienia się w organizm żywy. Jednostki nie znikają już w tłumie, lecz te z pomiędzy nich, które mają w sobie siły do przodowania innym, wyrastają ponad poziom. Po kolei przeobrażają się pojęcia polityczne, kierunki literackie, ideały społeczne, aż wreszcie po latach wielu przychodzi kolej na sztukę.

Zabiła ją przed wiekami ciemnota, pokrywająca wszystko tym samym całunem. Zmartwychwstała dopiero wówczas, gdy wśród

rzeszy ludu znalazły się dusze, przerastające miliony współbraci wrażliwością, uczuciem i siłą.

Wystawa inwentarza, która, o ile wnosić można, powtarzać się będzie co roku, pozwala nam przynajmniéj na chwilę rzucić okiem wgłąb życia wiejskiego. W parze z wystawami idzie zjazd ziemian, idą rozprawy o kwestyach rolniczych. Na bruku warszawskim spotykamy nietylko tych, co związani z miastem ściślejszemi węzłami nieustannie do nas zaglądają, ale i takich, którzy, pracując od świtu do nocy, należą do rzadkich gości.

To zetknięcie z wsią nie jest wolne od przymieszki smutnych myśli. Minęły czasu, w których rolnik był typem człowieka, nie wiedzącego, co kłopoty. Dziś nie ma już chyba optymistów, którzyby na prawdę wierzyli, że narzekanie ziemian naszych, jest ową, znaną tradycyjną jeremiadę szlachecką, nieustającą nawet w najpomyślniejszych chwilach i nie zasługującą na uwagę.

Spotykając znajomego ze stron, z których rzadziéj miewamy wiadomości, zapytujemy go o nowiny z uczuciem lęku. Wiemy zgóry, że obok dobrych nowin przywozi nam złe. Od tylu lat słyszymy bez przerwy o ciosach, spadających na rolnictwo, iż niepodobna nam się oswoić z myślą, że tym razem nie usłyszymy nic złego. Gdzie spojrzymy, wszędzie uderza nas widok ruin. Nie ma prawie okolicy w kraju, którąby nie nosiła na sobie śladów ciężkiéj walki z fatalnemi warunkami ekonomicznemi. Zaledwie parę wymienićby można powiatów, które zachowały typ dawny i w których synowie gospodarują po ojcach na tym samym zagonie.

A jednak rolnictwo nie zniknie z powierzchni ziemi. Nie zniknie nawet całkowicie większa własność ziemska. Część jéj oczywiście rozpadnie się na drobne posiadłości włościańskie. Część pozostanie i gdy dzisiejsi właściciele nie będą mogli utrzymać się na niéj, znajdzie innych, którzy warsztat na niéj założą.

Kupno ziemi w czasach dzisiejszych, dające się zauważyć w dosyć znanych rozmiarach, jest fenomenem ciekawym. Rzecz oczywista, iż wypływa ono z pobudek rozmaitych. Nie każdy nabywa majątek ziemski w nadziei robienia doskonałych interesów. Najróżnorodniejsze sprężyny kierują nabywcami. Jednych skłania do tego zamiłowanie, innych konieczność spożytkowania nauki, jaką otrzymali w zakładzie fachowym, innych wreszcie fantazya lub próżność. Jakakolwiek atoli była pobudka, w każdym wypadku, jeżeli pominiemy tranzakcye zupełnie nieracyonalne, — można zauważyć to samo zjawisko. Kupujący bierze w rachubę nie ów ułudny dochód, o którym dawny właściciel do ostatniéj chwili nie mógł zapomnieć, lecz dochód

rzeczywisty, odpowiadający dzisiejszemu położeniu ekonomicznemu. Kapitał oswaja się z rentą, jaką czasy dzisiejsze dać mu mogą. Właściciel przystosowuje się do dochodów, które dziś dadzą się z ziemi wyciągnąć.

Wszyscy światlejsi ziemianie zgadzają się na to, iż taki sam proces odbywa się i tam, gdzie dawni właściciele utrzymali się przy ojcowiźnie. Istota rzeczy wszędzie jest ta sama. Zmienił się w rolnictwie stosunek między kapitałem i dochodem: to stanowi oś sytuacyi. Nazewnątrz może się to oczywiście przedstawiać w formach najrozmaitszych.

Jednym udało się pozyskać dochody uboczne, bez których poprzednie pokolenie obywało się wybornie; ci nie potrzebują biadać nad zmniejszeniem dochodów, ani ograniczać się w wydatkach. Inni gospodarują z zasobami, jakie zastali na roli i ci mogą żyć tylko dopóty, dopóki zmniejszony dochód im wystarcza.

A jakże rozmaite są sposoby przystosowywania życia do tych uszczuplonych dochodów! Przejedźmy się po kraju, a zrobimy niejedno spostrzeżenie ciekawe. Coraz częstszym staje się typ ziemianina, który szczerbę w intratach z majątku stara się zapełnić zarobkiem na innem polu. Agentury, dyrektorstwa, przedstawicielstwa ratują niejednego. Zapewne, że wytwarzają się z tego niekiedy sytuacye, przypominające ustępy z powieści Lama, Wilczyńskiego lub Junoszy, ale ileż spotykamy przykładów pracowitości i sumienności u ludzi, którym młodość upływała inaczéj, u ludzi, którzy poszli tą nową drogą z całą świadomością tego, że tylko w ten sposób mogą spełnić obowiązek wobec ziemi, przypadłéj im w puściźnie, i którzy nie powstrzymali się na téj drodze mimo ciężkich początków i cięższych upokorzeń.

Inni oczywiście szukają ocalenia w prostéj oszczędności. Warszawa zdumiałaby się patrząc na życie domowe w niejednym zakątku wiejskim. I nie wyobrażajmy sobie, że widząc dom, ogrzéwany zimą tylko w połowie, lub ogród angielski, zasadzony ziemniakami i kapustą, widzimy już szczyt abnegacyi. Bywają poświęcenia większe. Bywają pracownicy, którzy dla wyżywienia rodziny na ojcowskim zagonie musieli zrzec się stosunków ze światem umysłowym, musieli skazać się na powolne zagrzebanie sie w atmosferze, pozbawionéj tchnień ożywczych, którzy powiedzieli sobie, że wytrwać na placówce i obronić placówkę trzeba choćby za cenę schłopienia.

Fala życia płynie bez przerwy. Kto nie złożył wiosła i rąk nie załamał, nie może wiedzieć, czy prąd nie zbliży go jeszcze do brzegu.

Tadeusz Smarzewski.

Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

OGŁOSZENIA.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém, celem przygotowania rzeźb i ornamentacyi, potrzebnych do budowy gmachu Towarzystwa postanowił, w miejsce dorocznego konkursu, wyznaczyć i niniejszém ogłasza trzy konkursy następujące:

I. Szkicu wypukłorzeźby, która ma być umieszczona w tympanonie gmachu.

II. Szkicu na udekorowanie wypukłorzeźbami 3-ch okien 1-go piętra, każdego oddzielnie.

III. Szkiców dwóch grup, które mają być umieszczone przy wejściu do gmachu.

Warunki konkursów następujące:

1. W konkursach na wypukłorzeźby mogą przyjąć udział wszyscy artyści, pochodzenia polskiego rzeźbiarze i malarze, w konkursie zaś na wykonanie grup tylko rzeźbiarze.

2. Temat kompozycyi pozostawia się uznaniu konkurujących.

3. Kompozycye winny być wykonane w modelach gipsowych, a co do wypukłorzeźb to i w rysunkach cieniowanych.

4. Szkice mają być wykonane podług skali następującéj:

a) wypukłorzeźby do tympanonu nie mniéj jak 0.1 wielkości naturalnéj w trójkącie o postawie wynoszącéj 13.7 metrów, a wysokości 2.3 metra.

b) wypukłorzeźb nad oknami nie mniéj jak 0.1 wielkości naturalnéj, wynoszącéj w podstawie szerokość okna 3 metr. i wysokości 4.3 m.

c) grup — nie mniéj $^{1}/_{5}$ wielkości naturalnéj, wynoszącéj w podstawie 1.75 metr. szerokości i 3 do $3^{1}/_{2}$ metr. wysokości.

Grupy mają stać na piedestałach wysokości 2.5 metr i szerokości 1.5 m., przytykających do cokołu gmachu.

5. Za prace uznane za najlepsze wyznaczają się nagrody: 1) za szkice wypukłorzeźb do tympanonu rub. 300; za szkice wypukłorzeźb nad okna rub. 100 i za szkice dwóch grup rub. 300. Przytém chociaż obie grupy mają stanowić jedną całość, wszelako Komitet pozostawia sobie prawo wybrania oddzielnie jednéj grupy za nagrodą rub. 150.

6. Jury konkursowe stanowić będzie Komitet Towarzystwa z możnością zaproszenia artystów.

7. Nagrodzony projekt przechodzi na własność Towarzystwa. Komitet pozostawia sobie prawo powierzenia wykonania rzeźb i ornamentacyi niekoniecznie autorom projektów nagrodzonych.

8. Termin nadesłania prac konkursowych pod adresem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych wyznacza się do dnia 20 października n. st. 1898 r., do godziny 12 w południe; prace nadesłane po oznaczonym terminie do konkursu dopuszczone nie będą.

9. Sąd konkursowy odbędzie się w d. 4 listopada n. st. 1898 r.

10. Nadesłane prace winny być opatrzone odpowiedniém godłem. Imię, nazwisko i adres artysty winny być nadesłane w zapieczętowanéj kopercie, opatrzonéj godłem, zamieszczoném na projekcie.

Bliższe objaśnienia, jakotéż odbitki elewacyi projektu gmachu i rysunki form architektonicznych, otrzymane być mogą w Kancelaryi Towarzystwa.





Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum".

1. **Archiwum** Komisyi prawniczéj. Tom V. Kraków, nakł. Akademii Umiejętności, 1897, 4-to, str. 574.
2. *Mikołaja Reja* **Kupiec** to jest kształt a podobieństwo sądu Bożego Ostatecznego, w Królewcu roku 1549. Z egzemplarza biblioteki Kórnickiéj wydał dr. *Zygmunt Celichowski*. Poznań, nakł. Biblioteki Kórnickiéj, 1898, str. XVI i 149.
3. **Krzak dzikiéj róży.** Poezye *Jana Kasprowicza*. Lwów, 1898, nakł. Towarzystwa wydawniczego, w Warsz., w księgarni Sadowskiego, str. 263.
4. **Historya literatury powszechnéj** w zarysie. Opracował *Walery Gostomski*. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, zesz. 8—11 (str. 161—480).
5. **Obraz literatury polskiéj** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *Piotr Chmielowski*. Zesz. 11 — 14. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898 (str. 193 — 498).
6. **Ustawa Towarzystwa** opieki nad nieuleczalnymi chorymi w mieście Warszawie, 1898, 8-vo, str. 29.
7. **Kilka słów o Janie Heweliuszu**, astronomie gdańskim z wieku XVII-go, oraz o jego korespondencyi, skreślił *Mathias Bersohn*. Warsz., 1898, 8 vo, str. 34 z rycinami.
8. *Zygmunt Krasiński*. **Wybór pism.** Z portretem autora. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 531.
9. *Juliusz Słowacki*. **Wybór pism.** Z portretem autora. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 497.
10. **Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska**. Nowe wydanie krytyczne, według rękopisu znajdującego się w Petersburgu, przygotował i wstępem opatrzył dr. *Bronisław Gubrynowicz*. Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 1898, 8-vo, str. XXI i 440.
11. *Pierre Boyé*. **Les derniers moments du roi Stanislas.** Nancy, Sidot frères; Cracovie, Gebethner et C-ie, 1898, 8-vo, str. 48.
12. *Konstanty Krynicki*. **O Wiśle**, jéj dopływach i miastach nad nią leżących. Warsz., nakł. księg. Rzążewskiéj i Lisowskiéj, 1898, 8-vo, str. 121, z mapkami i obrazkami. Wydanie 4.
13. **Wojna polsko-ruska** 1831 r. Opracował *A. K. Puzyrewski*, generał-lejtnant sztabu głównego. Warsz., nakł. Maur. Orgelbranda, 1898, zesz. 11 (str. 242 — 264), cena zesz. 25 kop.
14. **O filozofię Hoene-Wrońskiego**, polemika (odbitka z „Niwy"). Warsz., nakł. „Niwy", 1898, str. 62.
15. **Herold polski.** Redaktor dr. *Franciszek Piekosiński*. Zeszyt październikowy i grudniowy 1897 r. Kraków, str. VIII, str. 209—527.
16. **Rozprawy Akademii Umiejętności** Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, tom X. Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1898, str. 409.
17. *Juliusz hr. Ostrowski*. **Księga herbowa** rodów polskich. Warsz., skład gł. w księg. B. Bolcewicza, 1897 — 1898, zeszytów 3, duże 4-to, str. 56 tekstu i str. 96 z rysunkami.
18. *S. Orgelbranda*. **Encyklopedya Powszechna** z ilustracyami i mapami. Zeszyt 32—35 (str. 337—464).
19. **Precz z orężem!** (historya prawdziwa), *Berty baronowéj Suttner*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*. Warsz., 1898, 8-vo, tom I, str. 152 (cena 25 kop.).
20. **Gwara kaszubska** Napisał *Jan Karłowicz* (odbitka z tomu XII „Wisły"). Warsz., 1898, 8-vo, str. 26.
21. *Jan Witort*. **Zarysy prawa pierwotnego.** Część I (dodatek do N-ru 26 „Głosu"). Str. 1 — 96.
22. **Encyklopedya ilustrowana** wiadomości pożytecznych. Zeszyt 30. Warsz., nskład Michała Arcta (cena 25 kop.).
23. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Zeszyt LXXVI (Oleje i tłuszcze. — Owady). Warsz., skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa.
24. **Krótkie wzmianki** o nieżyjących malarzach polskich na Wystawie Retrospektywnéj 1898 r. w Warszawie, str. 93 i XXXI.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.